

BOLESŁAW PRUS

DUSZE W NIEWOLI

(ms)

SPIS TREŚCI

Rozdział I	W CUKIERNI.....	3
Rozdział II	NĘDZARZ.....	10
Rozdział III	MASKARADA.....	16
Rozdział IV	BRAT I SIOSTRA.....	24
Rozdział V	O ROZKOSZACH I KŁOPOTACH BADACZÓW.....	28
Rozdział VI	GRA W ODKRYTE KARTY.....	33
Rozdział VII	TEMPORA MUTANTUR.....	40
Rozdział VIII	CHORE SERCE.....	49
Rozdział IX	ZASIEWY WSCHODZĄ.....	57
Rozdział X	JAK WYGLĄDAJĄ NIEKTÓRZY NARZECZENI?.....	64
Rozdział XI	CO ROBIŁ SIELSKI.....	70
Rozdział XII	WYPADKI LUDZKIE.....	77
Rozdział XIII	SIELSKI UWOLNIONY.....	85
Rozdział XIV	PRZESILENIE.....	92
Rozdział XV	GORZKIE OWOCE.....	101
Rozdział XVI	CO WYRABIA MIŁOŚĆ Z LUDŹMI.....	108
Rozdział XVII	JADWIGA.....	117
Rozdział XVIII	ŻYWI I UMARLI.....	125
Rozdział XIX	JUŻ WRÓCIŁ.....	131
Rozdział XX	CO SIĘ STAŁO PÓŹNIEJ?.....	138

ROZDZIAŁ I

W CUKIERNI

Bywają wieczory nie jasne i nie ciemne; po prostu mizerne. Ma to miejsce wówczas, gdy na ziemi leży śnieg, a na niebie chmury, o tyle gęste, że zasłaniają księżyc, a o tyle rzadkie, że pozwalają przesączać się potokom światła. W warunkach takich przedmioty czarne wydają się jeszcze czarniejszymi, kolorowe — szarymi. Przy pewnym wysiłku organów optycznych czytać by można książkę; lecz z drugiej strony, bez skompromitowania się, można by również nie poznać dobrze znanej osoby.

Z tej to zapewne racji mężczyźni, którzy wchodzili do cukierni, nie poznawali innego mężczyzny, który spacerował pode drzwiami zakładu. Wchodzący byli to ludzie młodzi, ubrani po większej części w futra; spacerujący nosił na sobie paltocik, który nie musiał go zresztą zbyt obciążać, był bowiem nader lichy podwatowany. Miał on prócz tego na głowie starą czapkę, z pod której wymykały się ciemne, nie dość starannie uczesane włosy. Od strony daszka znowu ciekawo dostrzec mógł śniadą i chudą twarz, duże oczy i potarganą brodę.

Człowiek spacerujący, na każdego z tych, którzy wchodzili do cukierni, rzucał bystre spojrzenie, a potem szybko odwracał głowę; oglądany robił prawie to samo. Takie zachowanie się rodziło dwa domysły: pierwszy — że nieznajomy musiał czekać na kogoś, drugi — że między nim a tamtymi istniało jakieś nieporozumienie.

Niekiedy, w oświetlonych drzwiach cukierni ukazywali się dwaj, lub trzej panowie, i mówiąc coś do siebie, wskazywali palcem na nieznajomego, który wówczas szybko odchodził na bok.

Manewry te trwały już dosyć długo, gdy nagle na chodniku ukazał się jeszcze jeden młody człowiek, ubrany w nowe elki i równie, jak jego poprzednicy, spieszący do cukierni. Jegomość ten był średniego wzrostu i miał eleganckie ruchy; przy świetle dziennym łatwo by się można przekonać, że jest to przystojny szatyn, z jasnym zarostem i szafirowymi oczyma.

Ujrzawszy go, człowiek w paltocie pobiegł parę kroków naprzód i z odcieniem niecierpliwości w głosie, zawołał:

— Aaa... Sielski!...

Elegancki szatyn stanął, odwrócił głowę na bok i z lekkim uśmiechem odparł:

— Aaa... Lachowicz?!

Światło z okna padło na twarze obu. Sielski był ciągle uśmiechnięty, Lachowicz zaś zakłopotany i wzruszony. Przez pewien czas patrzyli na siebie milcząc; nagle Sielski spytał:

— Czy masz do mnie interes?...

Lachowicz zawahał się, a potem odpowiedział prędko, tonem szorstkim:

— Żadnego!

Zawrócił się i poszedł dalej.

Sielski, znowu uśmiechnawszy się, patrzył na odchodzącego jak na wariata i szepnął:

— Potrzebuje pieniędzy!...

I wciąż patrzył. Lachowicz tymczasem, ubiegłszy kilkanaście kroków, stanął, zrobił ruch jakby chciał zawrócić, lecz wreszcie poszedł przed siebie krokiem powolnym, z głową zwieszoną.

— Jednakże i w nim coś jest na kształt ambicji! — pomyślał Sielski.

W tej chwili toczyła się dziwna walka między dwoma ludźmi, z których jeden potrzebował pieniędzy, a drugi je miał i hojnie rozpożyczał znajomym. Podobną usługę nieraz Sielski oddawał Lachowiczowi, nigdy nie pytając o termin zwrotu. Od pewnego czasu jednak pozycja towarzyska i usposobienie Lachowicza uległy zmianom: znajomi go unikali, on zaś stał się dziwnie drażliwym. Dawniej przychodził wprost do mieszkania Sielskiego i mówił ze śmiechem: „Pożycz mi tyle a tyle” — dziś czatował na niego pode drzwiami cukierni, nie śmiał zaczepić i obraził się bez widocznego powodu.

— A cóż mnie to obchodzi!... — mruknął Sielski, niby kończąc jakąś myśl, i chciał wejść do cukierni. Lecz wstrzymał się i znowu spojrzął za Lachowiczem. Miał on dobre serce, żał mu więc było człowieka widocznie bardzo potrzebującego; chciał nawet dogonić go i narzucić mu się z pożyczką. Lecz następnie inne myśli wzięły górę:

— Nie widzę racji poddawać się jego grymasom — mówił do siebie. — Kto czego chce, niech prosi. I jeszcze kto, ale on!...

Pchnął gwałtownie drzwi i wszedł do zakładu, z którego doleciał go dym, gwar i gorąco. Był jednak jakiś gniewny; widocznie Lachowicz zepsuł mu humor.

— Dla pana czarnej kawy? — spytał go garson.

— Później — odparł Sielski.

Garson uklonił się, poprawił na ramieniu serwetkę i poszedł do innego gościa z zapytaniem:

— Pan już co stalował?

Wśród obłoków dymu, unoszącego się w pokoju, słabo oświetlonym kilkoma gazowymi płomieniami, odróżnić było można dwie grupy mężczyzn. Jedna z nich skupiła się około pary szachistów, druga otaczała wielki stół marmurowy.

Byli to artyści, adwokaci, asesorowie, a i literatów nie brakło. Każdy prawie z tych panów pędził żywot w kawalerskim stanie i każdy, ukończywszy robotę dzienną, uciekał od nudów domowych do cukierni, gdzie się mógł naśmiać, wyklócić, a w najgorszym razie zobaczyć od dawna znajome fizjonomie.

— Panowie! pan Sielski ma głos... — zawołał pewien młody człowiek, ujrzawszy przybyłego.

Nastało chwilowe milczenie, które niebawem przerwał ktoś inny, pytając młodego człowieka:

— Czy to ma być dowcip, panie Rumaszko?...

— A rozumie się.

— No, to dam panu jedną radę: ile razy masz powiedzieć dowcip, tyle razy ukąś się w język, a nie powiesz głupstwa.

— Zdaje mi się, że pana zrabano, panie Rumaszko? — wtrącił ktoś trzeci. Ale młody człowiek zrabany wcale miny nie stracił; poprawił tylko okulary, służące mu do zamaskowania cynicznych poglądów na świat, i w innej znowu stronie począł pracować na to, aby go zwymyślano.

— Jak się masz, Jerzy!... Jak się masz, Apellesie!... — witano tymczasem Sielskiego, który do obu tych przydomków miał prawo: nosił bowiem imię Jerzego i był malarzem.

— Panowie, uciszcie się! — zawołał ktoś — i pozwólcie kapitanowi dokończyć opisu wczorajszej przygody...

— Czy znowu miał przygodę? — spytał Sielski.

— I niejedną! W południe spadła mu na łeb fura śniegu z dachu...

— Jak to? i jeszcze żyjesz?...

— Zawdzięczam to twardości mojej słowiańskiej czaszki — odezwał się głos spokojny.

Zgromadzenie ucichło.

Osobą, która zareklamowała twardość swej czaszki, był blondyn wzrostu średniego, barczysty, gruby w karku i posiadający wąsy dragońskie. Najdziwniejsze przygody opowiadał głosem naturalnym, niekiedy łzawym, przy tym miał twarz zmartwioną i oczy łagodne i smutne.

— No, zacznij znowu od początku, kapitanie! — zawołano z tłumu.

Kapitan zaczął:

— Szczególna przygoda, powiadam wam, zakrawa na farsę!... Idę sobie wczoraj przez ulicę i słyszę jakiś szelest jedwabiu. Oglądam się... i — widzę zawoalowaną damę, która zachowuje się tak, jakby mnie goniła...

— A pan uciekasz?...

— Ale gdzież tam! — oburza się kapitan i mówi dalej. — Widząc, że mnie goni, stanąłem, a ona do mnie: „Jasiu! ja cię kocham...”. Powiadam wam, że zgłupiał, wobec tak obcesowego postępowania kobiety w jedwabiach i koronkach...

— Któż to był? — spytano z boku.

— Ktoś od Brajbisza — odezwał się Rumaszko.

Zgromadzenie wybuchło śmiechem, kapitan zaś uderzył pięścią w stół i patrząc dokoła smutnymi oczyma, zawołał:

— Panowie!... Ależ nauczymy się dyskutować parlamentarnie!

Obok kapitana, z wyrazem niezamąconego zadowolenia na obliczu i otwartym notatnikiem w ręku, siedział literat Roman, który od kilku lat polując na typy, włóczył się po wszystkich knajpach i jak najstaranniej każdy usłyszany wyraz zapisywał. Ten to pan Roman, zwróciwszy się do kapitana, zapytał go słodziutkim głosem:

— Czy pozwolisz mi pan użytkować tę znakomitą sytuację?...

— Po mojej śmierci, panie!... po mojej śmierci! — odparł melancholijnie zagadnięty.

Na parę minut przedtem, przysiadł się do wielkiego stołu człowiek z miną dżentelmena, który, korzystając ze względnej ciszy, spytał:

— Czy nie mógłbyś mi pan, kapitanie, opowiedzieć o awanturze Lachowicza, ponieważ od kilku dni krąży z tego powodu mnóstwo plotek...

— Panu opowiem! — odparł kapitan. — Naprawdę rzecz się tak miała: Jakiś facet zaczepił na ulicy dwie kobiety. Lachowicz go zwymyślał, a on Lachowicza wyzwał na pojedynek... Ludwik przyjął... no! i już wszystko było przygotowane jak najporządniej, kiedy się nagle cofnął...

— Podobno pan chciałeś go zastąpić? — spytał dżentelmen.

— Uważałem to za honorowy obowiązek — odparł kapitan. — Ale i cóż z tego, kiedy tym znowu razem facet nie chciał stanąć!... — dodał z głębokim westchnieniem.

— To mnie dziwi, że się Lachowicz cofnął!... — mruknął dżentelmen, kręcąc głową. — I czy nie wie pan, z jakiego powodu?...

— Nie wiem!... nie wiem!... — jęknął kapitan, zwróciwszy łzawe spojrzenie na dno pustej filiżanki.

— Brawo, Lachowicz!... Podobał mi się ten Ludwiczek!... — mówiono w tłumie.

— Ja bym mu już odtąd ręki nie podałem! — mruknął ktoś.

— Ja się z nim nie witam! — dorzucił drugi.

— Ani ja.

Słuchając tego — kapitan robił się coraz smutniejszym, dżentelmen spoglądał z góry po zebraniu i nieznacznie ruszał ramionami, a Sielski był wzruszony, choć usiłował zapanować nad sobą.

— W każdym razie, jest to genialny malarz ten Lachowicz — przerwał dżentelmen.

— Masz pan rację, daj pan dwa złote! — krzyknął Rumaszko, znudzony długim milczeniem.

Dżentelmen pogardliwie spojrział na sufit, na takich bowiem, jak Rumaszko, nie zwykł był rzucać nawet pogardliwych spojrzeń. Potem zaś powtórzył:

— Tak! to bardzo zdolny malarz!

— Szkoda tylko, że unika pojedynków!... — szepnął ktoś.

— I płacenia długów... — dorzucił inny.

Dżentelmen wstał i biorąc kapelusz do ręki, rzekł tonem profesorskim:

— Kto wie, co go do tego skłoniło?... Życiem rozporządzać może tylko człowiek wolny, pan Lachowicz zaś...

— Czy sądzisz pan, że się zaprzedał komu?... — spytał z uśmiechem Sielski.

— Może być niewolnikiem jakichś obowiązków, które nie tylko zabraniają mu pojedynkować się, ale nawet krępują jego talent.

To powiedziawszy, wyszedł. Literat Roman każde jego słowo z gorączkowym zapisywał pośpiechem, a melancholiczny kapitan ze smutkiem rozmyślał: kogo by też wyzwąć na pojedynek, albo przynajmniej zachęcić do walki i zostać sekundantem? Reszta obecnych rozmawiała o Lachowiczu, Sielski zaś medytował. Trapiły go wyrzuty sumienia, i przykro mu było, że nie on, ale ktoś inny ujmował się za honorem nielubianego wprawdzie, lecz nieszczęśliwego kolegi. Z drugiej jednak strony, nie miał siły wystąpić w jego obronie. Jeżeli nie charakter, to przynajmniej życie Lachowicza przedstawiało wiele punktów zagadkowych, a przy tym (wstyd wyznać!) uchodził on między ludźmi za najzdolniejszego malarza. Najzdolniejszy!... Miałżeby być wyższym nawet od Sielskiego pod tym względem?...

Tymczasem do uszu Jerzego dolatywały wyrazy: „tchórz”, „człowiek małego charakteru”, „artysta zdolny, lecz nie posiadający wykształcenia”, a wszystkie te epitety odnosiły się do Lachowicza. Sielski był odurzony i nie wiedział, czy się ma cieszyć, czy gniewać. Wreszcie — kazał sobie dać szklankę ponczu...

Wypiwszy kilka łyków gorącego trunku, Jerzy uczuł nagle, że jego niechęć do Ludwika zmniejsza się i ustępuje litości. Sielski w ogóle nie był przyzwyczajony do spirytualiów, i jak powiedziano wyżej, miał dobre serce. Żał mu się zrobiło obmawianego, przestał się w nim lękać współzawodnika, nabrał w tej chwili wiary we własny talent, przejął się wstrętem do plotek i już — już miał wystąpić z mównicą w obronie Lachowicza, gdy wtem uczuł, że ktoś z lekka dotknął jego ramienia.

Obejrzał się, za nim stał Lachowicz, z chorobliwymi rumieńcami i wyrazem wzburzenia na twarzy.

— Jerzy... słówko!... — szepnął przybyły.

Ukazanie się Lachowicza podnieciło towarzystwo. Jedni śmieli się na głos, inni poczęli rozmawiać o pojedynkach; tylko mężczyzna, zwany kapitanem, oparłszy głowę na rękę, milczał i miał taką minę, jak gdyby pragnął zapaść się w ziemię.

Wezwany Sielski szybko wstał i chciał z interesantem wyjść do drugiego pokoju. Któryś jednak dowcipniś zwrócił się do Lachowicza, mówiąc:

— Panie Ludwiku! Korpaczewski dowiaduje się o pański adres...

— Czegóż on chce? — spytał nieostroźnie Ludwik.

— Chciał pana darmo pochować, usłyszawszy, żeś zginął w pojedynku!...

— Dajże pan pokój! — upomniął dowcipnisia Sielski i wzięwszy Lachowicza pod rękę, wyszedł z nim do bufetu.

— Pożycz mi trzy ruble... — odezwał się cichym głosem Lachowicz.

Prośba ta, nieomal pokorna, rozrzewniła Sielskiego. Szybko wydobył portmonetkę, lecz zamiast od razu dać pieniądze, zabrał pierwę głos.

— Mój Ludwiku! — rzekł — dlaczego jesteś ze mną nieszczerym?... Nie trzy, ale trzydzieści i trzysta rubli dałbym ci chętnie, gdybyś mi powiedział, co mianowicie wpływa na twoje dziwne postępowanie?... Wszakże jesteśmy...

Usłyszawszy to, Lachowicz przerwał mu z szyderczym uśmiechem:

— Zawsze, widzę, jesteś poetą... Chcesz, abym przed tobą otworzył serce, jak prowentowy pisarz przed pokojówką?... Robię tak i postępuję z ludźmi tak, jak mi wygodniej, oto moja tajemnica!... Dajże mi te trzy ruble...

Rozczulenie Sielskiego minęło. Szorstka odpowiedź Lachowicza wydała mu się świętokradztwem w tej chwili. Umilkł więc, dał mu trzy ruble i nie kiwnąwszy nawet głową, wrócił do swego towarzystwa i do ponczu, który posiadał roztkliwiające własności.

Zobaczywszy to, Lachowicz wyprostował się, a oczy mu dziko błysnęły. Zmiał w rękę banknot, jakby chciał go rzucić za odchodzącym, lecz szybko ochłonął i z wyrazem nieopisanej boleści opuścił cukiernię.

— I za co ja tyle cierpię?... — szepnął.

Powoli knajpujące towarzystwo poczęło się rozchodzić, a między innymi wyszedł i Sielski, do którego przyczepił się literat z notatnikiem.

— Pan wie — mówił literat — że Lachowicz staje do konkursu?... Maluje „Ostatni dzień skazanego...”.

Sielski drgnął i po chwili odmruknął:

— Tak?!

Potem umilkł. Wiadomość ta zaniepokoiła go, i on bowiem stawał do konkursu, a obawiał się Lachowicza. Sielski miał wprawdzie gruntowne ukształcenie artystyczne i znał europejskie galerie, współzawodnik zaś jego nie znał i nie widział nic, lecz miał ogromne zdolności. Pierwszy często malował piękne cacka, drugiemu udawało się niekiedy podchwytować głębsze sekrety natury i przedstawiać je z niezrównaną prawdą. Straszny ten współzawodnik stał dotychczas w cieniu; jakieś nieznanne więzy krępowały polot jego ducha. Lecz coby się stało, gdyby wyszedł kiedy na światło?...

„Zbyt małą ma wartość moralną, aby został wielkim!” — pomyślał Sielski, a potem mimo woli zestawiał swój majątek z biedotą współzawodnika.

— To człowiek dziwny — zaczął znowu Roman — oryginalnych zasad... ten Lachowicz...

— Powiedz pan: żadnych zasad! — odpowiedział gniewnie Sielski.

— Musi być bardzo biedny?

— Sądzę, że jednak zarabia pędzlem około ośmiuset rubli...

— Osiemset rubli! — wykrzyknął literat, pomyślawszy o swoich skromnych dochodach. — A gdzież on je podziewa?... bo wszakże nie ma rodziny...

— To podobno całe jego szczęście — rzekł Sielski — że rodziny nie ma, boby ją moralnie i materialnie zgubił. Przypuszczam jednak, że na dnie tego wszystkiego musi się ukrywać jakaś kobieta... Naturalnie z tej co i on kategorii.

Literat strzelił z palców i uradowany zawołał:

— A wiesz pan, że to jest pyszny pomysł!... Tak, to jasne jak słońce... Cudowną powieść napiszę o człowieku, który mogąc zostać genialnym malarzem, rozłajdaczył się — dzięki niestosownej miłości. Dobranoc panu!

I powiedziawszy to, literat z notatnikiem pobiegł pędem do swego mieszkania.

„Cokolwiek bądź — myślał Sielski — mój przyjaciel Lachowicz ma wszelkie kwalifikacje do tytułu: człowieka bez charakteru. Nie chciałbym mieć z nim kiedy awantury...”.

Gdyby w tej chwili powiedział kto Sielskiemu, że on sam prześcignie w sztuce Michała Anioła, lub że Roman zostanie wielkim powieściopisarzem — uwierzyłby. Lecz nigdy by nie uwierzył temu, że on i ci, którzy tak sumarycznie osądzili i potępili Lachowicza, nie mają racji.

ROZDZIAŁ II

NĘDZARZ

Tego samego wieczora, około godziny dziesiątej, jedną z najuboższych ulic miasta szedł człowiek, z pozoru wyglądający na robotnika. Miał na sobie starą burkę i z długimi cholewami buty. Twarzy nie można było poznać, okrywała ją bowiem brudna chustka, przewiązana widocznie dla zasłonięcia uszu lub zębów.

Potykaçąc się co chwilę w wybojach, ukrytych pod śniegiem, na ulicy słabo oświetlonej, człowiek dosięgnął drewnianego domu i zapukał we drzwi, które mu po upływie dość długiego czasu otworzono.

— Kto tam? — zapytał stróż przybyłego.

— Ja, Stanisławie! Cóż tu u was słycać?

— Aha!... pan... Źle słycać, stary znowu zmajstrował. Ukradł mi dziś samowar, co go wziętem od gospodarza do czyszczenia.

— Nieszczęście! — mruknał przybyły. — Cóż gospodarz?

— Jeszcze nic nie wie, ale jak się dowie, to pewniakiem da znać do cyrkułu.

Ostatnia uwaga tak wzruszyła nieznanomego, że się oparł o ścianę i chwilę milczał; potem zaś stłumionym głosem zapytał:

— Czy wychodził gdzie dzisiaj?...

— I, gdzie tam! ani dziś, ani wczoraj; a samowar musiał tu w domu gdzieś zaprzepaścić. Ale wypiera się. Com się go nie naprosił, a on nic i nic... Będzie bieda!

— No, jeżeli nie wychodził, to się samowar znajdzie, tylko nic nie mówcie — odpowiedział przybyły nieco spokojniej.

Stróż zamknął drzwi i legł w długiej pace, stojącej w sieni; nieznanomy zaś wszedł na podwórze. Tu znajdowało się kilka także drewnianych domków, tudzież budynek, będący w połowie oborą, w połowie mieszkaniem ludzkim.

Przy blasku światła, padającego z niektórych okien i odbijającego się od śniegu, przybyły dość szczęśliwie wyminął zepsutą pompę, rozebrany wóz, stosy belek i dotarł do mieszkania przy oborze. Stanął obok małego okienka i zapukał w nie raz i drugi.

— Kto tam?... — zapytano z wnętrza.

— Ja.

W ciemnym mieszkaniu rozległ się łoskot, i za chwilę potem ukazały się przez szybę niewyraźne rysy twarzy ludzkiej.

— Kiedy nie wiem kto? — zapytano powtórnie.

— No ja, Ludwik! — odpowiedział przybyły.

— Aha!...

Obok okna zaszeleściło coś, jakby powróż, odwiązywany od gwoźdźca, i niebawem uchylily się drzwi wąskie i niskie.

— Zimno! — mruknął właściciel mieszkania, a przepuściwszy nieznanego, szybko zatrzasnął drzwi i znowu je sznurem do haka przywiązał.

Przybyły, nazywający się Ludwikiem, wydobyl z kieszeni małą świeczkę, zapalił ją i osadził w pewnego rodzaju drewnianym lichtarzu, przybitym do ściany.

Teraz dopiero można było rozejrzeć się w klatce. Miała ona zaledwie kilkanaście łokci kwadratowych powierzchni, a całe umeblowanie jej stanowił tapczan z brudnych sienników, paka mieszcząca w sobie parę sztuk garderoby i parę glinianych naczyń, stołek bez poręczy i stary piec żelazny. Drewniane ściany izby pełne były szczelin, zamazanych gliną.

Ten obraz nędzy uzupełniał sam gospodarz, człowiek z twarzą obrzękłą i pokrytą gęstym, czarnym zarostem, z głową na pół łysą, na pół siwiejącymi przysłoniętą włosami. Miał na sobie brudną i podartą bieliznę, tudzież długi kozuch, który w nocy służył mu zamiast kołdry.

Ludwik, nie zdejmując czapki, siadł na tapczanie, wydobyl z kieszeni kilka bułek, spory kawał kielbasy i podał je starcowi.

— Niech ojciec je — odrzekł sucho.

— Gdzie mnie tam jedzenie w głowie! — mruknął stary, siadając obok syna i owijając się w kozuch.

— Albo co?

— Chory jestem, zimno mi, ckli mnie...

— Wszystko tak za wódką! — rzekł Ludwik, zwieszając głowę na piersi. — Może nie?... Któż to na taki ziąb wódki nie pije?... Dopóki człowiek był sam, to pił wedle żądania, ale jak raz poszedł na opiekę, to mu ją niby ptakowi wydzielają, jeszcze kto?... Stróż!... co sam połowę rozkrada.

— Stanisław wódki nie pije — odparł syn.

— O tym nikt nie może wiedzieć!

Nastąpiła pauza. Starzec oparł się o ścianę, drżał i ziewał, a potem poczał znowu mówić głosem stłumionym i żalonym:

— W kryminale gorzej nie jest; byłem przecie, to wiem! Tam bogatsi mają wódkę z miasta i wspierają biedniejszych. Wódka dla starego to jak mleko dla dziecka. Na starość krew stygnie,

rozum słabnie, ręce i nogi sztywnieją. Dlatego Pan Bóg powiedział do człowieka: „Naści wódki, człowiecze, żebyś nie zmarł i nie był podobny bydłęciu!”

Dawniej było lepiej. Nieraz głód się zdarzał na świecie i różne choroby, ale człowiek wszystko przetrzymał, bo dostał wódki za grosz więcej, aniżeli dziś za sześć. Przy tym nikt mu przez stróżów nie wydzielał. Synowie też za dawnych czasów byli insi: żaden ojca się nie wstydzili i nie znęcali nad nim...

Ho! ho!... Niech-no ja bym mojemu staremu powiedział: „Nie chodź, stary, po mieście” albo: „Stanisław będzie ci wódkę wydawał” albo: „Komu to stary kozuch sprzedałeś...” dałby on mi! Popamiętałbym ruski miesiąc.

— Może i mnie ojciec robi tak samo — spytał Ludwik.

— Ja tam nic nie mówię... ja tam nikomu nie wygrażam, ani dokuczam!... Chcę tylko na świat wyjść, choćby do kryminału wrócić, bo mi tu źle!... — mówił stary, stopniowo głos podnosząc.

— A cóż ojcu złego? jeść nie ma, czy co?...

— Co mi tam jedzenie!... Ja chcę wyjść do ludzi, pogadać czasem, wódkę pić, kiedy się żądzi, albo kiedy człowiek chory... A tu siedzę po całych dniach jak pies, bo buty stróż mi chowa. Roboty żadnej; to się też tak przykrzy, że nieraz chciałby się człowiek powiesić z tęsknoty!

— Kupiłem przecież statki, przynosiłem skóry, ale ojciec wszystko stracił na wódkę — rzekł Ludwik.

— Ja tam nie traciłem!... A zresztą, jak człowiek chory, to się przecie ratować musi.

Nastało znowu milczenie, które przerwał Ludwik, pytając:

— Gdzie ojciec samowar podział?

— Jaki samowar?... słyszał kto takie plotki?

— Samowar gospodarza, który Stanisław dziś wieczorem wziął do czyszczenia.

— Kiedy on czyścił, to i on ukradł. Ja tam o żadnym samowarze nie wiem — odpowiedział stary z gniewem.

— Jutro przyjdzie policja, samowar znajdzie, ale i ojca weźmie!... — rzekł Ludwik głosem stłumionym.

— To niech weźmie! Ja chcę siedzieć w kryminale... chcę!... — wołał stary, bijąc pięściami o kolana. — Tu mi źle, gorzej niż w szpitalu... Wolności żadnej, roboty ani żdźbła, a do tego jeszcze nie wiem, co się z Zosią dzieje, z moim dzieckiem kochanym!...

— Więc ojciec nie odda samowara?

— Nie oddam!... zresztą ja nie wiem, czego kto chce ode mnie?... Stanisław rozpuszcza plotki, a ludzie mu wierzą...

— Stanisław do mnie tylko mówił, nie do ludzi — odparł Ludwik.

— Ja tam nie wiem, do kogo on mówił! — wołał starzec, tyłem odwracając się do syna. — Plotki robić on umie, ale nie potrafi tego powiedzieć, żeby mnie tu nie wzięli i żeby mi Zosię pokazali!... Może ją też w takiej samej ciupie trzymają, czy ja wiem? Może ją i zabili?...

— Zosia jest w szkole.

— A to dobrze! Naucz się tam pomiatać ojcem i dokuczać mu. Oj! czasy teraz nastały... Ja, co prawda, czytać nie umiem, alem ojca szanował, pomagał mu, nie męczył, pod dozór nie oddawał, kropli wódki nie żałował...

Ludwik stracił cierpliwość.

— W tym miesiącu — rzekł — wydałem na ojca dwadzieścia rubli, za Zosię także płacę, sam też żyć muszę — ale ojciec o to nie dba i myśli tylko, aby nas wszystkich zgubić. Chce ojciec chodzić po mieście, ale niech tylko wyjdzie, to zaraz coś niedobrego zrobi, za co ja płacę. Dziś znowu... schował ojciec samowar... Nie pierwszy to figiel, ale chyba ostatni! Bóg widzi, że wydołać nie mogę; niechże się więc już raz skończy. Jutro przyjdzie policja i odda ojca do sądu, a jak sąd trzeci raz weźmie w ręce, to chyba nieprędko puści!...

— O, to mnie nastraszył!... — zawołał stary, wybuchając śmiechem. — Myśli, że ja się sądu boję... Cha!... cha!... ludzie! — krzyknął, biorąc się pod boki — to ja ukradłem samowar...

— Cicho, ojcze!... — zawołał Ludwik przerażony, chwytając go za rękę.

— Nie!... niech biorą do kryminału!... — krzyczał starzec coraz głośniej.

— Dam wódki!... — szepnął syn błagalnym tonem.

Stary w jednej chwili zmienił się do niepoznania. Stanowczość opuściła go; złagodniał, spokorniał i siadając na tapczanie, spytał z głupowatym uśmiechem:

— Dasz wódki?... Zaraz dasz?...

Ludwik, z wyrazem rozpacz, schwycił się rękoma za głowę i szepnął:

— Całe życie tak mi już zejdzie!...

— Może masz wódkę przy sobie, w kieszeni?... Oj! ty zbytniku!...

— Muszę ukrywać to biedne dziecko przed nim, jego przed sądem, nas wszystkich przed całym światem!... Boże mój, Boże! — szeptał syn.

— Daj wódzi, daj, Ludwiczku!... — mruczał szalony starzec, przetrząsając kieszenie burki.

— Czego tu ojciec szuka? — zapytał nagle Ludwik, budząc się z ponurych rozmyślań.

— Wódzi, syneczku, wódzi!...

— Nie mam przy sobie, ale zaraz przyniosę — odparł i wyszedł z izby.

Stary tymczasem, siedząc na tapczanie, zacierał ręce, strzelał z palców i mruczał:

— Będę pił wódeczkę... Uuu... wódeczkę!... dobra wódzia!... Ach!

Człowiek ten stał już na tak niskim szczeblu zbydłecenia, że stracił nawet prawo do wzdry, a mimo to nie utracił jeszcze miłości syna.

Po upływie kilkunastu minut Ludwik wrócił.

— Przyniosłeś, synku?... — zapytał stary, wyciągając drżącą rękę.

Ludwik wydobyl małą flaszkę, do połowy napełnioną wódką, i z widocznym wahaniem rzekł:

— Niechże ojciec powie, gdzie samowar?

— Daj wódzi, daj!... — błagał stary, jakby nie słysząc jego pytania.

— Nie dam, aż się znajdzie samowar.

— No!... nie drażnij się... — odparł nędzarz, całując syna w rękę.

Ludwik cofnął się ze wstrętem i oddał flaszkę ojcu.

Stary usiadł na rogu paki i z grymasami obłąkanego, wysączył powoli wódkę, smakując ją i przyglądając się pod światło. Powoli zmarszczki na jego twarzy wygładziły się, dziki wyraz oczu stał się łagodnym i smutnym, a z obłąkanego zwierzęcia zrobił się (dziwna rzecz!) człowiek nieszczęśliwy i zawstydzony.

Spuścił on głowę na piersi i z jakimś dziecinny zakłopotaniem wyskubywał wełnę z kożucha.

Ludwik zauważył zmianę (nie po raz pierwszy zresztą), i chcąc widocznie zawiązać rozmowę, rzekł:

— Czy ojciec nie chory?

— Jestem grzeszny człowiek — odparł cicho starzec. — Niech mi Bóg przebaczy, i ty, synu, i nasza biedna Zosia...

Po małej pauzie, jakby stopniowo ośmielając się, mówił dalej:

— Już wódkę pić nie będę... Oho!... Dziś ostatni raz mi się przytrafiło. Przez wódkę człowiek robi się bydłem, Boga obraża i ludziom dokucza... A za co ja tobie mam dokuczać, kiedyś ty lepszy od najrodzeńszej matki?... Matka by tak o mnie nie dbała... Bo też i nie dbała!...

Starzec przerwał, zamyślił się i nagle zapytał:

— Ludwiś... pamiętasz ty to?...

— Cóż takiego?

— A to, jak na Zielone Świątki Błazej podarował ci wózek. Ja powiadam: „Będzie cię, synku, Kurta wozil!...”. A ty mówisz: „Nie... ja chcę, żeby wozil ojciec.” Sam się zaprząłem i jeszcze musiałem bat na siebie zrobić... Cha!... cha!... Samowar jest pod tapczanem...

Podniósł się z paki i usiadł na swej nędznej pościeli.

— Albo to, jakim matce butelkę oleju wylał. Mówię: „O! wybije mnie matka, jak wróci!...”. A ty na to: „Niech tatuś powie, że to ja!...”.

Potem zaczął coś nucić — zachwiał się, pochylił na kolana Ludwika i prawie natychmiast zasnął.

Tymczasem syn rozmyślał:

„Po co ten człowiek żyje i po co los przykuł mnie do niego?... Wszystkie błędy moje, wszystkie nieszczęścia, niedostatek i pogarda u ludzi — wszystko obciąża mnie z jego winy. Nie mogę wyjechać, bo jeżeli go choć na jeden dzień bez dozoru zostawię, wnet zapracuje na więzienie... Nie mogę zginąć nawet, choć mnie deptają i prawie w twarz mi plują...

„Nie!... trzeba już raz skończyć... Wezmę Zosię, ucieknę z nią, zmienię nazwisko, a z nim... niech się dzieje co chce!... Całe przywiązanie, jakie miałem dla niego, ustąpiło już wstrętowi i nienawiści...”

W tej chwili głowa ojca zsunęła się z synowskich kolan. Ludwik zapomniał swych rozmyślań, lecz instynktowym ruchem zatrzymał upadającego i ostrożnie ułożył go na sienniku. Potem wydobył z pod tapczana ukradziony samowar, zgasił świecę i wyszedł, przyciskając drzwi jakimś drągiem.

W sieni, choć to już była północ, zastał stróża, naradzającego się z żoną. Oddał im samowar i życzył dobrej nocy, polecając ich pamięci ojca.

Gdy już wyszedł na ulicę, Stanisław rzekł:

— Ja, żebym ta był nim, tobym starego puścił w trąbę, bo to strasznie wielkie udręczenie!

— Ale! — odparła żona. — A dobrze by ci było, żeby tak z tobą nasz Walek zrobił?...

— Kiedy ze starego wielki nicpoń; my przecie wiemy, co on wart!...

— Zawdy to ojciec! — zakonkludowała żona.

Na dworze niebo iskrzyło się od gwiazd i dął zimny, do kości przejmujący wiatr wschodni, ale Ludwik nie widział gwiazd, nie czuł zimna, zatopiony w smutnych myślach.

— Z trzech rubli — mówił do siebie — po kilku godzinach został tylko jeden. Bardzom ciekawy, kto mi też jutro da tak hojną jałmużnę? Za obelgi!...

Gdy wyszedł na ulicę ruchliwszą, nasunął kaptur na głowę, jakby obawiając się spojrzeń nielicznych przechodniów. Przyśpieszył kroku, przebiegł jeszcze kilka bardzo długich i dobrze zabudowanych ulic i nareszcie znikł w bramie jednego z domów, leżących w środkowej części miasta.

ROZDZIAŁ III

MASKARADA

Ze wszystkich istot zamieszkujących ziemię, sam tylko człowiek posiada przywilej częstego i dowolnego zmieniania powierzchowności. Wprawdzie motyl rodzi się gąsienicą, później zostaje poczwarką, a w końcu dopiero motylem: wprawdzie wiewiórka, ruda w lecie, robi się szarą pod zimę, wszystkie te jednak i tym podobne przebrania są zaledwie cieniem przebrań ludzkich.

Człowiek, przyszedłszy na świat bardzo lichy uposażonym, w dalszym biegu życia niewiele od natury dostaje: trochę zębów i jakieś tam wąsy, o czym nawet wspominać nie warto wobec na przykład skrzydeł... lub rogów... Mimo to jednak latać może, gdy ma ochotę i pieniądze, a i na brak rogów narzekać też nie powinien...

Od urodzenia do końca życia lew zostaje płowym i kontentować się musi jedną, jedyną grzywą i jedynym ogonem. Człowiek dziś jest płowym, jutro szarym, pojutrze czarnym... Zamieniwszy bydlęcą skórę na zbroję i togę, pozbył się ich następnie dla pończoch i jedwabnego płaszczyka, po których z kolei nastąpiły fraki, marynarki i szlafrokowate paletoty. Jego towarzyszka znowu, dla której figowy listek niegdyś stanowił aż nadto wystarczającą odzież, dziś wstydzi się, gdy ma na sobie tylko kilkanaście kawałków różnych tkanin, a szczęśliwą jest wówczas dopiero, gdy ilość kawałków, form i kolorów dochodzi do kilkudziesięciu na dobę.

Oszukawszy całą naturę, rodzaj ludzki zapragnął siebie jeszcze oszukać i w tym celu — wymyślił maskarady.

Fałszywemu mędrcowi cięży powaga, i otóż raz na rok przynajmniej wchodzi we właściwą skórę i przebiera się za błazna. Skromnisi dokuczają towarzystwo codzienne, moralne aż do znudzenia; korzysta więc z karnawału i z maską na twarzy wybiega między rozpustnice. Chłopak felczerski, któremu „Życie Napoleona I” zozydziło brzytwę i baniecznik, wbija na głowę trójgraniasty kapelusz i wiesza u boku drewnianą szablę. Spokojny obywatel, na dnie duszy którego drzemią wołowe instynkty, nie może odmówić sobie tej rozkoszy, aby choć raz w życiu nie okazał się w masce, wyobrażającej cielecą główkę — podobnie jak brzydka panna służąca nie umarłaby spokojnie, gdyby jej choć pod maską nie nazwano „piękną damą!...”.

Wszystkie te indywidualia stanowią główny korpus maskaradowej armii, której druga część składa się z wszelkiego rodzaju maruderów.

Romantycy, naczytawszy się o skrytych pod maskami księżniczkach i hrabiankach, a przynajmniej pannach z dobrego domu — ufni w siłę swych wdzięków i ogień uczucia, idą między wytrawnymi dominami polować na niewinne serca. Dobroduszni obywatele ziemscy, ubrawszy się we fraki z przed kampanii węgierskiej i cylindry z czasów wojny włoskiej, dążą naprzód do kas Towarzystwa Kredytowego po kapitał materialny, następnie zaś na sale reutowe po kapitał duchowy, który ma im na cały rok wystarczyć. Znudzony wreszcie mieszczuch, dla którego noc przepędzona w domu stanowi stratę drogiego czasu, spieszy na maskaradę dla zobaczenia znajomych, zebrania plotek, lub w najgorszym razie dlatego, aby mu nogi podeptano i pognieciono boki. Gdy go jedno i drugie nie spotka, wpada w melancholię i narzeka na brak przyjemności w mieście; ożywia się — gdy go dobrze potrąca, a jest dopiero prawdziwie szczęśliwym, gdy mu kalosze i paletto ukradną. Wówczas bowiem może się martwić, kląć i pozować na bohatera wypadku, o którym całe miasto rozprawia.

O północy obszerne sale reutowe były pełne masek, fraków, muzyki, szmeru nóg, fałszywych i prawdziwych głosów, światła — a nade wszystko gorąca i zaduchu. Pod chórem, na którym grzmiała i huczała muzyka, kilkanaście par, przebranych w najstarsze kostiumy corps de baletu, tańcowało kadryla, na próżno usiłując mu nadać choć szczyptę kankanowego pieprzu. Obok nich utworzyła się, jak zwykle, gromada gapiów, którzy zachęcali tancerzy do energiczniejszych skoków, lub powtarzali tłuste i oklepane koncepty, śmiejąc się z nich, jak ludzie, którzy w braku uznania ogólnego, sami przynajmniej pragną sobie oddać sprawiedliwość.

Poza obrębem tego koła, tłoczyły się ciągle ruchome i nieprzerwane szeregi osób płci obojga w maskach i bez masek, maszerujących zółwim krokiem. Jedne szeregi ciągnęły przez środek sali do drzwi wschodnich, inne do zachodnich, od chóru do okien i od okien do chóru. Inni obchodzili salony dokoła zgodnie z biegiem słońca, lub też w kierunku wprost przeciwnym. Zmęczeni siadali na krzesłach i kanapach, umieszczonych pod ścianami; głodni podążali w kierunku bufetów. Każdy miał jakąś parę, każdy rozmawiał, intrygował, usiłował intrygować, lub wzdychał do tego, aby go zaintrygowano.

Intryg jednak było bardzo niewiele, a jeszcze mniej dowcipu. Odrapani pielgrzymi i krakowiaczy pożądliwie spoglądali na chustki i zegarki spokojnych obywateli, których ze swej strony zmiętoszone krakowianki gwałtem, aczkolwiek bezskutecznie, prosiły o kolację. Zręczność pajaców polegała na wytrząsaniu długimi rękawami, jowialny humor Żydów manifestował się za pomocą okrzyku: „Handel, panowie, handel!...” — a dowcip wszystkich w ogóle masek ograniczał się na sakramentalnych wyrazach:

— Znam cię, bałamucie!... dużo nabroiłeś!...

„Bałamut”, uszczęśliwiony tym, że go nareszcie ktoś zaczyna intrygować, wyszczerzył zęby, zasypywał maskę pytaniami i gotów jej był nawet historię swego życia opowiedzieć... Wszystko jednak na próżno!... Wszechwiedząca bowiem i prawdopodobnie bardzo uszczypliwa w swym przekonaniu maska traciła kontenans, a przyparta, jak to powiadają, do muru, uciekała czym prędzej na drugi koniec sali, przypuszczając zapewne, że zmiana miejsca natchnie ją nieco głębszym dowcipem...

Krótko mówiąc, w salach reductowych, tak w tym, jak w zeszłym i pozaprzyszłym roku, panował niesmak i nuda. Każdy nieledwie uśmiech kończył się ziewaniem, które eleganci na próżno starali się zasłaniać glansowanymi rękawiczkami.

Wśród tłumu osób krążyli i znajomi nasi z cukierni. Widziano tam młodego adwokata, który z wyszukaną galanterią obsługiwał jakieś czarne i przysadziste domino, uważane przez jednych za matkę, przez innych za kochankę pacjenta. Widziano literata, pana Romana, który z kapeluszem na tył głowy nasuniętym i rękoma w kieszeniach — „studiował” maskaradę, myśląc o dorobieniu do niej powieści. Widziano w innym salonie asesora, który, chcąc uwolnić się od natarczywości „krakowianek”, każdej zbliżającej się do niego z dziwnie zimną krwią proponował: aby mu kolację kupiła.

Był tam i Lachowicz, ziewający nagłos bez ceremonii, i Sielski, który z rumieńcem na twarzy i ogniem w oku śledził jakieś białe, atlasowe domino. Patrzący na manewry te znajomi Sielskiego mówili, że on jeden dobrze się dziś bawi, i że białe domino musi być niepospolicie piękną kobietą.

W czasie tego, grupa, złożona z lekarza, podsędka i jakiegoś literackiego laika, wpadła na Lachowicza. Od niefortunnego pojedynku upłynęło już kilka tygodni i ludzie o nim zapominali po trochu.

— Witamy pana Ludwika! — wykrzyknął lekarz. — Cóż to jesteś na maskaradzie, w nowiuteńkim fraku?...

— Musiałem kupić frak, bo inaczej Towarzystwo Zachęty nie przyjęłoby na wystawę moich obrazów — odparł Lachowicz.

— Z fraka wytłumaczył się! — wtrącił podsędek. — Ale co pan robisz na maskaradzie?

— Studiuję koloryt, który najlepiej przypada do gustu naszej publiczności.

Do rozmawiających przystąpił w tej chwili asesor.

— Cóż, asesorze — zapytano go chórem — jakże idzie?... Upolowałeś co?...

— Tu nawet złodzieje kieszonkowi nie porobią interesów! — odpowiedział zgryźliwy asesor. — Wszystkie intrygi kwalifikują się do sądu poprawczego, a całe zebranie pod ostatnim psem.

— Za którego nawet podatku opłacać nie warto! — wtrącił aspirant na literata.

— No, no! — przerwał lekarz — mówicie, że zebranie pod psem, a przypatrzcie się tej oto „białej damie” — co za szyk!

— Posągowa postać! — zauważył młody literat.

— Rączka arystokratyczna: wąska i długa...

— Jak tegoroczny karnawał — dorzucił asesor.

— Ciekawym, kto to jest? — spytał podsędek.

— Widocznie ktoś „z towarzystwa” — objaśnił lekarz.

— Ale dlaczego Sielski tak jej pilnuje?... Ma minę zazdrosnego męża, któremu żona przez garderobę na bal maskowy uciekła — odezwał się znowu podsędek.

— Domyślam się!... — mruknął przez zęby Lachowicz.

— Któż to?... kto?... — zapytano jednogłośnie.

Do grupy zbliżył się diabeł w czerwonym kostiumie i w kapeluszu z rogami.

— Co panowie chcecie wiedzieć?... — spytał przybyły.

— Przepyszny egzemplarz diabła! — wykrzyknął rozweselony aplikant literacki. — Nie wiedziałem, że w piekle utyc można!...

— Pan nawet w piekle nie utyjesz — odparł diabeł, któremu nie podobało się to uwielbienie jego okrągłych kształtów.

— Czy umiesz intrygować, mój mały?... — zapytał go lekarz.

— Dlaczego nie!... Intryguję pana, ażebyś pan panu Goldflamowi oddał dwieście rubli, bo już dawno termin upłynął...

— Tam do licha!... — mruknął podsędek.

Lekarz uśmiechnął się złośliwie.

— Oddam — rzekł — nawet w tej chwili, jeżeli mi pan Goldflam natychmiast weksel zwróci!...

Tłusty diabeł pogardliwie machnął ręką.

— Cóż to — odparł — pan doktor chce, ażebym na maskarady chodził z weksłami moich dłużników?... Musiałbym chyba czterokonnym wozem tu wjechać.

Obecni nie dostrzegli, że od kilku chwil zbliżyło się do nich białe domino, które usłyszawszy ostatnie wyrazy diabła, rzekło do swego nieznanego im towarzysza piskliwym głosem:

— Ten przynajmniej jest prawdziwym diabłem!...

Rozmawiający odwrócili się, a czerwony diabeł z eleganckim ukłonem zapytał:

— Dlaczego, piękna damo?...

— Dlatego — odparło domino — że się boisz święconej wody...

Diabeł znikł, jakby mu ogon przytrzymało kościelnymi drzwiami, obecni zaś wybuchnęli śmiechem.

— Brawo! — wykrzyknął podsędek. — Widzę, że maskarady nie upadły...

— I nie upadną — odpowiedziało domino — świat jest wielką redutą, na której na przykład osoby, kwalifikujące się na ławę oskarżonych, zajmują sędziowskie krzesła...

— Co to znaczy, maseczko?... — spytał podsędek, oblewając się pąsem.

— Myślę o sprawach miłosnych!... — odparło domino.

— To co innego! — mruknął podsędek, z fizjonomją, zdradzającą wielki upadek na duchu.

— Teraz na mnie kolej — rzekł asesor, wysuwając się naprzód. — Co o mnie powiesz, biała damo?

— To, co wszyscy. Mówią, żeś przetrwał kodeks tak, iż ci w głowie pozostały tylko okładki.

— Uprzejmie dziękuję.

Towarzysz domina zdawał się być mocno zakłopotanym.

— I ja gotów jestem przyjąć część, przypadającą na mnie — odezwał się lekarz. — Czekam, biała damo!

— Dam ci jedną radę. Jeżeli chcesz mieć powodzenie jako lekarz kobiet młodych, unikaj kosztownych prezentów od kobiet starszych...

— Na honor, nie rozumiem! — zawołał zmieszany lekarz.

— Zrozumiesz lepiej, gdy ci adres przypomnę — odparło domino.

— Zbytek dobroci... Dziękuję!...

Z tymi słowy lekarz cofnął się na stronę, ocierając pot z czoła.

— Ha! muszę i ja coś zaryzykować — rzekł Lachowicz, patrząc na maskę z miną wyzywającą.

— Ryzykowność potrzebniejsza jest w sprawach honorowych, niż na maskaradzie! — odpowiedziała podniesionym głosem dama.

— Miałbym jej więcej, maseczko, gdybym był twoim mężem! — odparł Lachowicz.

Maska nagle umilkła i cofnęła się.

— Służę pani — rzekł w tej chwili Sielski i podał jej rękę.

Dama bez ceremonii opuściła swego dawnego towarzysza i wyszła z Sielskim do innego salonu.

— A to kuta baba! — wykrzyknął aspirant na literata.

— Kto to jest?...

— Pan ją znasz, panie Ludwiku?...

— To jakaś znajoma Sielskiego; panie Lachowicz, kto ona jest?...

— Warto by się dowiedzieć!...

Pytania te i wykrzykniki spadały jak grad na Lachowicza, który jednak wbrew ogólnemu oczekiwaniu milczał, głęboko widać dotknięty słowami maski. Wreszcie kiwnąwszy obecnym głową, opuścił maskaradę.

Tymczasem Sielski w drugim salonie upatrzył stojącą pod oknem pustą kanapkę, na którą prawie upadła zmęczona, czy też przestraszona jego towarzyszka.

— Nie spodziewałem się spotkać pani w tym miejscu — odezwał się malarz ze źle ukrywanym gniewem.

Dama zwróciła na niego szare oczy i po chwili naturalnym głosem odparła:

— Nie rozumiem powodu, dla którego miałybyśmy unikać miejsc, tak chętnie odwiedzanych przez naszych mężów i surowych przyjaciół.

Ostatnie dwa wyrazy wymówiła z ironicznym śmiechem.

— Obecność surowych przyjaciół — odparł jeszcze bardziej rozdrażniony Sielski — przydaje się niekiedy, jak to sama pani miała sposobność sprawdzić przed chwilą...

— Ach! przypominasz mi pan, że mu powinna podziękować?... W istocie, znalazłeś się po rycersku, w nagrodę więc powiem, że przysłała po to tylko, aby pana zobaczyć.

Sielski milczał, starając się przybrać jak najobojętniejszą powierzchowność, co spostrzegłszy, dama mówiła dalej głosem cichym i tkliwym:

— Cóż to, jesteś pan, widzę, naprawdę rozgniewany i w niesłychanie szorstki sposób chcesz mnie przekonać o swej słowności?... Od dwu tygodni nie byłeś u nas, narażając mnie tym sposobem na słuchanie różnych przypuszczeń i pytań ze strony męża. Na ulicy nie kłaniasz się pan, a na maskaradzie witasz mnie wymówkami — co najlichszą kobietę obrazić może. Spodziewam się i wymagam usprawiedliwienia...

— Jestem zajęty — odparł Jerzy.

— Nowa impertynencja, którą panu przebaczam tylko przez wzgląd na jego demokratyczne stosunki. Chcę stanowczo wiedzieć, jak długo będą trwały pańskie grymasy?

— To nie są grymasy, ale poczucie obowiązku... — odpowiedział stłumionym głosem malarz.

— Ach... obowiązek... Wy dziwne tworzycie sobie obowiązki! Pewnego dnia spotyka któryś z was nieszczęśliwą, haniebnie zdradzoną kobietę i stara się pozyskać jej serce. Ona opiera się, ucieka przed wami, przypomina obowiązki — ale wy, podrażnieni oporem, nie myślicie o nich. W końcu udaje się wam... Zwycięzacie, ale zarazem stawiacie ofierze swojej ultimatum, którego przyjąć nie może. Cudowne poczucie obowiązku!...

— Dlaczego pani poruszasz podobne kwestie w tym miejscu?... — przerwał jej Sielski.

— Więc gdzież je mam poruszać?... — zawołała z wybuchem dama. — Zmuszasz mnie pan, ażebym cię aż tu szukała i tu zwracała twoją uwagę na niewłaściwość tego rodzaju postępowania. Przypuszczam jedno z dwojga: albo udajesz pan gniew, aby mnie dręczyć — albo nie śmiesz wprost powiedzieć, że cię już znudziła. No!... ale w takim wypadku...

Chciała odejść, lecz Sielski zatrzymał ją, mówiąc:

— Czy propozycja rozwodu, tyle razy robiona przeze mnie, upoważnia panią do tego rodzaju wniosków?...

— Bardzo naturalnie. Pan żądaś rozwodu, mówisz o naszym połączeniu się, a jednocześnie składasz dowody, że cię mało obchodzę...

W tej chwili zbliżył się do nich jakiś niski i szczupły blondyn, dystyngowanej powierzchowności.

— Dobrze, żem was złapał! — zawołał przybyły. — Witam cię, Jerzy... Jakże się bawisz, Lociu?...

— Zmęczyłam się — odpowiedziała dama oziębłe.

— Zmęczyłaś się, aleś i wzburzyła całe towarzystwo. O nikim nie mówią w salonach, tylko o jakiejś białej damie, dowcipnej i złośliwej, jak satyr!... Czy byleś, kochany Jerzy, przy triumfach Loci?... bo mnie nie wypadało... Zdradziłbym ją moją obecnością....

Potem, nie czekając na odpowiedź, usiadł przy masce, otarł pot z czoła i znowu zapytał Sielskiego:

— Cóż to znaczy, żem cię tak dawno nie widział?

— Byłem już parę razy u państwa po Nowym Roku, ale do spotkań z tobą nie mam widać szczęścia.

— Prawda, że i ja w domu jestem gościem... Mam liczne zajęcia!... — odparł, śmiejąc się, blondyn, a potem dodał:

Podobno malujesz obraz na konkurs?... Jaki to temat?...

— Ostatni dzień skazanego...

— Aha! Życzę ci powodzenia i jestem go prawie pewny, tymczasem... Może byś moją żonę do powozu odprowadził?...

Dama wstała, elegant zaś szepnął Jerzemu do ucha:

— Spotkałem jakieś zielone domino, które mnie ogromnie intryguje. Muszę się dowiedzieć, kto to jest, ale bez kolacji ani sposób!...

Po tym wyjaśnieniu ścisnął żonę za rękę, Sielskiego podobnież i znikł w tłumie.

— Wyborny mąż, nieprawda?... — spytała dama Jerzego.

— Dlatego też jeszcze dziś powtarzam moją propozycję. Z jego strony przeszkód niezawodnie nie spotkamy.

— Nigdy! — odpowiedziała dama.

— Ha! jeżeli tak — to trudno!...

Na schodach ugalonowany lokaj podał damie sobolową salopę i szal na głowę. Sielski ubrał się także i wyszli razem. W drodze dama rzekła:

— Więc między nami wojna?... Pan u nas nie bywasz?

— Powiedziałaś pani.

— Dobrze!... A zatem zapraszam pana na ostatnią maskaradę. Będę miała domino błękitne, a we włosach białą różę.

— Dziś byłem ostatni raz na maskaradzie — odparł Sielski.

— Z tym wszystkim na ostatniej musisz pan być.

— Stanowczo nie będę.

— Zobaczymy! — odparła dama, siadając do powozu.

Gdy odjechała, Sielski zawołał dorożkę i wrócił do siebie. Było już po trzeciej rano. Jerzy zapalił światło, usiadł na fotelu i począł dumać. Myślał o kobiecie, która go kochała, o mężatce, którą mąż opuszczał, i która przy tym była dość lekkomyślną i ryzykowną. Zaproponował jej rozwód z mężem, odmówiła stanowczo, z obawy skandalu; gdyby jednak powiedział jej: „Zostań moją kochanką...” — kto wie, czyby się nie zgodziła?...

Przypomniał sobie jej szare oczy, bujne i gęste włosy, figurę jak utoczoną... Przypomniał sobie wieczną nieobecność męża w domu i te długie godziny o zmroku, które przepędzali we dwoje...

— Przypuśćmy, że już została moją kochanką — szepnął Sielski — cóż dalej?...

— Ja jestem łotr — odezwało się widmo męża Leontyny — mnie mogłeś zdradzać i oszukiwać... nie gniewałbym się o to... Ale za co ją zgubiłeś?

— Byłem przyjacielem twego ojca — mówiło z kolei widmo starca — wykołysałem cię prawie na rękach, między tobą i Leonią nie robiłem różnicy, a nawet... Ileż to razy mówiłem, że chciałbym mieć zięcia podobnego do ciebie?...

Ty jednak wówczas zajęty byłeś czym innym, pozwoliłeś ją zabrać innemu, a dziś — zhańbiłeś mi jedyne dziecko!...

— Nigdy!... — wykrzyknął Sielski, zasłaniając twarz rękoma. — Zbłądziłem już, wchodząc jej w drogę, ale nie zgubię tej, którą... kochałem...

ROZDZIAŁ IV

BRAT I SIOSTRA

Mieszkanie Lachowicza znajdowało się przy jednej z większych ulic, na piętrze, i posiadało więcej światła niż ciepła, a więcej miejsca niż sprzętów.

W pokoju najwidniejszym, który stanowił pracownię, oprócz farb, pędzli i sztalug, wisiało na ścianach mnóstwo kredkowych i węglowych szkiców i parę obrazków nowych. Pod ścianami stały obrazy odświeżane.

Odświeżanie było bodaj czy nie najgłówniejszym źródłem dochodów młodego i istotnie zdolnego artysty, który, prócz tego, malował rzeczy świeckie i kościelne, to jest obrazy do chorągwi i ołtarzy. Jakiś czas miewał on nawet dosyć obstalunków w tym rodzaju; wkrótce jednak przekonano się, że jego błogosławione zbyt są podobne do primadonn, a męczennicy do rzezimieszków, i zaprzestano nagabywać go o robotę.

W tej chwili siedział Lachowicz przed swoim dziełem konkursowym, przedstawiającym: „Ostatni dzień skazanego”. Dzieło to, lubo niewykończone, mogło zwrócić uwagę.

Najbliżej widza znajdował się na obrazie tym urzędnik, czytający fatalny wyrok, figura drewniana w mosiężnych okularach na nosie. Czuleś, że z osoby tej drewniane dźwięki wychodzą muszą. We drzwiach widać było starego klucznika, który ziewał na całe gardło, a za nim opartego na karabinie żołnierza, którego surowa twarz miała wyraz głębokiej litości.

Z prawej strony stał kat, olbrzymi drab, wyłącznie, o ile się zdawało, zajęty oglądaniem lichej garderoby swojej ofiary, a nareszcie główny bohater, nieszczęśliwy potępieniec, który, słuchając słów wyroku, wpił ręce w kolana i starał się odwrócić oczy od kata...

Bez przesady powiedzieć można, że grupa ta robiła piorunujące wrażenie. Lachowicz jednak nie zdawał się być zadowolonym i robił różne zarzuty, z trwogą myśląc, że go nagroda ominie.

Na tych medytacjach zeszło mu całe poobiedzie i powoli zbliżał się wieczór. Lachowicz powstał, przeciągnął się i począł chodzić po pokoju.

Nagle skrzypnęły drzwi, i do pracowni wbiegła piętnastoletnia dziewczynka, dziecko szczupłe, blade, zmarznięte i czarno ubrane.

— Zosiuniu! — wykrzyknął Lachowicz — jak się masz?...

— Dobry wieczór Ludwisiowi — odpowiedziała dziewczynka, chcąc go pocałować w rękę.

— Dajże pokój, przecież nie jestem biskupem! — zawołał, całując ją kilkakrotnie w usta.

A potem dodał z czułością, o którą nigdy chyba nie posądziliby go znajomi:

— Jakaś ty zziębnięta!...

— Tak zimno na ulicy, ale u Ludwisia ciepło... Ach, jak mi ręce zmarzły!

To powiedziawszy, poczęła dreptać i chuchać w palce.

Lachowicz zbiegł na dół i kazał stróżowi przynieść gorącej kawy z bułkami. Gdy wrócił, posadził siostrę obok pieca, na krześle, okręcił jej nogi starą burką, i ukląkłszy obok niej na podłodze, począł jej rozgrzewać zziębnięte rączka, pocierając własnymi lub przykładając do swej twarzy.

Dziewczynka śmiała się i ciekawie rozglądała po pracowni.

— Co to za obraz, proszę Ludwisia? — zapytała.

— „Ostatni dzień skazanego” — odparł i objął jej znaczenie obrazu.

— Ach! Boże! jakież to nieszczęśliwy człowiek... Czegóż oni chcą od niego, kiedy on już i tak biedny?... Ja bym się tu spać bała... Czy Ludwiś się nie boi?...

Przyniesiono kawę.

— Pij, Zosiu, z garnuszka — mówił zakłopotany malarz — bo mi się szklanki wytłukły.

— A dlaczego Ludwiś nie pije?... Niech Ludwiś połowę wypije, a mnie resztę zostawi. Ojciec robił tak zawsze... Jakież to straszny obraz! Niech Ludwiś choć skosztuje...

Lachowicz upewnił ją, że jest przejezdony, że zachorowałby, wypiwszy choć łyżeczkę kawy, i tą groźbą stanowczo zachęcił do jedzenia.

Zosia piła i jadła, w przerwach zaś rozmawiała:

— Madame kłania się Ludwisiowi i prosi o resztę, jakieś tam pięćdziesiąt złotych...

Na twarzy Lachowicza ukazał się rumieniec.

— Ach! jaka to dobra kawa... My dostajemy tylko herbatę z mlekiem, a podwieczorek nie zawsze. — Która ma pieniądze, to sobie sama kupuje...

Rumieniec Lachowicza zrobił się ciemniejszy.

— Miałam się o coś Ludwisia zapytać, ale na śmierć zapomniała. Ale! ale... madame dziwi się, że ojciec ani razu u mnie nie był i nawet listu nie pisze. Czy ojciec będzie kiedy?...

Lachowicz niespokojnie przeszedł się po pokoju i odparł:

— Nie wiem... W każdym razie nieprędko...

Dziewczynka posmutniała, a potem, podnosząc na brata swoje wielkie, czarne oczy, rzekła nieśmiało:

— Może bym ja choć na wakacje ojca zobaczyć mogła?...

— Może być... Czy ci tęskno?...

— Tak... czasem!... Do innych przychodzą rodzice. Niedawno nawet był ojciec Brońci i dał jej na urodziny lalkę... Ale ja lalki nie chcę, taka już przecie duża jestem!... Przy tym bawimy się razem. Ja jej uszyłam dwie nocne koszule...

— Już umiesz szyć koszule? — spytał z uśmiechem Ludwik.

— Eh! nie bardzo. Dla siebie bym jeszcze nie uszyła, ale dla syna madame robię już skarpetki, po lekcjach... Zdaje mi się, że u Ludwisia nie jest bardzo ciepło; dlaczego to tak?...

— Widzisz, zbyt duże ciepło źle wpływa na obrazy — odparł, śmiejąc się, malarz.

— To prawda! W pokoju madame jest bardzo ciepło i dlatego wszystkie obrazy jej szerniały i popękały. Ale ja już muszę niedługo iść do domu!

Lachowicz wydobyl portmonetkę.

— Kochana Zosiu — rzekł, wydostając pieniądze — daj tymczasem swojej madame pięć rubli i powiedz, że pojutrze oddam resztę i jeszcze coś na przyszły kwartał zaliczę...

Drzwi znowu skrzypaneły, i ukazał się w nich jakiś człeczyna niski i obrośnięty, którego odzież i ruchy nie okazywały ani zbyt wysokiego stanowiska w świecie, ani zbyt starannego wychowania.

— Ho! ho! — zawołał przybyły — nasz bazgracz ma widzę pieniądze, i nie będziemy potrzebowali wystawiać mu okien z mieszkania. Te pieniądze to pańskie szczęście, bo gospodarz już naprawdę o sądach gada!...

Ludwik zbladł, Zosia ze zdziwieniem spoglądała to na brata, to na przybysza, który mówił dalej, śmiejąc się i wskazując na dziewczynkę:

— Cóż to za kurczę?... Masz pan dobry gust, tylko trochę niedojrzały! Amator kwaśnych jabłek...

— To moja siostra, panie! — odezwał się Lachowicz.

— A a a, siostra? Wracam honor. Myślałem, że...

— Byłeś pan w mieście? — przerwał szybko malarz.

— Byłem, ale wiatr, psiawiara, przedmuchał mnie jak fujarkę...

— Nie dobieraj pan tak mocnych wyrażeń! — ostrzegął go Lachowicz, wysilając się na uśmiech.

Rządca skamieniał prawie, widząc kłopot malarza.

— U trzystu diabłów! — zawołał — od kiedy to zaczynasz pan sznurować gębę?... Do tej pory gadaliśmy z panem jak ludzie i nie wiem, dlaczego mamy dziś udawać arystokratów, delikatnych jak angielskie pieski?...

Każdy wyraz rubasznego rządcy dziwił Zosię, a torturował malarza, który rumienił się, potniał, przestępował z nogi na nogę, a wreszcie, zaprowadziwszy gościa do sypialni, rzekł tonem błagalnym:

— Panie drogi! nie hazarduj się tak w mówieniu, bo jeszcze powiesz co nie... właściwego, a to przecież siostra...

— I mieszkało między nami! — wykrzyknął rządcą. — Przecie pan przy moich siostrach takich ceremonii nie robisz?...

Lachowicz aż się zachwiał.

— Zresztą — dodał gość z nowym wybuchem śmiechu — nie chcę państwu w randeiksie przeszkadzać i wyjdę, ale pieniądze swoją drogą przygotuj pan na jutro, bo z gospodarzem to psia... noga!...

— A przyślij mi pan, z łaski swojej, stróżowę — rzekł Lachowicz z miną człowieka, wychodzącego z łaźni, w której zbyt silnie napalono.

— Przyślę, z łaski swojej! — odparł nieco rozgniewany gość, trzaskając drzwiami.

— Jakiś dziwny pan! — odezwała się Zosia.

— Dobry człowiek — upewnił ją brat — tylko... ma trochę klepki pomieszane.

W tej chwili Zosia dostała gwałtownego kaszlu.

— Co tobie, dziecko? — wykrzyknął przestraszony malarz. — Czy ty często tak kaszlesz?...

— I nie, tylko czasem rano i czasem w wieczór. Ale to niedawno i już mniej.

— Zaziębiłaś się może na spacerze?...

— Ja nie chodzę na spacer, bo kaloszy nie mam...

— Jak to, zupełnie nie chodzisz?...

— Nie zupełnie, tylko nie codzień... Ale ja wolę siedzieć w domu; teraz na dworze tak brzydko!

— I salopka twoja musi być za lekka! — szepnął jakby do siebie Lachowicz.

Weszła stróżowa. Ludwik prędko pożegnał Zosię i odprowadził ją do schodów. Wróciwszy do pokoju, siadł przy stole i oparł głowę na rękach.

— Na spacer nie chodzi, nie ma kaloszy... kaszle! Łzy mu się zakręciły w oczach.

ROZDZIAŁ V

O ROZKOSZACH I KŁOPOTACH BADACZÓW

Każdy człowiek znakomity ma jakąś słabość, która go stawia na równi z innymi śmiertelnikami, a nawet robi zabawnym. Napoleon, jak pierwszy lepszy kantorowicz, wyobrażał sobie, że jest tenorem; Fryderyk Wielki cierpiał na wspólną wszystkim młodym kancelistom chorobę pisania wierszy; Neron, niby gimnazysta naszych czasów, udawał aktora; — a pan Roman literat miał przekonanie, że jest znakomitym obserwatorem i materiałem na wielkiego powieściopisarza.

Pan Roman pisał niewiele — i robił dobrze; zrobiłby jednak lepiej, wzięwszy się na przykład do handlu albo krawiectwa. Na nieszczęście, wiara w talent obserwacyjny nie pozwalała mu na to, i znajomy nasz, zamiast przykładowie siedzieć nad igłą lub księgą kasową, wałęsał się całymi dniami po mieście, zapisując wszystko, co mu się nasunęło przed oczy, i wmawiając w siebie i innych, że „wzorki zbiera”.

To zbieranie wzorków niesłychanie alarmowało niektóre kategorie osób, mających z nim bliższe stosunki. Pewien łotr po kilka razy na tydzień składał mu wizyty, w czasie których starał się usprawiedliwić służalstwo i łapownictwo krytycznym stanem kraju. Jakaś stara panna przysłała mu swój portret, robiony przed dwudziestu laty, pakę miłosnych listów, pisanych przez pewnego weterynarza, i świadectwo kilku osób wiarogodnych, dowodzące, jako weterynarz ów po dwukrotnym targnięciu się na własne życie, umarł wreszcie z miłości, skutkiem utopienia się wraz z bryczką i dwoma końmi w przerebli. Jakiś zawojowany mąż, a zarazem ojciec trojga dzieci, z których każde było do kogo innego podobne, przy lada sposobności wykladał literatowi teorię zapatrzenia się, a pewien początkujący finansista, którego głos publiczny oskarżał o liczne oszustwa, przysyłał panu Romanowi od czasu do czasu obszerne memoriały, których dążnością było okazanie tej niezbitej prawdy, że ludzie zazdroszczą powodzeniu i że najzaciejsi obywatele kraju spotwarzani bywają najczęściej.

Pan Roman wszystkiego słuchał, wszystko notował, lub składał do swego archiwum, nie wiedząc, kiedy i jaki zrobi użytek z tak obfitych materiałów. Wynętrzenia czynione przed nim brał za dobrą monetę, zapalał się do nich niesłychanie i coraz gorliwiej polował na typy.

Nienasycony ten głód wrażeń sprawił, że w czasie pewnego śnieżnego i wietrznego wieczora, w dzień ostatniej maskarady, jaka się miała odbyć w tym roku, literat nasz tułał się po Krakowskim Przedmieściu. W oczekiwaniu godnego uwagi zdarzenia, znakomity zbieracz typów rozmyślał nad

przyczyną chwiania się płomieni gazowych, ubolewał nad losem zziębniętych milicjantów, którzy pocierali sobie plecy o bramy, lub na środku ulicy wycinali hołubce, i podziwiał dorożkarzy, którzy zatknąwszy bat obok kozła, objali sobie rękoma boki na rozgrzewkę, lub podtrzymywali siłę ducha za pomocą wysokich, lecz wąskich kieliszków kartoflówki.

Obok jednego z szynczków, w których nieliczni reprezentanci niższych warstw społecznych czerpali energię do pełnienia włożonych na nich przez Opatrzność obywatelskich obowiązków, pan Roman zauważył jakiegoś człeczynę w długim kozuchu. Człowiek ten, mimo zawiei, trzymał czapkę w rękach, która to okoliczność pozwoliła literatowi spostrzec głowę siwiejącą i łysą, obrzękłą twarz i czarny gęsty zarost. W pierwszej chwili pan Roman sądził, że stary biedak odkrył głowę na widok zbliżającego się „talentu”, jako zatem człowiek grzeczny — podniósł palec do swej bobrowej czapki. W tej samej chwili uczuł dla nieznajomego jakąś sympatię, która nie zmniejszyła się nawet i wówczas, gdy poznał, że biedak nie może na nogach zachować przyzwoitej równowagi i opiera się o ścianę.

„Dość zabawny okaz alembika, złożonego z ciała i rozumnej duszy!” — pomyślał literat, zawiązując jednocześnie róg chustki w celu upamiętnienia tej dowcipnej przenośni.

— Litościwa osobo!... — odezwał się biedak. — Litościwa osobo! ofiaruj co nieszczęśliwemu na wódeczkę...

— Nieoszacowany egzemplarz! — mruknął literat i dodał głośno: — Dlaczegoż, mój człowieku, nie prosisz od razu i na papierosy?...

— Bo nie palę! — odpowiedział pijak.

Pan Roman dał mu dziesiątkę i wbiegł czym prędzej do sąsiedniej bramy, celem wydobycia z pod futra nieśmiertelnego notatnika i zapisania w nim zarówno swego znakomitego dowcipu, jak i odezwy pijaka.

— Co za typ! — myślał literat, pisząc. — Kolos naiwnego bezwstydu... Kopalnia diamentowej bezczelności!... Muszę sobie oddać sprawiedliwość, że mam oko i że dostrzegam to, czego ogół nie widzi. Mają racją ci, którzy mówią, że talent jest darem Boga!...

Zanotowawszy fakt, literat począł się namyślać, czy które z jego własnych zdań, uronionych przed chwilą, nie kwalifikuje się do druku. Zważywszy jednak, że ów rezerwuar cennych poglądów nosi zawsze ze sobą i że otworzenie upustu w każdej chwili zależy od niego, zamknął notatnik i wyszedł z bramy.

Na ulicy dostrzegł, że scena się zmieniła. Pijak nie był sam, obok niego bowiem stał jakiś przyzwoicie ubrany młodzieniec i żywo z nim rozmawiał. Młodzieniec widocznie robił wymówki, pijak odpierał je dość zuchwale. Wreszcie młody, przyzwoicie ubrany człowiek, wziął prawie gwałtem pijaka pod rękę i zaprowadził do dorożki, do której nie bez trudności obaj wsiedli.

Naprzeciw bramy stała latarnia; gdy światło jej padło na dorożkę, literat z największą zgrozą i zdumieniem spostrzegł, że ubogi człowiek usiłuje wyskoczyć, i że przyzwoicie ubranym młodzieńcem, który mu tego uczynić nie pozwala — jest Lachowicz!

— Ach! jakież ze mnie baran, że numeru nie zauważyłem! — szepnął literat, ocknąwszy się z chwilowego osłupienia.

Gdyby pan Roman posiadał zdolność uogólniania pojęć, przyznałby niezawodnie, że w wielu innych wypadkach, a nawet w ciągu całego życia okazywał podobieństwo do barana. Na nieszczęście, miał zaledwie tyle tylko czasu i przytomności, ile ich było potrzeba na powtórne wydobycie notatnika i zapisanie w nim nowego faktu.

„Pyszny temat do powieści pod tytułem „Niewolnicy warszawscy” — myślał literat. — Młody malarz, który pobiera jałmużnę na rozpustę w formie pożyczek, chwyta na ulicy żebraka, który pobiera jałmużnę na wódkę... Ciemna noc... migotliwe płomienie latarni, dorożkarz zdumiony, konie pędzą jak w Apokalipsie... Mogę napisać powieść i dramat!...

„Ciekawym tylko, jaka mogła być przyczyna porwania? Naturalnie, że kobieta — a prawdopodobnie ta kochanka Lachowicza, o której wspominał Sielski. Koniecznie muszę wziąć się do studiowania kobiet upadłych, a tymczasem pójdę do Sielskiego. On Lachowicza zna i niezawodnie udzieli mi szacownych wskazówek”.

Idąc ku mieszkaniu Sielskiego, pan Roman ochłonął nieco, i nowa myśl przyszła mu do głowy:

— Nie!... — mruzczał — Sielskiemu o tym wypadku nic nie wspomnę. Ta ciemna noc, to migotliwe światło, pęd dorożki, przestach dorożkarza i walka prywatnego obdartusa z człowiekiem przyzwoicie ubranym, a wszystko tak plastycznie przedstawiające się — mogłyby mu podsunąć myśl do obrazu pod tytułem: „Porwanie na ulicy...”. Za żadne skarby nie powiem! Wybadam go tylko o stosunki Lachowicza, a temat niech weźmie z mojej powieści...

Cudowna rzecz! Ciekawym bardzo, jaką to zrobi sensację, gdy wszystkie dzienniki chórem powtórzą: Na sali wystawy sztuk pięknych powszechną zwraca uwagę obraz znakomitego malarza Sielskiego, do którego treść zaczerpnął artysta ze świetnej powieści „Niewolnicy warszawscy”, napisanej przez naszego znanego... Ach! Jutro już zabieram się do roboty.

Tak medytując, znakomity literat stanął naprzeciw oświetlonego parterowego lokalu, który zajmował Sielski. Jednocześnie usłyszał na chodniku jakiś szmer i ujrzał za sobą damę w salopie, sobolami podbitej. Wierny popędowi do obserwacji, zajrzał w oczy damie i przekonał się, że ona ma na twarzy maskę błękitną...

Dama weszła do sieni, a za chwilę pan Roman ujrzał wyraźnie zarysowany cień jej na rolecie... w mieszkaniu Sielskiego.

— Niezrównany wieczór! — mruknął literat. — W ciągu jednej małej godziny dwie duże intrygi! Lachowicz porywa pijanego z ulicy, i błękitna maska w sobolach składa wizytę skromnemu Sielskiemu o jedenastej w nocy!...

Niebawem zawartość notatnika wzbogacona została nowym faktem, a głęboki umysł Romana nową zagadką.

— I to podciągniemy pod ogólny tytuł „Niewolników warszawskich” — myślał literat. — Tylko dla niepoznaki muszę napisać, że mężczyzna w masce, przypuścimy czarnej, złożył wizytę damie, nie w wieczór — lecz z rana, i nie w zimie, ale w lecie... skutkiem tych zmian nawet sytuacja się zaostrzy; u nas bowiem w dzień mogliby chodzić w maskach tylko wariaci...

Roman przeszedł kilka razy pod oknami Sielskiego, ubolewając nad tym, że natura odmówiła mu daru jasnowidzenia.

Po co dama, tak dystyngowana i majątna, wnosząc z bogatego futra, przysłała do Sielskiego, i o czym mówili obecnie?... — oto kwestie, za rozwiązanie których literat gotów był poświęcić znaczną część swoich... długów, one bowiem tylko mogły zaimponować w porównaniu z nader skromnymi jego kapitałami.

Do pewnego stopnia jednak okoliczności sprzyjały mu. Lampa widocznie stała gdzieś w głębi pokoju, skutkiem czego na płócienną roletę padały wyraźne cienie osób. Tym sposobem Roman widział, że dama zdjęła salopę i maskę, że oboje z Sielskim rozprawiali bardzo żwawo, wstawali, siadali, chodzili prędko po pokoju... Lecz o czym mówili?... tego domyśleć się nie mógł.

— W każdym razie nie jest to rozmowa miłosna — zauważył literat. — W taki sposób rozmawiają dłużnicy, wierzyciele, ludzie, układający się o interesy, lecz nie osoby zakochane!

Usłyszawszy znowu stąpanie na ulicy, pan Roman cofnął się od okna i tym razem zobaczył o kilka kroków przed sobą... Lachowicza. Malarz szedł prędko, z głową zwieszoną; w ruchach jego uwydatniało się gwałtowne wzburzenie. Wyminął on zmieszanego nieco literata, nie spostrzegłszy go, i wpadł do mieszkania Sielskiego.

Tknięty złowrogim przecuciem, Roman przebiegł na drugą stronę ulicy, nie mogąc jednak oderwać oczu od rolety. Widział on prawie jak na dłoni wejście nagłe Lachowicza, widział, że Lachowicz i Sielski stanęli naprzeciw siebie nieruchomi, dama zaś gwałtownie cofnęła się ku oknu, a potem upadła na krzesło, zasłaniając twarz rękoma. Potem Sielski i Lachowicz znikli, potem ukazał się jeden tylko z nich, znowu po chwili znikł, znowu się ukazał, kilka minut rozmawiał z damą, jakby zapewniając ją o czymś, potem ubrał damę, która nareszcie niepewnym krokiem wyszła na ulicę... Literat porównywał ją w duchu do ranionej lwicy i zrobił to, co byłby zrobił wobec ranionej lwicy: to jest schował się w kącie, w którym żadną miarą zobaczyć go nie mogła.

Gdy dama odeszła, a Sielski przeniósł lampę do innego pokoju, pan Roman, nie wychylając się wcale ze swego kąta, począł medytować w sposób bardzo poważny.

— Jak widzę, moi „Niewolnicy warszawscy” nie są żadną fikcją, lecz namacalną rzeczywistością. Widocznym jest, że obdarty pijak, Lachowicz, dama w masce i Sielski tworzą jakiś potworny związek. — Ale jaki?...

Nasuwa się tu tysiące kwestii; dlaczego Lachowicz porwał i uwięził pijaka, i dlaczego dama w sobolach przestraszyła się go, człowieka, który może mieć tylko kochanki z gminu? Po co dama przysłała do Sielskiego, dlaczego Sielski jej nie odprowadził, dlaczego nie wyrzucił za drzwi Lachowicza i o czym z nim teraz rozmawiał?...

Były to wszystko pytania niewątpliwie ciekawe, i gdyby pan Roman pełnił na przykład funkcję reportera którego z dzienników angielskich, wówczas wpadłby niezawodnie do tajemniczego lokalu i prośbą lub groźbą zmusił spiskowców do stanowczych i wyjaśniających odpowiedzi. W najgorszym razie dowiedziałby się przynajmniej o mieszkaniu i nazwisku damy.

Na nieszczęście, literat nasz prócz ogromnej dozy ciekawości nie posiadał żadnych innych przymiotów reporterskich. Niezależnie od tego, miał on usposobienie, które w polityce nazywa się pojednawczym, i jakkolwiek pasjami lubił myśleć o tragediach, osobistego jednak udziału przyjmować w nich nie chciał — za żadne pieniądze...

W wypadku obecnym porobił on wiele nader chwalebnych postanowień. Przede wszystkim obiecał sobie wymazać z notatnika wszystko, co się do Sielskiego i Lachowicza stosowało, dalej wyrzekł się najuroczyściej chętki pisania dramatu lub powieści pod tytułem: „Niewolnicy warszawscy”, nareszcie — postanowił unikać, a nawet jak najrzadziej wspominać o obu malarzach!...

— W tym wszystkim czuję grubą awanturę — szeptał pan Roman. — Nie budźmy zatem licha i nie kładźmy palca między drzwi!

Najspokojniejsi ludzie i najlojalniejsi obywatele namiętnie lubią czytywać opisy burz, trafiających się na morzu: myślą oni wówczas z rozkosznym dreszczem o niebezpieczeństwie podróży, i chętnie powiększiliby nawet porcję nieszczęść, gdyby to od ich woli zależało. Lecz niech którego z nich zaskoczy burza w polu, niech ujrzy błyskawice, tryskające ze wszystkich punktów widnokręgu, usłyszy grzmot i szum gradu nad głową, wówczas wyrzeka się pięknych widoków, poleca duszę i ciało Bogu i chyłkiem pomyka ku rodzinnemu ognisku, drżącymi powtarzając wargami:

— Wszędzie dobrze, w domu najlepiej!...

ROZDZIAŁ VI

GRA W ODKRYTE KARTY

Tymczasem w mieszkaniu Sielskiego zaszły następujące wypadki.

Kiedy literat znalazł się pod jego oknami, Sielski rozmyślał nad listem, który odebrał przed południem, a którym Leontyna bez ogródki zapowiedziała mu wizytę, jeżeli o jedenastej nie stawi się w oznaczonym miejscu na maskaradzie.

Jedenasta minęła, lecz Sielski się nie zdecydował. Była chwila, że chciał iść na schadzkę, i wówczas począł się ubierać. Następnie, pod wpływem innego zamiaru, przestał ubierać się; później, przypomniawszy sobie obietnicę wizyty, uczył trwogę i chciał uciec z domu. Później śmiał się ze swego przestרחu i postanowił najdalej o północy pójść spać.

— Leontyna jest wprawdzie zepsutym dzieckiem — myślał — w każdym jednak razie awantury nie zrobi... Co by na to powiedział jej ojciec?

Wspomnienie o starcu, który najłżejszy objaw płochości ze strony kobiety poczytywał za zbrodnię, a córkę swoją uważał za ideał skromności, dreszczem przejęło Sielskiego.

— Gdybym mu list pokazał — szepnął — zabiłbym go. Gdyby się o naszych stosunkach sam dowiedział, postąpiłby ze mną jak z nikczemnikiem... I miałby prawo!

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Sielski machinalnie wstał, otworzył je i ujrzał damę w błękitnej masce.

Leontyna stanęła na środku pokoju i głosem wzruszonym zapytała:

— Odebrałeś pan mój list?

Sielski skinął głową.

— I nie odpowiedziałeś nic?

Sielski milczał.

— Więc mnie pan masz! — zawołała dama, zrywając maskę z twarzy.

Sielski nie ruszył się, dama zaś gwałtownym gestem zsunęła futro i rzuciła je na kanapę. Twarz jej pałała.

— Nie zapraszasz mnie pan nawet, ażebym usiadła? — rzekła, zajmując miejsce na szeslongu.

Sielski był tak zmieszany, że słowa wymówić nie mógł. W głowie jego przesunęły się w jednej chwili chaotyczne obrazy ojca Leontyny, jej męża i jej samej wreszcie, jaką była przed kilkoma laty. Czuł trwogę, zdziwienie, niesmak...

Widząc jego kłopot, Leontyna roześmiała się.

— Doprawdy — rzekła — gdyby mi kto przepowiedział, że wizyta moja wywoła podobny efekt, nie przyszedłbym tu... przez litość... Patrząc na pana — mówiła dalej tonem drwiącym — wyobrażam sobie scenę między żoną Putyfara i Józefem... Ale uspokój się pan! Z instynktów jestem raczej dzisiejszą Amerykanką, aniżeli starożytną Egipcjanką...

Jerzy przemówił wreszcie:

— Zakłopotanie moje nie powinno pani dziwić...

Leontyna oparła się o krawędź szezlonga, skrzyżowała ręce na piersiach i nie spuszczać z niego oczu, rzekła po chwili namysłu, tonem już nieco łagodniejszym:

— A widzi pan?... Ogdąłem, że ta lekcja nie zostanie bez pożytku. Kobieta uczciwa, zamieniająca się w awanturnicę, robi zapewne takie wrażenie, jak mężczyzna dobrze wychowany, który został brutalem. Ja więc o tyle jestem nietaktowną, złą, czy śmieszną, o ile stałam się zwierciadłem, które odbija pańskie postępowanie...

Uczucie niesmaku w sercu Jerzego wzrastało.

— Jeżeli jestem tak złym, jak pani mówi, to nie rozumiem powodu...

Sielski zaciął się, a po chwili wahania zawołał z wybuchem:

— Nie, pani!... Nie godziło się tak robić...

— Ach! Teraz już odezwało się uczucie! — rzekła pani Leontyna. — Posłuchaj mnie pan więc... Postępowanie pańskie ze mną — mówiła, ożywiając się — jest okrutne. Odebrałeś mi spokój. Kazałeś zapomnieć o mężu, nauczyłeś lekceważyć opinię świata, i... teraz unikasz mnie. Gdybym pana nie znała, gdybym nie pamiętała twoich zapewnień, pomyślałabym, że jesteś nieuczciwym, i odwróciłabym się ze wzgardą. Ale ja w nieuczciwość uwierzyć nie mogę... W tym się coś ukrywa, a ja muszę wiedzieć co... Dla rozwikłania tej zagadki, zdecydowana jestem na wszystko...

Jerzy milczał, czując w sercu straszliwą pustkę. Jej gorące pytania, głos, w którym dźwięczała namiętność, nie ożywiły go.

— Nie masz pan pojęcia, co się ze mną dzieje — mówiła Leontyna tonem prawie błagalnym. — Od dzieciństwa szłam ciągle jedną drogą. Gdy zostałam żoną i przekonałam się, że mąż mój jest człowiekiem bez wartości, powiedziałam wówczas: ha! trudno... dostał mi się zły los! I szłam dalej. Dopiero pan wprowadziłeś mnie na inną: kazałeś zerwać z przeszłymi wierzeniami, dla przyszłego szczęścia...

Uśluhałam cię, ale szczęścia nie znalazłam, tylko niepokój... Niepokój tym większy, że ten, który miał zostać moim przewodnikiem — opuścił mnie. Ludzie czyn taki nazywają zdradą, ale ja w to nie wierzę... Nie chcę potępiać pana bez dowodów, nie chcę wątpić o twojej szlachetności...

Leontyna wzburzona wstała i przeszła się po pokoju. Potem znowu siadła, z najwyższą niecierpliwością czekając na odpowiedź. Chwilami zdawało się, że upadnie Sielskiemu do nóg, chwilami — że go rozszarpie.

Jerzy oddałby pół życia, gdyby znalazł w sercu choć kropelkę miłości. Na nieszczęście, w tej ważnej chwili czuł tylko ogromny kłopot i — nic więcej.

Coś jednak trzeba było odpowiedzieć, lecz Sielski nie wiedział co. Wreszcie zły duch widać ulitował się nad nim i podszeptał mu frazes.

— Nie rozumiem — wybełkotał bezmyślnie — dlaczego pani sprzeciwia się rozwodowi?...

Leontyna oblała się pąsem.

— Więc pan mi tak odpowiadasz?... — wykrzyknęła drżącymi ustami.

Wybuch ten, nie wiadomo z jakiej racji, ośmielił Sielskiego.

— Sądzę — rzekł — że nam to tylko pozostaje...

— Dość już! — zawołała. — Wiem wszystko! A potem mówiła dalej z nieopisaną ironią: — Postępujesz pan jak dobry chrześcijanin... Zgrzeszyłeś i pragniesz odpokutować, co jest bardzo pięknie... Daruj pan jednak, że pomagać mu w nawróceniu nie będę. Mąż, którego mam obecnie, znudził się mną dopiero po ślubie, pan — nieco wcześniej... Dziękuję za naukę!...

Z tymi słowy podniosła się, widocznie zamierzając wyjść. Ku upokorzeniu natury ludzkiej dodać musimy, że Sielski, dostrzegłszy ten ruch, swobodniej odetchnął. Czuł on, że w opinii Leontyny jest nieodwołalnie zgubionym, że nim wzgardziła, że go nienawidzi... Świadomość ta jednak kłopotowała go mniej, aniżeli odwiedziny.

W tej chwili osłupiał, ugodzony niespodzianym ciosem.

Niezamknięte drzwi od sieni nagle otworzyły się, i stanął w nich Lachowicz.

— Ha!... jestem zgubiona!... — krzyknęła Leontyna. — Cóż to za nikczemność!... — dodała.

I upadła na krzesło, zalewając się łzami.

— Przepraszam! — odezwał się z uśmiechem Lachowicz.

Sielski, błąd jak ściana, wziął go pod rękę i zaprowadził do drugiego pokoju.

— Mój Ludwiku — mówił struchlały — nie myśl źle...

— Boże uchowaj! — odparł przybyły — złego nic w tym nie widzę, wyjąwszy małą nieformalność. Takie bowiem wizyty składają się zwykle po maskaradzie...

— Ależ, przysięgam ci!...

— Wierzę i dlatego odchodzę — przerwał mu sarkastycznie Lachowicz. — Tylko mi pożycz kilka rubli, bo jestem dziś w okropnych opałach.

Sielski spojrział na niego z najwyższą pogardą, a następnie rzekł:

— Zaczekaj na mnie...

I wrócił do Leontyny.

— Winszuję panu współnika! — zawołała, łkając. — Teraz dopiero pojmuję, com zrobiła, ale już za późno...

— Wierz mi pani, że nie jestem winien temu — odparł znękany Jerzy.

— Wierzę panu!... Masz zresztą świadka w tych oto drzwiach, których zapomniałeś zamknąć...

— Istotnie, że zapomniałem...

Oboje umilkli.

— Jutro — mówiła po chwili, jakby do siebie, Leontyna — stanę się bohaterką ostatniej maskarady. Męża mego serdecznie to ubawi, a ojciec... O, mój ojciec, za cóżem ja cię tak skrzywdziła!...

Sielski zbliżył się do niej z ustami zaciśniętymi i rzekł półgłosem:

— Słuchaj pani... Przysięgam ci na popioły mojej matki, że o wypadku tym nikt wiedzieć nie będzie, choćbym miał jego zabić i sam życie stracić... Postąpiłaś pani źle... bardzo źle, mówię ci to wprost. Lecz mimo to strzec będę twego honoru dotąd, dokąd sama się go nie wyrzekniesz...

— On wszystko powie... Zemści się niezawodnie... Obraziłam go przecież na tamtej maskaradzie — szeptała Leontyna.

— Nie obawiaj się pani!... Znajdę ja sposób zamknięcia mu ust i zamknę, choćbym miał największe ofiary ponieść. A teraz — zostaw nas pani samych... Czy powóz ma pani?

— Mam na rogu ulicy — odpowiedziała Leontyna, patrząc w ziemię. Potem włożyła na twarz maskę, przyjęła od Sielskiego futro i wyszła na ulicę.

Jerzy zamknął mieszkanie na klucz i wrócił do Lachowicza, który oglądał obraz niedawno rozpoczęty i zasłonięty firanką. Był to „Ostatni dzień skazanego” — robota przeznaczona na konkurs.

Teraz dwaj malarze po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy: Sielski był prawie nieprzytomny, Lachowicz spokojny i szydarczy.

— Na konkurs? — odezwał się Lachowicz, wskazując obraz.

— Tak.

— Czy wiesz, że i ja staję?...

— Nic mnie to nie obchodzi — odpowiedział Sielski zarozumiale.

Lachowicz uśmiechnął się gorzko, a potem rzekł:

— No, mniejsza o to!... Miałeś mi pożyczyć pieniędzy...

— Ile?

— Daj... pięć rubli...

Sielski wydobyl pieniądze z biurka i oddał je Lachowiczowi, który znowu rzekł:

— W takim razie, dobranoc!... Przepraszam cię też za przyjście nie w porę — dodał z figlarną miną.

— Siądź-no! — odparł Sielski.

— Nie mam ani chwili czasu. Upewniam cię, że mego powrotu niecierpliwiej oczekują, niżes ty oczekiwał na miłą wizytę...

— Powiadam ci... siadaj i staraj się choć na chwilę porzucić dowcipy, bo mogą się ciebie nie doczekać... ci, którzy cię czekają.

— Ho! ho! ho!... — roześmiał się impertynencko Lachowicz, siadając w kapeluszu na głowie.

— Czy myślisz wydobyć z szuflady rewolwer i zmusić mnie do podpisania rewersu na pięćset rubli?...

— Poznałeś tę damę, która była u mnie? — przerwał Sielski.

— Szykowna!... palce lizać.

— Jest to córka mego opiekuna.

— Fiu! fiu!... Dobrze mu się wypłacasz za opiekę...

— Przysięgłem, że nikt nie będzie wiedział o jej bytności u mnie.

— Ja bym zrobił to samo.

— Tobie zaś przysięgam, że ona nie jest moją kochanką, i że wizyta jej zrobiła mi wiele przykrości — zakończył Sielski.

— Gdybyś od tego zaczął naszą rozmowę, nie byłbym z was żartował — rzekł Lachowicz poważnie i zdjął kapelusz.

— Ja nie dbam o twoje żarty!... — mówił z uniesieniem Jerzy. — Twoje żarty nie dosięgają mnie, ani jej...

— Więc czego chcesz? — spytał, marszcząc brwi, Lachowicz.

— Chcę, ażeby nie było plotek w mieście...

— Z tym żądaniem musisz się chyba odwołać do Pana Boga, który plotkom żyć pozwala.

— Bądź ostrożny! — upomniał go do najwyższego stopnia rozdrażniony Sielski.

— Czyś oszalał?... — krzyknął nagle Lachowicz, zrywając się z krzesła. — Co znaczą twoje głupie pogrożki, komu je rzucasz, czego wreszcie chcesz ode mnie?

— Chcę, ażebyś mi powiedział, za jaką cenę będziesz milczeć?...

Lachowicz zatrząsł się.

— Za kogo ty mnie uważasz, panie Sielski?...

— Za tego, kim jesteś... za człowieka bez zasad, dla którego jedynym hamulcem jest interes...

— Cha! cha! cha! — wybuchnął Lachowicz, chwytając się za boki. — No, więc mi zapłać... daj mi parę rubli i będziesz spokojny.

— Za mało!

— Wypij, synku, szklanekę wody, a przekonasz się, że za dużo... Gdybyś zaś wypił karafkę, poznałbyś, że w tym wypadku nawet rubla byłoby szkoda... Poprzestałbyś na moim słowie, które w łaskawych oczach twoich nie warte i trzech groszy.

— Nie mówmy o słowie, ale o interesie! — przerwał Sielski.

— Więc może mi dasz cały swój majątek?

— Dałbym ci go, ale to by się na nic nie zdało. Wymyśl coś lepszego... ty za mało kochasz pieniądze.

— Co za wariat!... Daję ci słowo, że jesteś zdenerwowany i że najlepiej zrobisz, jeżeli umywszy sobie głowę, spać pójdziesz...

— Kończmy — nalegał Sielski.

Lachowicz spoważniał.

— Więc kończmy! — rzekł. — Przysięgam ci na honor, że nikt o wizycie tej wiedzieć nie będzie.

Sielski ruszył ramionami i milczał. Widząc to, Lachowicz zbliżył się do niego, spojrzał mu w oczy i zapytał:

— Tak?... Więc słuchaj... — Głos mu drżał, jak w febrze. — Słuchaj, gdybym obmyślił jakąś podłość i wykonał ją tu... w oczach... czy uwierzyłbyś mi wtedy?

— Tylko... wtedy.

— I ty to mówisz z przekonania?

— Z głębokiego przekonania.

— Ty to mówisz... ty, którego nazywają szlachetnym, uczuciowym, honorowym?...

— Ja!... ten, którego nazywają szlachetnym — odpowiedział Sielski.

Śniada twarz Lachowicza zrobiła się żółtą, oczy miał wilgotne.

— Panie Sielski — rzekł — pastwisz się nade mną, i ja ci zapłacę!

— Jestem przygotowany na wszystko. Podaj warunki...

— Stawiam jeden tylko warunek — odpowiedział Lachowicz. — Od dzisiejszego dnia, aż do chwili, w której sam cofniesz to, coś powiedział, nie wolno ci nikomu okazywać obrazu, który wymalowałeś na konkurs...

Sielski zawahał się.

— No, cóż?

— A dochowasz tajemnicy?...

— Naturalnie!... Gdy taka, jak ty, piramida zejdzie z pola sztuki — dodał szyderczo — interesy moje pójdą w górę. No, a przecież tobie o moje interesy chodziło.

— Czy napiszesz tego rodzaju umowę? — zapytał Sielski.

Lachowicz usiadł przy biurku i śmiejąc się, na dwu arkuszach papieru spisał akt:

„Ażeby nie robić niebezpiecznej konkurencji malarzowi Ludwikowi Lachowiczowi, obowiązuję się nikomu nie okazywać znakomitego obrazu p.t. „Ostatni dzień skazanego”. W zamian za to, tenże Lachowicz obowiązuję się nie zdradzić przed nikim wiadomej mu tajemnicy, dotyczącej honoru kobiety”.

— Czy jesteś teraz pewny? — spytał Lachowicz tonem drwiącym.

— Teraz... jestem! — odpowiedział Sielski uroczyście.

— Zarozumiałe oślisko! — mruknął Lachowicz.

Gdy obaj podpisali dokumenty, Sielski rzekł:

— Sprzedałem ci duszę...

— Ja swoją także sprzedałem — odparł Lachowicz.

— Wiem... diabłu!

Lachowicz schował papier i zabrał się do wyjścia. Stojąc na progu, spytał jeszcze Sielskiego:

— Czy już mi nic nie masz do powiedzenia?

— To, że ci strzelę w łeb, jeżeli nie dotrzymasz umowy.

— I nic więcej?...

Sielski odwrócił się tyłem do niego.

Gdy Lachowicz wyszedł, Sielski zdjął zaczęte płótno ze sztalug i rzucił je na ziemię. Dobry ten skądinąd chłopak miał dużo zarozumiałości i w tej nawet chwili sądził, że co najmniej jest bohaterem tragedii.

Lachowicz tymczasem, zapomniawszy o Sielskim, biegł w kierunku pewnej ulicy, do drewnianych domów, gdzie w zimnej komórce jęczał starzec, dotknięty początkami tyfusu.

Starzec ten wieczorem uciekł ze swego mieszkania i przy jednym z szynków na Krakowskim Przedmieściu znaleziony został przez Lachowicza.

ROZDZIAŁ VII

TEMPORA MUTANTUR

Osoby, znajdujące się na tym stopniu oświaty, że już pozwalają sobie kompromitować Darwina potępianiem lub potwierdzaniem jego teorii, osoby takie nie wierzą zazwyczaj w strachy, kabałę, tudzież szczęśliwe i nieszczęśliwe dni w tygodniu. Dni przecież takie istnieją, wprowadzie nie w tygodniu, ale w życiu ludzkim. Dla każdego człowieka dzień urodzenia, włożenia pierwszych butów, wypalenia pierwszego papierosa, zaciągnięcia pierwszego długu, pocałowania pierwszej kobiety, należą do feralnych. Szczęśliwych nie wyliczamy tutaj, jest ich bowiem tak niewiele, że je każdy pamięta.

Z tym wszystkim i szczęśliwe istnieją: przekonał się o tym Lachowicz. Pewnej nocy sen odbiegł go; malarz wstał bardzo wcześnie i wielkimi krokami (z większym jeszcze niepokojem w sercu) przebiegał swoją pracownię. W południe wypił szklankę herbaty z cytryną, do której zapomniał włożyć cukru, po południu rzucił się na swoje nieosobliwe łóżko i począł marzyć.

W czasie tym sądzono konkursowe roboty artystów. Oczyma duszy widział Lachowicz gromadkę ludzi, której swój „Ostatni dzień skazanego” rzucił na pastwę. Jeden z panów tych był przyjacielem malarza X., drugi mężem przyjaciółki pana Z., trzeci miał pretensję do Lachowicza za to, że mu się nie kłaniał, czwarty nie znał go osobiście, piąty źle słyszał o jego moralności, szósty nie słyszał nic, ani o nim, ani o nikim innym, lecz chorował na katar żołądka; siódmy był zdrow jak ryba, lecz miał zwyczaj drzemać między trzecią i czwartą.

Wszystkie te instrumenty konkursowego sądu, tak rozmaicie nastrojone, miały dziś zagrać z jednego tonu. Nie jest że to nieprawdopodobieństwem? A przecież od nieprawdopodobieństwa tego zależała sława, majątek i całe prawie życie Lachowicza... Lecz czyż sława i majątek same przez się nie były już niemożliwością dla tego człowieka z potarganymi włosami i brodą, którego niedawno palcami wytykano, dla lichwiarza, który za cenę dochowania tajemnicy kupował dusze ludzkie, dla nędzarza, który utrzymywał się prawie z jałmużny?

Powiedzcie ludziom, że jakaś garść śmieci warta jest tysiące, a uwierzą wam — będą się bowiem domyślali, że jest w niej diament ukryty. Ale powiedzcie komuś, że jego znajomy jest geniuszem!...

— Co, on?... Ten, z którym ja wczoraj herbatę piłem?... Ten w butach dziurawych, ten... no ten, na którego co dzień patrzę i nic w nim nie widzę?... Bajesz, mój przyjacielu, gorączkę masz!....

Sędziowie konkursowi, ludzie ułomni, mieliby dokazać tego cudu, przyjąć na siebie brzemie podobnej odpowiedzialności, rzucić pęk światła na nazwisko Lachowicza, na ten szyld, obrzucony dotychczas błotem?...

— Eh!... gdzie tam!... — powiedział sobie około piątej w wieczór Lachowicz.

O tej samej porze na schody, wiodące do jego mieszkania, wstępował członek konkursowego sądu, chory na katar żołądka. Gdy wszedł do pracowni, zapytał:

— Tu pan Lachowicz?

— Jestem — odparł malarz.

— Jakże tu ciemno!... Cóż to, światła pan Lachowicz nie używa?... Aaa!...

Malarz zapalił lampę i z podziwieniem przypatrywał się oryginałowi.

— Cóż pan tak patrzysz?... Ludzi pan nie widziałeś?... Ooo... aach!... — mówił przybyły, mężczyzna wysoki, siwiejący, z twarzą bladą, jakby nalaną i żółto-piwnymi oczyma.

— Ludzi widywałem — odparł malarz — no, ale nie takich!...

— Toś pan Lachowicz? — pytał sędzia konkursowy, patrząc na niego przez ramię i z pod oka.

— A cóżeś pan myślał?... Czym nie podobny do siebie?... — odpowiedział Ludwik tym samym tonem i w takiej samej pozycji.

— Ooo... aaa!... — ziewnął przybysz. — No, kiedy tak, to sobie siadę.

— Bardzo proszę.

— Lachowicz... widzę malarz... musi być ten sam... — mruczał przybyły. — Czy to pański jest „Ostatni dzień skazanego?”

— Jeżeli ten, o którym ja myślę, to mój.

— No ten, który dostał nagrodę.

— Jak to?... mój obraz dostał nagrodę? — wykrzyknął Lachowicz.

— Oooo... aaa!... — ziewnął gość, wspierając obie ręce na kolanach i tocząc oczyma po wiszących w pracowni obrazach.

— Więc dostał... naprawdę?... — pytał malarz.

— Powie panu o tym woźny... Ja nie przychodzę z wiadomościami, tylko chcę obraz kupić.

Jakie jest pańskie żądanie?

— Za co? za mój obraz nagrodzony? Cóż to za szczęście!...

— Dam tysiąc rubli...

— Daj pan, ile się panu podoba.

— To dam tysiąc dwieście, bo mi się tyle podoba. Będziesz pan miał okrągłe dwa tysiące rubli.

— Dwa tysiące rubli...

— Ci panowie... ooo... aaa!... powiadają, że u nas nie ma kto płacić. Miejcie tylko geniusz, za geniusz wszędzie płacą.

— Dziękuję panu...

— Dobrze. Ale pieniądze dopiero jutro oddam. Obraz zostawię na pół roku Towarzystwie, a potem w pakę i do domu.

— Rób pan, jak mu się podoba.

— Ja też tak robię! Nie tak wprawdzie, jak mu się podoba, ale jak mnie się podoba. Dobranoc.

— Żegnam pana!

Już na schodach gość rzekł:

— A przyjdź pan kiedy do mnie. Oto mój adres... Ja o sztukach pięknych z malarzami nie gadam, tylko daję im dobre jedzenie, wino i cygara. To jest sztuka piękna!

Gdy szczególnie ów protektor sztuki znikł, Lachowicz przyznał, że jegomość musi jednakże mieć więcej rozumu i serca, niż się to na pozór wydaje. Wkrótce przecież zapomniał o nim i oddał się całkowicie rozmyślaniom o swoim szczęściu.

Dzień ten był punktem zwrotnym w życiu Lachowicza. Odtąd wszystkie pisma mówiły o nim, w ciągu tygodnia sprzedał trzy obrazy i miał kilka tysięcy rubli gotówką; znajomi patrzyli na niego z podziwem, nieznajomi prezentowali mu się, lub zapraszali do siebie.

Gdy był w teatrze, widział, że z niektórych łóż kierują się na niego lornety. Gdy szedł przez ulicę, dostrzegał niekiedy, że idący naprzeciw niego coś szepczą do siebie i oglądają się za nim. Obraz jego Towarzystwo umieściło w oddzielnym salonie, pobierało opłatę na dobroczynność, a mimo to widzów było pełno.

Wobec takiego stanu opinii publicznej, Lachowicz uznał za właściwe ostrzyć sobie włosy, uporządkować brodę i włożyć nowy garnitur.

Przedtem jednak zrobił wiele innych rzeczy.

Naprzód — spłacił wszystkie długi, z wyjątkiem Sielskiego, któremu nie chciał odesłać, a nie śmiał odnieść.

Następnie wynajął na jednej z odległych ulic małe, lecz czyste i ciepłe mieszkanie, w którym umieścił pewnego chorego starca, przydając mu do usług i dozoru stróża Stanisława wraz z jego żoną.

Potem udał się na pensję do siostry.

Przełożona przyjęła go z ostentacyjną grzecznością i niesłychanie rozczuliła się, otrzymawszy opłatę do końca roku.

W kilka minut potem wbiegła Zosia.

— Ach! Ludwisiu... — zawołała dziewczynka — co się tu u nas dzieje! Wczoraj profesor pytał mnie, czy ja jestem rodzoną siostrą Ludwisia. Ja powiedziałam, że jestem — a on wtedy powiedział, że Ludwiś jest najzdolniejszy malarz w Polsce, i że powinnam Ludwisia bardzo kochać. Ja się ogromnie zawstydziłam, a zaraz po lekcji, wszystkie panny zaczęły mnie całować i powiedziały, że chcą zobaczyć Ludwisia. Nawet jedna napisała wiersze... Cały arkusz!

Lachowicz śmiał się, słysząc opowiadanie siostry i widząc w półotwartych drzwiach gromadkę główek panińskich.

— Zosiu! — rzekł — jutro nie będziesz w szkole...

— O to dobrze!... Ale dlaczego?

— Będziesz sobie kupowała ubranie.

— Jakie ubranie?... Ależ ja tego nie potrafię.

— Pomogę ci, a tymczasem bądź zdrowa i weź te oto cukierki.

— Cukierki?... To dopiero Ludwiś musi być bogaty! A czy ja mogę dać połowę ich Józi, tej z drugiej klasy, bo ona nigdy cukierków nie dostaje.

— Możesz dać wszystkim Józiom, jakie tylko są na pensji.

— Ale ja powiem, że Ludwiś sam kazał jej dać. To się dopiero ucieszy!

— Jak ci się podoba.

Zbytecznym byłoby nadmieniać, że Ludwik dotrzymał słowa i że na drugi dzień nie tylko kupił Zosi salopkę z futrem, mufkę, kapelusz i wiele innych rzeczy, ale nadto poszedł z nią do cukierni na czekoladę, a wieczorem do teatru. Dziewczynka nie posiadała się z radości, a wróciwszy na pensję, całą noc spać nie mogła.

Załatwiwszy w taki sposób najpilniejsze interesy, wybrał się i do cukierni, myśląc z niepokojem: w jaki też go sposób przyjmą? Od czasu bowiem niedoszłego pojedynku nie był tam jeszcze.

Gdy wszedł, zastał to samo towarzystwo, na tych samych miejscach. Przybyło tylko paru nowych literatów, ubył Sielski, a jeden adwokat zapuścił brodę.

— Herbaty! — rzekł do markiera.

— Witamy!... prosimy bliżej! — odezwało się kilka głosów.

— Bądź pozdrowiony, bohaterze dnia i twórco nowej szkoły! — zaczął adwokat z brodą, ściskając go za rękę.

— Dlaczegoż pan tak dawno u nas nie był? — dorzucił asesor.

— Kochany panie Ludwiku, czy mogę zadać jedno pytanie? — pytał literat Roman.

— Jestem do usług.

— Jakie okoliczności nasunęły panu pomysł do tej świetnej grupy?

— Nie pamiętam. Zdaje mi się, że jakaś sprawa w cyrkule.

Literat począł zapisywać.

— A do pańskiego obrazu „Zachód słońca”?

— Rozumie się, że naturalny zachód słońca.

Literat wciąż pisał.

— Kawa czarna i likier! — wołał tymczasem kelner.

— Niech pana to nie obraża, panie Ludwiku, jeżeli powiem, że od dawna przeczuwałem triumf pański — mówił doktor. — Pańskie dawniejsze obrazy miały jakąś szczególną cechę, której nie potrafiłbym określić, ale...

— To samo każdy z nas widział, tylko, znając pana Lachowicza, uważał za rzecz arcynaturalną, i dlatego nie zwracał na to uwagi — przerwał pan Roman.

— Dwa poncze! — wołał kelner.

— Ciekawym, dlaczego Sielski się nie pokazuje? — spytał asesor.

Lachowicz zbladł.

— Musi być chory — odpowiedział ktoś z boku.

— Chory moralnie — dorzucił inny.

— Nie posądzajciez go o zazdrość — zaproponował doktor. — Sielski jest miły malarz, ale chyba pretensji do geniuszu nie miał nigdy.

— O ile wiem — odezwał się jeden z literatów — Sielski cofnął się z konkursu, przewidując klęskę.

— Tak?... Zazdrość w tej sprawie musi odgrywać jakąś rolę — zauważył ktoś.

— Sielski pomysły ma znakomicie niższe, aniżeli pan Lachowicz, i dużo manieri...

— Panowie! — rzekł Lachowicz. — Sielski jest prawym człowiekiem, zrobił mi wiele dobrego; raczcie więc nie mówić o nim w taki sposób.

Zebrani umilkli, pan Roman zanotował słowa te w notatniku, a entuzjasta „kapitan” z dragońskimi wąsami wykrzyknął:

— Lubię takich oficerów!

A potem szepnął:

— Słuchaj-no, może byśmy teraz skończyli z owym pojedyńkiem?

I ścisnął Lachowicza za rękę, który (dziwna rzecz!) czuł się w tej chwili zmieszany i nieszczęśliwym.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis!

Gdy Lachowicz opuścił admirujące go towarzystwo, po niejakim wahaniu poszedł ku domowi, zajmowanemu przez Sielskiego. Okna były oświetlone, co zobaczywszy, Ludwik cofnął się nagle i szybko wrócił do siebie.

— Niech on przyjdzie do mnie! — szepnął. Postanowienie to jednak zmieniło się z następującego powodu.

Pewnego dnia poszedł na wystawę; nie w tym bynajmniej celu, aby powiększyć liczbę wielbicieli swego dzieła, lecz po to, aby posłuchać zdań publiczności.

W saloniku było sporo widzów. Jedni zarzucali obrazowi, że jest zbyt mały, drudzy chwalili perspektywę, inni ganili sposób malowania, robiąc przy tym uwagę, że artysta zamiast pędzla musiał używać kwacza do smarowania wozów. Sensaci nie mówili nic, tylko przypatrywali się obrazowi przez lornety, lub dłoń zwiniętą w trąbkę.

Powoli salonik opróżnił się, i zostały tylko, oprócz Lachowicza, dwie osoby.

Jedną z nich była dama więcej niż w średnim wieku, tłusta, przysadzista, z rozumnym wyrazem twarzy. Zdania jej były stanowcze, lecz spokojne i rozsądne.

Drugim widzem była młoda, może osiemnastoletnia panienka w błękitnej sukni, w długim popielatym burnusie i czarnym kastorowym kapelusiku. Stojący około drzwi malarz podziwiał jej grube, popielate warkocze, a gdy odwróciła głowę — piękne, szafirowe oczy, płeć, przypominającą listek róży, i cudnie zarysowane usta.

— Szczególny styl — szepnęła dama poważna. — Gdy patrzę na ten obraz, jestem pewna, że jego twórca anioła, na przykład, nie potrafiłby wymalować.

— W każdym razie jest to potężny umysł — odpowiedziała panienka. — Ten obraz widzę już trzeci raz i coraz nowe odkrywam w nim szczegóły.

— Umysł niewątpliwie potężny, lecz, jak słyszałam, charakter nieosobliwy.

— I pani temu wierzysz?... — zapytała z oburzeniem młoda panna. — Pani przypuszcza, że dusza ułomna może mieć podobne natchnienia?

— Przesadzasz, Jadzia!

— Wcale nie! — mówiła, zapalając się, panna. — Niech pani tylko nad treścią obrazu pomyśli... Tego człowieka nikt żegnać nie przyszedł, albo więc nie ma rodziny, albo ma taką, która o niego nie dba, i dlatego, może być, został zbrodniarzem... Nie mieć się z kim żegnać, mój Boże, jakież to smutne!...

Słuchając tych komentarzy, robionych półgłosem, Lachowicz drżał...

— Egzaltujesz, Jadziu! O ile wiem, artysta sam nie ma rodziny, nie myśli o niej zatem i nie umieścił jej na obrazie.

— Nie mówmy już o tych kwestiach — przerwała panna. — Ja wierzę, że znakomity artysta musi być szlachetnym; dobrze mi z tym, przy tym więc pozostanę.

— Zakochałaś się... w obrazie!

Panna Jadwiga oblała się rumieńcem, lecz, już nic nie mówiąc, wyszła.

Zwykły śmiertelnik, wysłuchawszy podobnej rozmowy, byłby kontent, uszczęśliwiony, oczarowany wreszcie... Z Lachowiczem stało się przeciwnie. Raniły go słowa damy starszej, lecz gnębiła i torturowała nieograniczona ufność dziewczicy. Zdawało mu się, że dusza jego to wulkan dotychczas drzemiący i skorupą okryty, i że dopiero od kilku minut skorupa ta poczęła się wstrząsać, łamać i przepuszczać języki płomieni, zdolnych ogarnąć i spalić całą jego istotę.

„On musi być szlachetnym!...” — co za straszne słowo, jaki cios!... I kto wyraził tę ufność? Czy kapłan, czy filozof moralista, czy rozumny sędzia kryminalny?... Nie; powiedziała to dziewczyna niedoświadczona i niewinna.

A co będzie wówczas, gdy wybije godzina, w której to dziewczę młode musi przyznać, że się myliło?...

Lachowicz podobny był teraz do człowieka, którego zaskoczyło trzęsienie ziemi. Przekonał się, że grunt, na którym stał dotychczas, nie jest trwały, że musi się cofnąć z jakiejś drogi, po której szedł od dzieciństwa, nie zdając sobie sprawy z kierunku. Odtąd musi wejść na inną, ale z jakiej i na jaką?...

Opamiętał się i pobiegł za dwoma kobietami; chciał dowiedzieć się, gdzie mieszkają, nie zdając sobie sprawy, w jakim celu to robi. Tymczasem patrzył na ulicę i dziwił się, że domy stoją na zwykłych miejscach, a ludzie chodzą i rozmawiają najspokojniej. Czy podobna być spokojnym po tak olbrzymim przewrocie?... Zapomniał, że przewrót ten dokonał się tylko w nim samym.

Damy mieszkały niedaleko wystawy, w domu eleganckim, na parterze. Okna ich wychodziły na pusty plac, na którym, widocznie, miano coś budować z wiosną. Obszedłszy dom dokoła, Lachowicz wstąpił powtórnie do bramy i zaczepił stróża.

— Mój kochany!... — rzekł, dając mu złotówkę.

— Czego pan sobie życzy?...

— Kto tu...

Stróż słuchał.

— Czy niema u was mieszkania do wynajęcia?

— Nie ma, panie; tu po kilkanaście lat mieszkają.

Malarz chciał spytać o nazwisko lokatorek mieszkania parterowego, zląkł się jednak samej tej myśli i wyszedł na ulicę, niczego się nie dowiedziawszy. A wstydził się nawet w obecności stróża listę lokatorów przeczytać.

Gdy wrócił do domu, jeszcze raz obrachował długi, różnymi czasy zaciągnięte u Sielskiego, wziął osiemdziesiąt rubli do kieszeni i wyszedł.

Tułał się po najrozmaitszych ulicach, dwa razy okrążył dom Sielskiego, lecz nie wszedł tam. Walczyły w nim dwa prądy myśli: na czele jednego stały wyrazy: „on musi być szlachetny”, na czele drugiego: „jest to nieosobliwy charakter”.

W tym samym czasie Sielski także myślał o Lachowiczu. Przed kilkoma dniami jeden ze znajomych spytał go:

— Czy nie widujecie się z Lachowiczem?

— Nie mam tej przyjemności — odparł Sielski.

— Widocznie między wami są jakieś nieporozumienia?

— Bynajmniej!... Teraz właśnie rozumiem go zupełnie.

— Bój się Boga, Jerzy, pogódźcie się! — błagał wścibski. — To dobry chłopak, on się za tobą ujmuje!...

Ta to właśnie rozmowa przyszła teraz na myśl Sielskiemu.

— On się za mną ujmuje?... Ha!... lepszy to widać gracz, aniżelim sądził. Musi mieć jakiś planik...

Dobrowolnie wlażem w ręce temu łotrowi, który dziś w dodatku poczyna robić karierę!...

Było już ciemno, Sielski więc zapalił świecę i chodził wielkimi krokami po pokoju, usiłując odgadnąć plan zemsty Lachowicza. W tej właśnie chwili ukazał się on sam.

Sielski włożył ręce w kieszenie i stanął na środku pokoju.

— Przyszedłem ci dług oddać — zaczął cichym głosem Lachowicz. — O ile wiem, jestem ci winien osiemdziesiąt rubli.

To mówiąc, położył paczkę pieniędzy na stole. Sielski nawet ust nie otworzył.

— Czy już mi nic nie masz do powiedzenia, Jerzy?... — spytał Lachowicz.

— Wszystko już powiedziałem.

— I nie cofasz nic? — spytał Ludwik powtórnie, czując, że się w nim krew burzy.

Sielski przeszedł się po pokoju i nagle zawołał:

— Po coś tu przyszedł?

— Przyszedłem przemówić do twego rozsądku i uczciwości — odparł Lachowicz.

— Cha! cha... komediancie!... Tego rodzaju czarne charaktery, jak twój, znane są już wszystkim pokojówkom... Nie próbuj zatem odgrywać przede mną roli, do której nawet nie masz zdolności!

Lachowicz uczył zawrót głowy.

— Ty dzieciuchu niepoprawny!... — wykrzyknął.

— Precz stąd!... — zawołał Sielski — i pamiętaj, że ty masz moją tajemnicę, a ode mnie zależy twoja sztuczna sława i rzeczywiste dochody...

— Słuchaj, panie Sielski! Za to, co mi mówisz i co powiedziałeś wówczas, powinienem być już sto razy ogłosić twoją śmieszną tajemnicę, która się tylko takiemu jak ty, szalonemu pyszałkowi, wydawać może czymś wielkim... Jeżeli zaś jej nie ogłaszam i jeżeli nie pokazuję ludziom tego błazeńskiego aktu, to jedynie w tym celu, aby cię przekonać, że więcej wart jestem od ciebie...

— Dobranoc panu Lachowiczowi!

— Ja już byłem tu po raz ostatni — mówił znowu Ludwik — teraz na ciebie kolej. Tymczasem, jeżeli tak chcesz koniecznie, możesz i nadal nie pokazywać nikomu swego obrazu — możesz nawet i nic już nie malować!... Kto wie, gdy będziesz więcej myślał i zastanawiał się nad swoim postępowaniem, może poznasz wtedy, jakieś mnie skrzywdził, i jak ja ci się wypłacam.

I wyszedł wzburzony.

— Bezcelne pozowanie!... jaka zarozumiałość obok nیکczemności!... — mruknął Sielski. — O, gdybym go mógł zdemaskować, a potem zdeptać!...

Na drugi dzień w jednym z pism Lachowicz przeczytał: „Pan X. zwrócone mu przez pana Y. rubli osiemdziesiąt przeznaczona na rzecz kryminalnego przestępcy, który już karę odsiedział”.

— Nie!... w tym Sielskim niema iskiejki uczciwości — pomyślał Lachowicz. — Są tylko ładne pozory, ale grunt zły!

ROZDZIAŁ VIII

CHORE SERCE

Sława Lachowicza wzrastała z każdym miesiącem, dochody tak samo, dzięki pomocy chorego na katar żołądka sędziego konkursu, który wszystkie obrazy malarza wysyłał za granicę, sprzedawał je drogo, a jednocześnie zrobił mu niemały rozgłos.

Talent Ludwika uległ teraz pewnej zmianie. Dotychczasowe pomysły jego były wprawdzie znakomite, lecz nosiły jakąś dziką cechę; od kilku miesięcy jednak, w pracach tych można było spostrzec rysy rzewne i chwytające za serce. Nowy ten charakter znakomicie uwydatnił się w obrazie pod tytułem „Burza”. Oto jego treść: Niebo okryte czarnymi i ołowianymi chmurami, które prawie pełzały po ziemi; na porębie, wśród lasu, widać sosny, gnące się jak trzciny, upadające i połamane dęby. Ponury krajobraz rozświetla błyskawica, przy której widz dostrzega psa i dziecko, tulące się pod pień strzaskany. Dziecko klęczy zgięte ku ziemi i z wyrazem nieopisanej trwogi, patrzy na jedno z drzew przewróconych, pod którym widać rękę w sukmanie...

Obraz ten przejednał najzaciętszych wrogów Lachowicza, otworzył mu mnóstwo serc, kieszeni i salonów, lecz, niestety! szczęścia nie dał. Prawie od dnia konkursu malarz zrobił się smutny, wizyty składał rzadko i w ogóle unikał ludzi.

Najmilszym zajęciem Ludwika było krążyć po ulicach, zaglądać do kościołów, teatrów i na sale koncertowe. W wycieczkach tych spotykał niekiedy pannę Jadwigę, która przeczuła widać oryginalnego wielbiciela, gdyż zawsze na jego widok oblewała się rumieńcem.

Nie pytał nawet o jej nazwisko, bo i cóż go ono obchodziło?... Przypuszczał, że może się z nią poznać, lecz co potem?... Miałże się oświadczyć?... Ale cóżby powiedział, gdyby go spytano o rodzinę?... Oprócz siostry, najlepszej dziewczynki na świecie, był jeszcze ktoś, był człowiek straszny, którego żadna kobieta nie nazwałaby dobrowolnie ojcem.

Jest to dopiero jedna strona kwestii, lecz istniała i druga. Stary człowiek mógł kiedyś umrzeć, zdrowie bowiem jego, szczególnie po przebytych tyfusie, mocno szwankowało. Ale żył jeszcze Sielski, młody i nienawidzący Lachowicza, jak nigdy nikogo. Dziś on niebezpiecznym jeszcze nie był; lecz czy sam Lachowicz mógł zbliżyć się do dziewicy niewinnej, z tym fatalnym aktem, który mu wprawdzie narzucono, lecz który bądź co bądź trwał i ciążył na talencie Sielskiego.

Dla ludzi zwykłych, skrupuły podobne mogły nie istnieć; istotnie wszystkie trudności, wpływające z owego aktu, opierały się na uprzedzeniach, nieufnościach i urojeniach. Urojenia

jednak zbyt głęboko wpiły się w duszę obu przeciwników, aby je stamtąd można było usunąć. Każdy z nich wolałby życie raczej stracić, niż złamać umowę, a rozwiązać jej żaden nie chciał. Lachowicz wierzył, że już zrobił wszystko, co do niego należało, Sielski wierzył, że zrobił najlepiej, łącząc i wypędzając Lachowicza; nikt inny w sprawę wtajemniczony nie był i nie mógł być, słowem, nieporozumienie nie miało wyjścia.

Chwilami Lachowiczowi przychodziły szalone pomysły. Chciał zabić w pojedynku Sielskiego, oświadczyć się w sekrecie Jadwidze, wykraść ją i wyjechać zagranicę. Innym znowu razem myślał o samobójstwie... W końcu pozostał na drodze pośredniej, nierozstrzygającej niczego; spotykał nieznaną, patrzył na nią i tęsknił...

Pewnego dnia, podczas lata, gdy krążył około mieszkania Jadwigi, zobaczył ją, jak w otwartym oknie czytała książkę. Ona jednak, spostrzegłszy go, odeszła.

Przy tej sposobności Lachowicz zauważył, że okno było dość nisko.

W parę dni potem spotkał obie panie na ulicy. Szły naprzeciw niego, lecz, zobaczywszy go, zamieniły między sobą parę wyrazów i zawróciły z drogi.

Lachowicz domyślił się niechęci ze strony Jadwigi, łamał sobie głowę nad przyczyną, a wreszcie wpadł w wielkie rozdrażnienie. W stanie takim kilka dni pisał coś, a następnie z rękopisem tułał się znowu czas jakiś w okolicy parterowego mieszkania.

Okna co dzień były otwarte, Jadwiga co dzień w jednym z nich zajmowała się czytaniem, a zobaczywszy Lachowicza, odchodziła, zostawiając książki. Jakież było jej zdziwienie i przestach, gdy pewnego razu, zabrawszy się do czytania, znalazła między kartkami książki manuskrypt, pisany ręką nieznaną. Domyśliwszy się od kogo pochodzi, w pierwszej chwili chciała pokazać go krewnej, u której czasowo mieszkała, później — spalić, lecz w końcu — odczytała.

Oto co znalazła:

Z Otchłani

Wśród bezsennych nocy szczęśliwi świata tego trapieni bywają przez widziadła. Niekiedy zdaje im się, że po miękkich dywanach sypialni ktoś stąpa. Wytężają oko... jakiś cień błąka się po ścianie. Przysłuchują się i słyszą szmery, będące tylko cieniem rzeczywistego głosu. Ktoś wzdycha, śmieje się, szlocha, lub opowiada długie i smutne historie, którym brak logicznego wątku, a których treścią skarga...

— To głosy mieszkających w otchłani... Módl się za nich — szepcze sumienie.

— Jestem chory i mam przywidzenia! — odpowiada szczęśliwiec i przewraca się na drugi bok, starannie zatykając uszy. Módlcie się za nich!

Nie pytają kwiatu: jaka go ziemia wydała? — ani wołają na lilię wodną: z bagniska pochodzisz!... A gdy ku wschodzącemu słońcu kwiat podniesie głowę i z otwartych podziwem ust popłynie strumień woni, dziewice okrywają go pocałunkami i tulą do czystego łona...

Lecz jeżeli serce ludzkie zamarzy o szczęściu, gdy z duszy, znękaney boleścią, rozlegnie się okrzyk o współczucie, wówczas matrony wielkim głosem rozprawiają o przyzwoitości i rodowodzie, a dziewica usuwa się z obawą i wstrętem...

O, gdybym mógł jak najpokorniejszy kwiat łąk naszych rzucić się pod twoje stopy!... O gdybym się rozpląnął w szmer wiatru leśnego, aby całować kraj twej szaty i szeptać słowa — jakich nie wymówiły jeszcze śmiertelne usta!...

Jak burza porywa liść opadły, tak boleść porwała myśl moją i miota nią po manowcach. Niekiedy pytam: czego chcę i o czym mówię? — lecz w odpowiedzi słyszę tylko jęk własnego cierpienia.

Bywają chwile, w których duch ludzki staje się podobnym do rozstrojonej harfy: każde dotknięcie strun wywołuje tony skarżące się i dzikie.

Nie dziwcie się więc, lecz módlcie — i ten głos bowiem także pochodzi z otchłani.

Pewnego dnia, dzieckiem jeszcze będąc, zobaczyłem nagrobek żydowski, na którego nagłówku wymalowano siedem orłów, lecących ku niebu. Niebo było u dołu czerwone, u góry granatowe, a orły podobne do chrabąszczy.

— Co to jest? — zapytałem malarza.

— To takie ptaki...

Innego dnia, może w rok później, siedziałem przy matce, która dopiero co skończyła pleć w ogrodzie. Słońce już zaszło, a gdy ujrzałem niebo u dołu purpurowe, wyżej granatowe, zapytałem:

— Matusiu! czy człowiek może być „takim ptakiem?”

— Jużci, że nie, bo przecie człowiek co innego, a ptak co innego.

— To źle, matusiu.

— A co ci złego?... Nie jadłeś, spracowałeś się, czy co?

— A źle mi, bo ja bym chciał polecieć aż tam, gdzie hań tę gwiazdę widać...

— Cicho, ty głupcze!... Pacierz mów lepiej, bo zły duch cię kusi!... — odpowiedziała matka.

I poczęła mówić pacierz, a ja za nią — myśląc ciągle, że jestem jednym z orłów, które Bóg, stworzywszy wszechmocną prawicę, ponad ziemię wypuścił. Odtąd najmilszym marzeniem moim było to, że kiedyś zostanę malarzem nagrobków, i jeżeli nie latać jak ptak, to przynajmniej malować potrafię ptaki, ku niebu lecące.

Nie wiem nawet, skąd mi to na myśl przyszło w tej chwili...

Matka nauczyła mnie całego pacierza, a ojciec kłać. Co prawda, tyle tylko umieli oboje. Gdy miał lat dwanaście, matka przy urodzeniu siostry umarła, a ojciec...

...Ludzkość nie kontentuje się grobami dla zmarłych rzeczywiście, buduje jeszcze groby dla umarłych moralnie. Ojciec wtrącony został do jednego z nich... Siostrę litościwi ludzie wzięli na opiekę, a ja poszedłem w świat, umiejac tylko modlić się, kłać i rysować. Ostatnią tę umiejętność zawdzięczałem wyłącznie własnej pracy... i owym orłom z nagrobka.

Niekiedy na zwaliska starych budynków, dłoń losu rzuca pestkę dzikiej wiśni. Mijają dnie, i pod wpływem cudownej siły słońca, budzi się życie w podrzutku, z którego z czasem drobna roślinka wyrasta.

Smutne jej dzieje!... Wiatry pastwią się nad wątłymi gałązkami, łamią je upadające kamienie, depcze noga przechodnia, i z tego, co było zarodkiem pięknego drzewa, wyrasta chory i wykoślawiony karzełek. Ludzie litują się nad nim — lecz nigdy nie słyszano, aby kto obsypywał szyderstwem i złorzeczeniami nieszczęsną roślinę, którą los i otoczenie po macoszemu wychowały...

...Niekiedy znowu najczystszy promień bożego ducha zstępuje do społecznych lochów i na barłogu nędzarzy roznieca nowe życie. Wyrasta wówczas dziecię, niepodobne do swoich rówieśników, którzy go kułakami obsypują, zdumiewające rodziców i ich przyjaciół i ze wstydem usiłujące wydobyć się z przepaści, w której żadna istota ludzka przebywać by nie powinna...

W rozpaczliwej tej walce wielu ginie bez wspomnienia i śladu, czasem jednak udaje się któremuś z topielców wypłynąć na wierzch bagniska. Stojący nad brzegiem, zamiast podać rękę ginącemu, dziwią się mu i zapytują: skąd przychodzi?... Gdy woła: „Ratunku!...” — wyśmiewają go; gdy chwytą się choćby tej trawy, która u stóp ich wyrasta, kopią nogami i odpychają dalej...

I znowu giną setki.

Wreszcie jeden stanął na brzegu i zmieszał się z uprzywilejowanym tłumem. Tysiące moralnie gorszych od niego krąży tam bez przeszkód, lecz jemu nie wolno i kroku zrobić bez zwrócenia na siebie powszechnej uwagi i wywołania okrzyków:

— Jaki on zabłocony!... Jak chodzić nie umie!... Człowieku z bagna! jak śmiesz wygrzewać się na tym słońcu, które dla nas tylko stworzono?...

Gdy zgnębiony brzemieniem ogólnej niechęci, pochyli głowę ku ziemi, depczą go i spychają na dół. Gdy się broni — biją. I dziwić że się tej sponiewieranej istocie, jeżeli czując pustkę dokoła — zasklepia się w sobie, a wykarmiona trucizną, płaci nienawiścią i szyderstwem?...

Na koniec ludzie uspokoiли się, człowiek z bagna, jeżeli nie uzyskał praw obywatelskich, był przynajmniej tolerowany. Talent dawał mu chleb i niezależność. Powoli otrząsnął się z dawnych znajomości i osiadł w innym miejscu. Ci, którzy pamiętali go dzieckiem, nie żyją; którzy znali go

chłopcem — nie myślą o nim. Zdawało się, że pozyskał już spokój i możliwość wybrania się w podróż, do tajemniczej krainy ideału, do której z taką tęsknotą wrywała się niegdyś dziecięca jego dusza.

Pewnego wieczora, przechodząc ulicą, usłyszał płacz dziecka i spostrzegł nędznie ubraną jedenastoletnią dziewczynkę, którą bił jakiś stary człowiek, zmuszając do żebrania.

Zbliżył się do nich, zamienił kilka wyrazów i poznał... siostrę i ojca!...

Siostrę odumarli opiekunowie, ojciec zaś powrócił z więzienia z najgorszymi nałogami i początkiem obłądzenia. Znalazłszy osieroconą dziewczynkę, wziął ją ze sobą, rachując na to, że przy jej pomocy więcej użebrze...

Zdarza się niekiedy, że fale, które zdławić miały rozbitka, wyrzucają go na brzeg bezpieczny. Już uczuł stały grunt, już zmęczoną piersią schwycił trochę powietrza i pomyślał: Jestem ocalony!... Wtem z głębi wód wysuwają się inne ręce i uratowanego chwytają...

Co dzień tłumy przechodziły obok ciebie, o biedna siostró moja! rzucając ci grosz na wyschlą rączynę, a w duszę ziarno goryczy. I któż mnie potępi, że opuściwszy bezpieczne schronienie, wróciłem do odmętu, aby cię z niego ocalić, lub zginąć razem z tobą.

Od tej chwili rozpoczęły się na nowo szalone zapasy z losem. Ludzie widzieli rozpaczliwe wysiłki jednostki, nie domyślając się nawet jej ciężkiego brzemienia, nie szcędząc krzywd i upokorzeń.

Na burzliwym oceanie życia, między uśmiechniętymi twarzami pływaków, którym szczęście sprzyja, spotykamy niekiedy twarz konwulsyjnie wykrzywioną, osłupiały wzrok i najeżone włosy...

— Co jemu jest? — pytają — i dlaczego on osłabł? Przecież wydaje się tak silnym, jak i my... O niedołęga!...

Lecz gdy tonący rozpaczliwymi rzutami psuje ogólną harmonię, jednego potrafi, a innego obryzga — wówczas powstaje oburzenie:

— Łotrze! — wołają — jak śmiesz pływać w tak dobranym towarzystwie?...

I opuszczają go wszyscy, wszyscy odpychają, zostawiając nieszczęsnego na łup fali i gorszej od niej rozpaczy!...

Taki bywa los tych, którzy podają rękę innym, dawniej już potępionym i ginącym.

Kiedy tłum krzywdzi — mniejsza o to: opinie tłumu zmieniają się tak jak wiatr, który pograża w błoto to, co pod obłoki unosił.

To też krzywda najdotkliwsza jest wówczas, gdy ją wyrządzi wyjątkowa osobistość, którą nie tylko ogół, ale i ty sam szanujesz, niekiedy podziwiałeś i chciałbyś pokochać.

Pewnego dnia spostrzegłem chłopca, który głodnemu psu ukazywał mięso. Gdy pies podniósł głowę, chłopiec podnosił rękę wyżej — gdy pies skakał, chłopiec wspinał się na palce. W końcu jednak ulitował się swawolnik...

Innego dnia spotkałem człowieka, który odepchnięty, a jednak gorąco czującemu ukazał widmo przyjaźni. Ile w stosunku tym znosiłem upokorzeń i goryczy, Bóg jeden wie! Cierpiałem przecież w nadziei, że przyjdzie chwila, w której kapryśne dziecko fortuny zażąda mojej pomocy i sercem zapłaci za serce. I nadeszła chwila, lecz on odepchnął mnie jak inni... stokroć gorzej nawet niż inni, bo obsypał przy tym obelgami, do których upoważniło go... chyba moje nieszczęście.

Dość już tego, o, ludzie! których, niekiedy, uważać muszę za stado dzikich zwierząt drapieżnych i nikczemnych jak hieny. Szarpiecie słabych, gwałcicie pokój zmarłych, a liżecie tę tylko rękę, która wam zakłada obroże i kagańce.

Dziś, gdy minęło upojenie zwycięstwem i pamięć bólu osłabła, nie pragnę odgrywać roli pogromcy; a jeżeli wciąż jeszcze pnę się ku szczytom, to tylko dlatego, aby mieć jak najmniej liczne towarzystwo i najmniej stosunków z tymi, których dusze na inny ton widać nastrojono niż moją.

Mylę się, niesprawiedliwy jestem! gdyż i dla mnie wśród ogólnej dysharmonii zadźwięczał ton pokrewny... „On musi być szlachetnym”.

Czy pamiętasz te słowa?

Nie troszczy się bogacz o grosze, które nędzarzom rzucił, nie myśli słońce o strumieniach ciepła, które na zmarzniętej ziemi roślinność wywołały — więc i ty nie dbasz być może o słowa, które wskrzesiły duszę obumarłą.

Mimo to, bądź błogosławiona, ty, która dla jednej z istot rozumnych stałaś się wcieleniem ideału, streszczeniem najwznioślejszych przymiotów natury ludzkiej, ogniwem, które łączy z ogółem jednostkę, oderwaną od niego. Cokolwiek bądź zajdzie kiedy, tyś mi dała jedną chwilę prawdziwego szczęścia, podniosłaś myśl i uczucie na wyższy stopień i dla reszty życia nowy wskazałaś kierunek. Jak błyskawica, która wśród ciemnej nocy zbłąkanemu wskazuje od razu przepaść, gdzie mógł się stoczyć, i drogę, która do celu wiedzie.

Sława jest jak powietrze, które człowieka ze wszystkich stron otacza, czepia się rąk i nóg, wlewa się uszami, skacze do oczu, przez drzwi i okna wdiera się do mieszkania, obiega ziemię i z

drugiego jej końca przynosi własne echo. Ona jest bodźcem dla działalności, budzicielem drzemiącej energii — ona wybrańcom toruje drogę wśród tłumów, przypina skrzydła do lotu, a trwa nawet i wówczas, gdy głowa, laurami niegdyś spowita, rozsypała się w garść popiołu.

Czymże jest miłość wobec niej?... Czym pyłek wobec ogromu atmosfery. Jest ona także niewidzialnym źródłem, bijącym na dnie ludzkiego serca, z którego płynie potok wielkich niepokojów, unoszący kropelkę szczęścia.

Lecz, gdyby mi dano do wyboru: miłość czy sławę, pyłek czy atmosferę?... — wybrałbym miłość. I cóż mi po całej atmosferze sławy, jeżeli ten pyłek, moje „ja” najwewnętrzniejsze, nie ma być nigdy powołanym do życia?

W dniu, gdy spotkałem cię, pierzchły chmury i śniegi przed tchnieniem wiosennego ciepła, zaświergotały ptaki i z nagich gałęzek drzew wytrysły młodociane listki. Los widać chciał, aby razem z odzyciem ziemi, zmartwychwstała jedna dusza ludzka...

Odtąd wiem już, o czym szumią lasy i rozmawiają ptaki — rozumiem monotony szept deszczu i jękliwy brzęk wieczornego chrabąszcza. Odtąd puste pokoje zapelniają duchy gwarliwe i przyjazne, a z pośród chwiejących się krzaków róż słyszę wesoly śmiech Amora.

Odtąd w ciemnościach dostrzegam potoki mistycznego światła, wśród ciszy chwytam dźwięki niewidzialnej orkiestry, w rozsypujących się zwaliskach przeszłości dostrzegam pracę, a w grobach życie...

Niekiedy myślę, że któreś z wiecznie młodych, choć od dawna zapomnianych bóstw klasycznych zastąpiło mi drogę. Widzę jego uśmiech spokojny, głębokie spojrzenie, czuję oddech... Lecz gdy wyciągam ręce, widziadło rozwiewa się...

O, nielitościwe bóstwo!

Nieustanna pogoń za rzeczą nie ujętą nuży mnie niekiedy straszliwie. Łatwo o rozpacz tam, gdzie wszystkie myśli i uczucia zlały się w nić jedną, którą los bez miłosierdzia wyteża!

Pewnego dnia byłem na pogrzebie młodzieńca. Matka jego szła za trumną, zanosząc się od płaczu; nawet obcy mieli łzy w oczach...

Żal ten rozdrażnił mnie. Czyż godzi się oplakiwać człowieka, dla którego obcymi stały się już trwogi niepokoju i udręczenia nadziei?...

Gdy ziemia obsypała się na trumnę, dostrzegłem bladość na twarzach dotychczas obojętnych. Dobrzy ludzie — jak oni boją się śmierci, jakim dreszczem przejmuje ich łoskot grudy, upadającej na wieko!

Co do mnie, zazdrościłem młodzieńcowi, że już pozyskał spokój wiekuisty, że uwolnił się od marzeń trawiących serce i że niczego wyglądać nie będzie od tych, od których oddzieliła go sosnowa deska i kilka stóp gliny...

— Jak mu tam ciężko musi być pod ziemią! — mówiła dziewczynka, wracająca z cmentarza. ...Jednak, o ziemio! chyba ty nie ciężysz umarłym tak, jak smutek żyjącym...

Po com to pisał?... Alboż ja wiem!... Litości nie żądam, o wzajemności myśleć nie mogę, ani też oczekuję odpowiedzi. Jestem jak człowiek, co szepcząc modlitwy, wzrok i duszę zwraca ku niebu, które wiecznie piękne, wiecznie milczy i pozostaje nieskończenie odległym.

Od tego dnia, Jadwiga nie czytywała już książek w otwartym oknie i unikała spacerów. Niekiedy jednak, pracujący na placu robotnicy, poza fałdami muślinowej firanki, dostrzegali jej twarzyczkę dziwnie tęskną i wielkie oczy w jakiś punkt zapatrzone...

Może być, że tak ukryta wyglądała Lachowicza, ale on już na plac nie przychodził.

Wkrótce też, muślinowe firanki znikły, a w parterowym lokalu, zamiast dotychczasowych mieszkańek, ukazali się w powalanych bluzach i czapkach malarze ze składanymi drabinami. Po nich, odświeżony lokal zajęła znowu jakaś rodzina, lecz Jadwigi już tam nie było.

ROZDZIAŁ IX

ZASIEWY WSCHODZĄ

Od opisanych na początku wypadków rok upłynął.

W ciągu tego czasu pan Roman nie przestawał zbierać cennych materiałów do powieści, której jednak pisać jeszcze nie zaczął. Sielski od zeszłej wiosny siedział zagranicą, lecz że o pracach jego nikt nie słyszał, przypuszczano więc, że zerwał z malarstwem, a natomiast począł używać dość znacznego majątku.

Chory starzec, mimo troskliwego dozoru Stanisława i jego żony, pił ciągle i często wymykał się do miasta, skąd go parę razy bezprzytomnego prawie przywożono. Hipochondryczny protektor sztuk pięknych zajmował się coraz goręcej Lachowiczem, który powoli stracił doły na twarzy i zrobił się kompletnie przystojnym, lecz zesmutniał, spowaźniał i złagodniał.

Najciekawsze jednak zmiany zaszły w Zosi. Dosięgła ona obecnie szesnastego roku życia, Ludwik więc odebrał ją z pensji i umieścił w prywatnym domu, garściami rzucając pieniądze na uzupełnienie edukacji. Dzięki dobrobytowi, nowemu otoczeniu i wiekowi, ze szczupłej i bojaźliwej dziewczynki poczęła wyrastać bardzo piękna dziewczica. Kibić jej zaokrągląła się, na śniadej twarzy wykwitł rumieniec, usta nabrały purpurowej barwy, czarne oczy wyrazu i blasku. Okazało się, że dziewczyna ma ogromne zdolności, że lubi muzykę i posiada związek prześlicznego sopranowego głosu. Do nowych warunków przywykła prędko, stała się śmiałą i dowcipną, co jednak nie stłumiło wrodzonej tkliwości.

Lachowicz był zachwycony siostrą, młodzi ludzie przepadali za nią, a chory na katar żołądka protektor Ludwika, poznawszy się z nią, począł jej mówić „ty” i całować w głowę. Odwiedzał ją dosyć często i rozmawiał niekiedy w następujący sposób:

— Proszę cię... Czy nie mogłabyś wystąpić na środek pokoju i uklonić mi się tak, jak umiesz?

— Mogę się uklonić nawet dwa razy, jeżeli to panu robi przyjemność.

I mówiąc to, kłaniała się z nieporównanym wdziękiem.

— Proszę cię... Czy ty wiesz, że jesteś ładna?...

— Panienki w moim wieku nie powinny o tym wiedzieć; tak przynajmniej mówi pani Skulska.

— Ty jednak wiesz?

— Wiem, ale staram się nie rozmawiać o tym.

Zbity z tropu oryginał robił się poważniejszym.

— Jakże tam idą nauki? — mówił, ziewając.

— Ludwiś pyta o to tylko moich nauczycieli.

— A cóż oni mówią?

— Oni mówią przy mnie: „Tak sobie!” — ale panu może by powiedzieli inaczej.

Z ojcem swym Zosia nie spotykała się dotychczas. Na kawalerów nadskakujących jej patrzyła ze zdziwieniem.

Jeden z nich, korzystając pewnego razu z nieobecności pani Skulskiej (w której domu mieszkała), zapytał ją:

— Czy pani kocha kogo?

— Naturalnie.

— A czy wolno spytać... kogo też najlepiej?

— Bardzo trudna odpowiedź! — odparła Zosia.

Frant pochylił się na poręcz krzesła i patrząc na swoje świeże lapisowe rękawiczki, mówił:

— Radziłbym postarać się o przewodnika w sprawach podobnych.

— O takiego pana musi być chyba bardzo trudno! — odpowiedziała Zosia z minką budzącą otuchę.

— Gdzież tam! — wykrzyknął elegant — ja pierwszy jestem gotów...

— Doprawdy?... Gotów by pan zostać moim przewodnikiem?...

— W sprawach, które pani sama uzna za najdrażliwsze i największego wymagające zaufania...

Zosia popatrzyła figlarnie, jak pensjonarka na swego pierwszego wielbiciela, a potem rzekła:

— Jeżeli tak, to racz mnie pan oświecić... gdzie mogłabym dostać tak ładnych rękawiczek?...

Frant udał bardzo zadowolonego, ale odtąd już nie mówił z Zosią o miłości.

Ludwik odwiedzał ją co dzień. Pewnego dnia, gdy grała przy nim na fortepianie, on, słuchając, zwiesił głowę na piersi i siedział tak, głęboko zadumany.

— Co teraz zagrać? — spytała.

Ludwik nie ruszył się.

Zosia pobiegła do niego, położyła mu rękę na ramieniu i zaglądając w oczy, szepnęła:

— Ludwisiu!... co tobie?

— Nic.

— Możesz ty chory?

— Nie.

— A może ty się o mnie troszczysz?

— O ciebie jestem spokojny — odparł, całując ją.

— Więc o cóż ci chodzi? Wszyscy cię przecież kochają i szanują, masz pieniądze, jesteś sławny...

— Moje dziecko! najwięcej powodów do smutku człowiek w sobie nosi.

— W sobie?... Przecież i ja mam siebie, a jednak jestem szczęśliwa. Jeżeli człowiek może robić to, co chce, nie jest biedny, ludzie mu dobrze życzą, więc czegoż ma się martwić?

— Wielu rzeczy nie rozumiesz, moja mała siostruniu!...

— Ja już nie jestem mała, ja wszystko rozumiem!... Powiedz mi, co ci jest, ja czuję, że ci pomogę... Ach, Boże... wszystko jestem gotowa zrobić, byleś tylko był wesoły...

— A ty czego płaczesz?... — zapytał Ludwik serio, podnosząc jej główkę.

— Ja nie płaczę! — odparła, hamując łzy — ale... już wiem, co jest nieszczęście...

— Bodajżeś innych nie znała! — odpowiedział Ludwik, tuląc ją do piersi. A potem, opanowawszy się zupełnie, począł żartować, zachęcił ją do śpiewania i zupełnie naturalnym i wesołym głosem opowiadał jej różne zabawne historie.

Zosia z początku nie dowierzała tej nagłej zmianie, w końcu jednak uspokoiła się i pocieszyła. Nic dziwnego! serce jej było niewyczerpanym źródłem radości, którą cały świat obdzielić mogła. Przynajmniej tak jej się zdawało.

Protector Lachowicza wprowadził go do rozmaitych domów; do jednego z nich, jakoś w końcu wielkiego postu, wybrał się Ludwik na ostatni wieczór, który miał być wyjątkowo liczny.

Około dziesiątej znalazł istotnie mnóstwo osób, zajętych piciem herbaty i rozmową. Przywitawszy gospodarzy, zbliżył się do kółka znajomych mężczyzn, zajętych robieniem grzeczności jakiemuś hrabiemu, który miał pretensję do Salomonowej mądrości, a na cały ród ludzki spoglądał z bardzo wysoka.

Przedstawiono obu panów. Hrabia raczył poświęcić parę łaskawych wyrazów Lachowiczowi.

— Winszuję sobie, że pana poznał — mówił hrabia. — Pan ma talent, ja bardzo lubię pańskie rzeczy... Szczególnie podobał mi się szereg szkiców pod tytułem „Wojna”.

— Robił je Grottger — zauważył Lachowicz.

— Ach! prawda... przepraszam! Mam tak umysł zajęty różnymi kwestiami... W każdym jednak razie „Śmierć Barbary...”.

— To znowu malował Simler.

— Co za nieuwaga!... — mówił hrabia, pocierając myślące czoło.

Więc, wracając do tunelu anglo-francuskiego — dodał po chwili do innej osoby — o ile wiem, budować go zaczną nie wcześniej jak za lat kilka.

Opuściwszy roztargnionego hrabiego, Lachowicz dostał się w moc pewnej ładnej wdówki, która, obok niezależnego majątku, posiadała wolne serce i miała wielką ochotę zrobić z obojga ofiarę na rzecz Ludwika.

— Nie widziałam pana blisko już miesiąc! — zaczęła, gdy obok niej usiadł.

— Z wielką dla mnie przykrością — odparł malarz.

— Słowa pańskie nie zgadzają się z tym, co mówią inni.

— Miałżeby mnie kto oczernić przed panią? — spytał Ludwik tonem dramatycznym.

— I bardzo nawet! Głos publiczny oskarża pana o nienawiść dla kobiet.

— Chyba o nieśmiałość... Serce ciągnie mnie do nich, rozum ostrzega o niebezpieczeństwie, a rezultatem tej walki jest rzadkie ukazywanie się w towarzystwach.

Dama pochyliła głowę jak ptaszek i bawiąc się wachlarzem, odparła:

— W takim razie moje towarzystwo nie powinno być dla pana niebezpieczne. Nie jestem już groźną dla świata: wyrzekłam się walki i zwycięstw.

— Przeczuwałem to, że jesteś pani najokrutniejszą z kobiet, i dlatego prawie nie powinienem żałować, że pani tak długo nie widział!

Dama spojrzała po sali, a widząc, że niema blisko nikogo, rzekła:

— Nie ma prawidła bez wyjątku. Kto wie, czy nie zmodyfikowałabym mojej zasady...

— Ażeby igrać z niewinnym sercem, które by pani u stóp złożono? — odpowiedział Ludwik, patrząc na nią z tragi-komicznym wyrzutem.

— Między przedmiotami, składanymi u nóg naszych, trafić się może i taki, który podnieść warto...

— Dla położenia go na stoliczku, jak cacko?

— A może też i dla zrobienia z nim tego, co się robi z małym, pięknym bukiecikiem — odparła dama.

— Tak — rzekł Lachowicz — kilka dni trzyma się go w salonie, a potem wyrzuca za okno...

— Gdybym się nie obawiała pana zepsuć, powiedziałabym... że jesteś pan... niedomyślny!

Z tymi słowy wstała i odeszła.

Lachowicz z lekka wzruszył ramionami.

Towarzystwo stopniowo ożywiało się. Kilku muzyków zasiadało po kolei do fortepianu, zaznajamiając obecnych z własnymi kompozycjami, które, aczkolwiek od dawna pleśniały na wydawniczych półkach, niemniej jednak stanowiły nowość dla zebranych.

Artyści deklamowali, a poeci upewniali znajomych, że tylko na najusilniejsze prośby mogliby coś „swojego” wypowiedzieć, ponieważ mają chrypkę. Że jednak do najusilniejszych próśb nikt nie

okazywał ochoty, paru zatem wieszczów ograniczyło się na mruczeniu pod nosem własnych ustępów, które, ich zdaniem, stanowiły chlubę literatury.

Około jedenastej weszło kilka nowych osób, między którymi Lachowicz z wielkim wzruszeniem poznał panią Leontynę i jej męża.

— Czy i dziś spotka mnie jakie nieszczęście? — pomyślał, patrząc na piękną damę, ustrojoną w koronki, jedwabie i brylanty.

Nastąpiła ceremonia powitań i rekomendacyj, w czasie której gospodyni domu rzekła do Lachowicza:

— Przedstawię pana pani Leontynie. Bardzo przyjemna osoba!

Lachowicz struchlał, mimo to jednak został przedstawiony.

Po wymianie zdawkowych grzeczności, Leontyna wskazała malarzowi miejsce obok siebie na kozetce i spytała go półgłosem, z zadziwiającą bezczelnością:

— Zdaje mi się, że już miałam przyjemność widzieć pana.

— Chyba na ulicy, albo w teatrze — śmiało odpowiedział Ludwik.

Dama przeciągle spojrzała mu w oczy i mówiła dalej:

— Czy pan zna pana Sielskiego?

— Jest to mój kolega, któremu wiele zawdzięczam.

— Ach, więc panowie jesteście przyjaciółmi?

— Jestem jego dłużnikiem.

— Przypominam sobie, że talent pana Sielskiego robił na mnie niegdyś wielkie wrażenie.

Ceniłam go bardzo, ubóstwiałam nieledwie... Nie dziw się pan! jestem parafianką... Z czasem jednak przekonałam się, że pan Sielski jest oryginałem, lubiącym pozować (niech to nie obraża pańskiej przyjaźni), a dziś widzę, że nie myliłam się. On już nic nie robi, i o ile wiem, hula sobie za granicą... Jest to do pewnego stopnia mój krewny.

Lachowicz milczał, siedząc jak na torturach.

— Pańskie prace — mówiła dalej — oglądałam zawsze z niezrównaną przyjemnością. Ojciec mój nabył „Burzę” i mnie ją ofiarował. Czy pan da wiarę, że przed tym obrazem siedzę nieraz całymi godzinami?... Nie wierzysz pan?

Uśmiechnęła się i dodała:

— Czy pan wie, dlaczego dziś tu przyszedłam?... Jestem otwarta, jak prawdziwe dziecko natury! Oto, powiedziano mi, że pan tu będziesz, i nie mogłam oprzeć się pokusie pomówienia z panem. Trudna rada, takie już mam usposobienie!... Chętnie nawet pojechałabym do Afryki, ażeby zobaczyć lwa w pustyni.

Dobrzy ludzie mówią, że ekscentryczna. Inną już nie będę, chcę żyć... widzieć... Czy pan nie wyjeżdża zagranicę?

— Mam zamiar, ale chyba dopiero w jesieni.

— Przed wyjazdem pańskim zatem będę miała prośbę...

— Jestem do usług...

— Wymaluje pan mój portret?

Lachowicz zmieszał się jeszcze bardziej. — Nie jestem portrecistą... nie potrafię...

— Czego?

— Połączyć w jednej fizjonomii piękność i elegancję... z pobłażliwością dla początkujących malarzy...

— Jeżeli tak, to czekam pana wkrótce u siebie.

Malarz ukłonem tylko odpowiedział na grzeczność. Nie pamiętał rozmowy, która by go tak zmęczyła, jak obecna.

Gdy potem odszedł na drugi koniec sali, zrobił mocne postanowienie nie malowania portretu.

Od tej chwili aż do końca wieczora los prześladował go albo panią Leontyną, albo jej mężem.

— Wspaniała kobieta! — mówił jeden elegant do drugiego, patrząc na Leontynę.

— Zmienia kochanków, jak rękawiczki — dodał drugi półgłosem.

— Kiedy ją widzę, przychodzi mi na myśl Kleopatra...

— A jednak jeszcze przed rokiem była to kobieta kamienna!...

— Podobno mąż temu winien, do pewnego stopnia?

— Nie tyle mąż, ile zmienność jego gustów: ma co miesiąc inną kochankę...

— Czy i wina zmienia równie często?

— Wina pozostaje wierny. Co chcesz, każdy człowiek musi mieć jakąś stałą zasadę.

W innym salonie znalazł Ludwik czterech starych panów, siedzących jak mumie około stolika i grających w wista. Przy drugim stoliku siedział obok jakiegoś jegomości mąż pani Leontyny, Rudolf — i ziewał.

— Jaka szkoda, że nie mamy kompletu do wista! — zauważył jegomość.

— Wiesz pan co?... zagrajmy w pikietę! — krzyknął Rudolf.

I usiedli do kart.

Niebawem zbliżył się do grających przystojny brunet, mówiąc do męża Leontyny:

— Rudziu! pani cię prosi.

— Na honor nie mogę! Dopierośmy grę zaczęli... Ty mnie zastąp, Adasiu.

— Jeżeli ja pana krępuję, zrzekam się praw moich — rzekł partner Rudolfa.

— Nigdy! — odpowiedział Rudolf. — Żona śmiertelnie obraziłaby się na mnie, gdybym towarzystwo pańskie tak nagle opuścił.

Młody brunet, uśmiechnąwszy się pod wąsem, wrócił do pani Leontyny z odpowiedzią jej męża. Lachowicz przez ciekawość poszedł za nim.

Na kanapce, między kwiatami pod oknem, siedziała żona Rudolfa z owym brunetem, panem Adamem, żywą z nim prowadząc rozmowę. Lachowicz zbliżył się nieco ku tej stronie, co zobaczywszy kuzynek gospodarza, dwudziestoletni pachnący Arturek, szybko przybiegł do niego.

— Pan pewnie mnie szuka? — spytał, poprawiając mankiety.

— A tak! — odparł Lachowicz. — Cóż, byłeś pan dawno na polowaniu?

— Jeszcze w jesieni, panie, polowałem na ptaszki i zabiłem bekasa z takim dziobem!...

To mówiąc, naiwny młodzieniec odmierzył na palcu długość bekasowego dzioba.

— Arturku! — zawołała niespokojnie gospodyni — czy mogę cię prosić?

— Czy pozwoli mi pan na chwilę odejść do kuzynki?...

— O, panie!... — szepnął Lachowicz, rad, że pozbywa się myśliwca, który był postrachem gości i utrapieniem obojga gospodarstwa. Korzystając jednak z okazji, usiadł za dużym aloesem i wysłuchał końca rozmowy między panią Leontyną i Adamem.

— Teorie pani do rozpaczy mnie doprowadzają! — mówił Adam.

— Ja też ich innym nie wykładam, tylko sama stosuję — odpowiedziała Leontyna.

— Jest to zabawa, przypominająca osadzanie motyli na szpilce...

— Po cóż się rodzicie motylami? — spytała Leontyna z uśmiechem.

— Więc gdyby pani trafiła na niemotyła, czy zmieniłaby pani swój system?

— Czekalabym na innego, który by go stałością przewyższył.

— A gdybyś pani znalazła wreszcie ten stopień najwyższy?...

— W takim razie musiałabym mu oddać serce, po prostu dlatego, aby mnie ciągłymi oświadczeniami na śmierć nie zanudził!

— Odtąd będzie pani mieć we mnie najnudniejszego towarzysza... — zawołał wesoło Adam.

— A pan we mnie towarzyszkę, która go najstalej będzie... unikać — odparła tym samym tonem Leontyna.

„Ten podobno daleko zajdzie!” — pomyślał Lachowicz i wkrótce opuścił zebranie.

ROZDZIAŁ X

JAK WYGLĄDAJĄ NIEKTÓRZY NARZECZENI?

Jadwiga była majątną sierotą i miała starszą od siebie siostrę zamężną. Po śmierci rodziców pozostałe córki podzieliły się spadkiem w taki sposób, że z dwu wsi, jedna przeszła na własność Jadzi, druga na rzecz jej siostry.

Jadwiga zimę zazwyczaj przepędzała w Warszawie, lato zaś w swoim majątku, którym rządził szwagier. W ogóle rodzina ta żyła bardzo przykładowo, a członkowie jej kochali się szczerze.

Jadwiga od dwu lat była zaręczona ze swym sąsiadem, panem Witoldem. Był to młodzieniec pracowity, ogładzony, wesoły, a przy tym dobry tancerz; zmarli rodzice lubili go, szwagier i siostra protegowali, Jadwiga nie czuła wstrętu, on „przepadał za nią” — ułożono więc małżeństwo. Ponieważ jednak narzeczona nie spieszyła się, a pan młody zbyt nie nalegał, termin więc ślubu odłożono przynajmniej na lat parę. W owej epoce, kiedy w Warszawie opustoszał parterowy lokal, Jadzia wyjechała na wieś. Siostra przyjęła ją łzami radości, szwagier okrzykiem, narzeczony konwencjonalnymi uściskami i ucałowaniem rączki.

Zabawił tego dnia u państwa Janów godzinę dłużej, wypytał przybyłą o wiadomości — szepnął, że jest zachwycająca, i wrócił do siebie, obiecując, że i tego znowu lata będzie codziennym gościem, na co Jadzia odpowiedziała zaprosinami i uprzejmym uśmiechem.

Jak się z powyższego okazuje, małżeństwo, między Jadwigą i Witoldem ułożone, nie opierało się na zbyt gorących uczuciach. Sympatyzowali ze sobą — „pasowali do siebie” — mieli jednakowe fortuny, gusta i pozycje towarzyskie — mogli się zatem połączyć, tym bardziej, że w okolicy ani on, ani ona nie znaleźliby stosowniejszych dla siebie partii.

Na tych podstawach opierając się, pan Witold nie zwracał uwagi na niejaką zmianę w stosunkach Jadwigi do niego. Nie strzelała razem z nim do celu, nie jeździła konno, nie pływała czółnem po stawie — jak to bywało dawniej. Usuwała z wolna rękę, gdy chciał ją pocałować, unikała szeptów i rozmów samotnych, co starsza siostra starała się jak najczęściej ułatwiać; niekiedy też bez względu na jego wesołość i gadatliwość, wpadała w zamyślenie.

Widząc to, szwagier, pan Jan — odezwał się pewnego razu do żony:

— Czy ty uważasz, jak Jadwinia zesmutniała?

— Skądże znowu! Spowaźniała tylko; ma już przecie rok dziewiętnasty.

— A ja myślę... — ciągnął Jan.

— Cóż tam znowu?

— A może się ona i zakochała w kim w Warszawie?...

— Zdaje ci się...

— Niema w tym nieprawdopodobieństwa.

— Ależ zdaje ci się...

— Może i masz słuszość. Wy się lepiej na tym znać... — rzekł pan Jan.

Pani Ewa jednak dalej przekonywała męża:

— Co też za szczególne podejrzenia! Czy może być lepszy od Witolda mąż dla Jadzi? Chłopak przystojny, gładki, trochę wprawdzie lekkomyślny... no!... ale z tego się poprawi. Za to ma wieś o miedzę... Nie, to byłaby niedorzeczność.

W owej epoce między publicznością wielkomięską pojawiła się moda czytania książek poważniejszych. Na czele ruchu tego szły naturalnie niektóre damy postępowe, szeroko rozprawiając o filozofii Comte'a, o Darwinie i Millu. — Jadwiga zaś nie była między niemi ostatnią. Ponieważ jednak nie każdą książkę rozumiała, ograniczyła się więc na dziełkach popularnych; jeżeli zaś trafił się w nich jakiś trudniejszy ustęp, pytała o objaśnienie znajomych panów.

Naturalnym jest, że na wsi obowiązki takiego komentatora spadały na pana Witolda, do którego też odwołała się pewnego razu Jadzia.

Chodziło o jakąś kwestię z zakresu fizyki, na którą pan Witold zrobił wielkie oczy.

— Skąd pani to na myśl przyszło?... — zapytał.

— To nie moja myśl! Znalazłam ją we francuskiej Bibliotece Filozofii Współczesnej.

— Cóż to za dzieło?

— Pan go nie zna?

— Ja? Czy ja mam czas bawić się podobnymi rzeczami! — zawołał, śmiejąc się, Witold.

Ton jego w przykry sposób dotknął Jadzię. Po chwili milczenia, rzekła:

— Pan więc niewiele czyta?

— Ach! pani moja, choćbym chciał — nie mam czasu. W polu roboty, interesów pełno, do sąsiadów także wyjechać trzeba, ażeby człowiek nie zaśniedział... Szczerze powiadam, że mi się nie chce nawet dokończyć bardzo zajmującej powieści, którą zacząłem w zimie...

— Pan chyba tego nie mówi na serio? — spytała ze zdziwieniem, patrząc mu w oczy.

— Pojmuję panią i zaraz się wytłumaczę. W szkołach, od klasy pierwszej do siódmej, każdy z nas czytuje mnóstwo romansów. Później, usłyszawszy coś o książkach poważnych, zajmuje się tylko nimi, pogardzając romansami i pozując na uczość. Później dopiero, gdy go znudzą nauki i

nieustanne morały, wraca znowu do powieści, żądając od literatury tego tylko, co ona dać może, to jest rozrywki.

Pani się to jednak nie podoba, jak widzę?

— Nie powiem ani tak, ani nie — odparła oschle Jadzia. — Ażeby się coś nie podobało, musi być pierwiej zrozumiane; a ja pańskiego poglądu nie rozumiem.

Pan Witold dostrzegł niezadowolenie narzeczonej i chciał się poprawić.

— Pani! — zawołał z miną na pół poważną, na pół komiczną, całując Jadzię w rękę. — Dziś jeszcze piszę do Warszawy, ażeby mi przysłano całą pakę uczonych książek, począwszy od teologii, a skończywszy na weterynarii!...

Mimo to dalsza rozmowa szła im niesporo; Witold niedługo odjechał, ani przypuszczając, że termometr uczuć Jadzi spadł o kilka stopni.

Na domiar nieszczęścia, serce i imaginacja dziewicy coraz częściej zajmowały się obrazem oddalonego. Niejednokrotnie odczytywała jego oryginalny list, i nieraz, w czasie samotnych po ogrodzie spacerów marzyła, że w przeciągłym i melancholicznym szmerze drzew słyszy głos jego, pełen skarg i gorących zaklęć...

Był we dworze kilkunastoletni pastuszek, chłopiec wielkich zdolności do robót mechanicznych; pominąwszy już, że nikt lepiej od niego nie wykręcał fujarek i nie szył kapeluszy, chłopak ten umiał jeszcze strugać wózki, wiatraki, tartaki, a wszystko swoim jedynym kilkogroszowym cygankiem.

Czy to pod wpływem wrodzonej dobroci, czy wspomnień o dziejach Lachowicza, Jadwisia zainteresowała się chłopcem. Z pastuszka zrobiła go swoim służącym i uczyła czytać i pisać.

Pewnego dnia, około czwartej po południu, pan Witold, przyjechawszy z wizytą, zastał chłopca w pokoju Jadzi z książką w rękę.

— Co ty tu robisz? — spytał.

— A uczę się, proszę jaśnie pana, u panienki.

— U jakiej panienki?

— A u naszej, u panny Jadwigi.

— No, proszę! — zawołał rozdrażniony nieco Witold. — Myślę, że się prędzej kraść nauczysz, aniżeli czytać.

Chłopiec przestraszony wyszedł, a jednocześnie ukazała się na progu pokoju Jadwisia.

— Podziwiam apostołstwo pani!... — rzekł narzeczonej. — Ale niestety! te piękne usiłowania, zamiast przynieść jakąkolwiek korzyść, uczą zwykle tylko próżniactwa i rozzuchwalają służbę.

— Co to znaczy? — zapytała obrażona Jadwiga.

— Przepraszam, że się wtrącam do nie swoich rzeczy — mówił Witold — jako jednak doświadczeńszy, ośmielam się zrobić uwagę. Zostaw pani naukę tak zwanych dzieci 1 ludu nauczycielom ludowym. Oni są za to płatni...

— Czy nie wolno mi bezpłatnie robić tego, co mi się podoba?

— Ależ wolno, po tysiąc razy wolno!... Z drugiej jednak strony i to pewne, że ten niby mechanik z czasem z pastuszka mógł zostać dobrym fornalem, a następnie karbowym; gdy zaś nauczy się nieco czytać, straci równowagę umysłową i może zostać łotrem...

— Skądże pan wie o tym?... Ja znowu twierdzę, że może zostać wielkim człowiekiem, drugim Stephensonem...

— Znowu pani egzaltuje! Stephensonowie nie na naszym gruncie wyrastają, nie gwałćmy więc naturalnego porządku rzeczy i pozwólmy zostać na dole temu, co się urodziło na dole...

Jadwiga zamilkła, narzeczony zaś zmienił treść rozmowy. Oboje wszakże doznali niemiłego wrażenia.

Nad wieczorem Witold odjechał, przysięgając sobie nie rozpoczynać odtąd drażliwych dyskusji. Zresztą był spokojny, gdyż nie przypuszczał nawet, żeby gniew Jadzi nie rozplynął się jak mgła, wobec jego komplementów i ładnych wąsików.

Pani Janowa, dowiedziawszy się o sprzeczce, rzekła do Jadzi po odjeździe Witolda:

— Moja Jadziu, nie wypada tak dąsać się prawie o nic. Przecież to twój narzeczony...

W odpowiedzi na tę uwagę, Jadwiga wybuchła spazmatycznym płaczem.

— Siostruniu!... koteczku!... uspokój się!... — błagała przestraszona pani Ewa. — Bój się Boga, w tym coś musi być, ty coś tairsz przede mną... Tak się nie godzi!...

Jadzia powoli uspokoiła się, siostra zaś poczęła ją badać. — Powiedz mi otwarcie: wszakże ty kochasz Witolda?... Jadwiga milczała.

— Nie odpowiadasz mi?... Cóżby to być mogło? — mówiła dalej zaniepokojona siostra. — Wprawdzie najszczerzej pragnę, ażebyście się pobrali, mimo to jednak... Ależ powiedz mi, droga, co ci jest?

Jadwiga mocno zarumieniła się, co nie uszło uwagi siostry.

— Biedny Witold!... żal mi go!... — szepnęła pani Ewa. — Jadziu — dodała głośno, obejmując siostrzyczkę — Jadziu... czy ty kochasz innego?

Jadwiga tym razem zbladła.

— Kto on jest?... — ciągnęła dalej badanie siostra.

— Artysta... — wyjąknęła Jadwiga, tuląc twarz w objęciach pani Ewy.

Trudno było wiedzieć, jakie ta odpowiedź sprawiła wrażenie na pytającej.

— Dobry, szlachetny? — odezwała się po chwili.

— Czy możesz o to pytać?... Wyjątkowo szlachetny, lecz i wyjątkowo nieszczęśliwy...

— Nie rozumiem cię...

— Zrozumiesz, ale... Daj mi pierwaj słowo siostry, że nikomu, ale to nikomu, nie powiesz o tym, co ci pokażę...

— Daję ci słowo, biedne dziecko!.... — odpowiedziała pani Ewa.

Jadzia znała charakter pani Janowej, była pewna, że dotrzyma słowa, i dlatego bez wahania pokazała jej rękopis Lachowicza. Ukrywana tajemnica ciążyła jej, musiała się z kimś podzielić, a komuż właściwie powierzyć by ją mogła, jeżeli nie zacnej, doświadczonej i kochającej siostrze?

Pani Ewa czytała rękopis z gorączkowym niepokojem. Stopniowo twarz jej wyrażać poczęła trwogę, zdziwienie i niecierpliwosć, która w końcu zamieniła się w wybuch gniewu.

— Więc ty kochasz... tego człowieka?

Jadzia lęklawie patrzyła na siostrę. Z oczu jej płynęły ciche łzy, które zmiękczyły niezbyt zresztą z natury twarde serce pani Ewy. Pani Ewa mimo to rzekła:

— Moja Jadziu! Już do wyjścia za Witolda namawiać cię nie myślę, sprawa jego stanowczo stracona. Ale posłuchaj mnie. Wiesz, że cię kocham, arystokratką nie jestem, z najniższej klasy człowieka, który by twoim mężem został, uznałabym za brata. Tu przecież jest zupełnie inna rzecz. Naprzód za syna kryminalnego przestępcy wyjść nie możesz, bobyś sama tego żałowała — a po wtóre — jakież charakter ma ten pan?... Namiętny, dziwaczny... Przyznaje, że sam nie wie czego chce, mówi, że o wzajemności nie myśli... Jadziu... to dzieciństwo, bo nie chcę nawet nazywać tego złym wyborem... Chwilę nierozwagi mogłabyś opłacić długiem cierpieniem. Skąd wreszcie masz pewność, że nie jest on pospolitym awanturnikiem?

— Zbyt surową jesteś! — szepnęła Jadwiga.

— Jestem tylko doświadczoną. Pamiętaj, że w takim związku jak małżeństwo, pochodzenie i majątek są to rzeczy drugorzędne, ale charakter i rodzina główne.

— Zostawmy to czasowi — rzekła Jadzia.

— Zgoda! — odparła pani Ewa. — Przyrzeknij mi jednak, że naprzód — nic bez poradzenia się ze mną nie zrobisz, a po wtóre, że dla Witolda będziesz grzeczną, jak dotychczas. Prawda, że niewiele wymagam?

— Przyrzekam ci!...

Od tej pory pan Witold znowu bywał prawie codziennym gościem, a Jadzia nigdy już z siostrą nie mówiła o Lachowiczu. Nie powiedziała jej nawet jego nazwiska, mizerniała jednak i smutniała coraz bardziej.

— Ej!... Ewciu... Jadzia jest w kimś zakochana, i to w Warszawie! — mawiał pan Jan.

— Pleciesz Bóg wie co! — odpowiadała pani Ewa, wzdychając jednakże po kątach.

W czasie późnej jesieni Jadwiga znowu wybrała się do Warszawy. Usłyszawszy o zamiarze wyjazdu, Witold zapytał pana Jana, czy nie należałoby już stanowczo oznaczyć terminu ślubu.

— Daj pokój! — odparł pan Jan. — Daj jej urlop jeszcze na rok. Macie dosyć czasu, niech więc dziewczyna zakosztuje swobody.

Pan Jan mówił to w przekonaniu, że prędzej lub później rozerwie się związek między narzeczonymi. Pan Witold zaś, jako przyzwoity konkurent, zgodził się na wszystko i nie nalegał dłużej. Prawdę powiedziawszy, i tak już nie nudził się w domu.

Cała rodzina wraz z narzeczonym odwiozła Jadzię do kolei. Przy ostatnim pożegnaniu pani Ewa szepnęła:

— Pamiętaj o przyrzeczeniu!...

— Bądź spokojna — odparła Jadwiga. — Ale i ty pamiętaj...

— Nikomu ani słówka...

Obie dotrzymały obietnicy, i tym sposobem o stosunku między Jadzią i Lachowiczem wiedziały tylko trzy osoby: oni sami i pani Ewa. Reszta rodziny i znajomi nie marzyli nawet o tym, żeby Jadwiga mogła kochać kogoś innego, nie zaś pana Witolda.

Całą zimę przepędziła Jadzia w Warszawie, nie spotkawszy się ani razu z Lachowiczem. Kochając go coraz silniej, myślała o tym tylko, aby go unikać, a zarazem czuła do niego żal, że jej nie szuka.

— Gdyby pamiętał o mnie — mówiła — znalazłby sposobność zbliżenia się...

— A gdyby się zbliżył? — szeptał jakiś głos.

— Okazałabym mu, że jego postępowanie jest niewłaściwe, powiedziałabym, że nigdy do niego należeć nie będę, napisałabym do Ewci...

Mimo to żałowała, że go nie spotyka!

ROZDZIAŁ XI

CO ROBIŁ SIELSKI

Sielski wrócił na wiosnę do Warszawy, po kilkomiesięcznej podróży. Epoka jego powrotu przypadła, mniej więcej, w rok po poznaniu Jadwigi przez Lachowicza, a przeszło w rok po podpisaniu aktu dochowania tajemnicy.

Przez ten czas Lachowicz urósł, Sielski zmałał; tamten zdobył sławę wielkiego artysty, o tym mówiono, że próżnuje; tamten uspokoił się i wyszlachetniał, Sielski zaś popadł w rozdrażnienie, stał się podejrzliwym i w stosunkach niekiedy przykrym.

Najciekawszym jednak było to, że od owej dziwacznej umowy Sielski nie robił prawie nic. Począł on wyobrażać sobie (nie wiadomo na jakiej zasadzie), że jego obraz: „Ostatni dzień skazanego”, którego nie przedstawił na konkursie i nie mógł pokazywać nikomu — że obraz ten był arcydziełem.

Doszedłszy do takiej opinii o sobie, uczuł nagle wstręt do pędzla i zamiast malować, począł się truć zwątpieniem i zawiścią.

— Nic już nie zrobię!... — mówił nieraz. — Ten nędznik zabił we mnie talent, wyssał go na swoją korzyść... O gdybym mógł okazać mój „Ostatni dzień...” choć za rok... za dziesięć lat!...

Uczonemu sama praca wystarcza, dla artysty jednak pewien stopień rozgłosu jest koniecznym. Brak tego rozgłosu, zdań krytyki, choćby nie zawsze sprawiedliwej, to wreszcie zapomnienie ogólne — straszliwie nękały Sielskiego. Wyrzucał sobie, że zrobił akt niedorzeczny, przeklinał stosunki z Leontyną i potęgował nienawiść do Lachowicza, nienawiść, do której się nieco wstydu mieszało. Czuł, że postąpił jak dzieciak, lecz wycofać się nie miał odwagi.

— Gdyby on miał choć iskierkę uczciwości, on, niby artysta — z pewnością przyszedłby do mnie i zerwał umowę. Wtedy i ja bym mu przebaczył!... — myślał Sielski.

Zapomniał, niestety! że to nie on komuś, ale że jemu raczej miał kto inny przebaczyć.

Każdy plan nowej pracy stawał się dla niego źródłem udręczeń. Niekiedy myślał o samobójstwie, aby tylko zbliżyć chwilę okazania światu swojego utworu — nigdy jednak nie pomyślał o zbliżeniu się do Lachowicza. Wypadek podobny uważałby za hańbę, gorzej niż za hańbę: za przyznanie się do głupstwa. Taką jest logika świata.

Wróciwszy do Warszawy, pierwszego prawie dnia spotkał się z Rudolfem, mężem pani Leontyny.

— Jak się masz! — wykrzyknął Rudolf, całując go bardzo serdecznie w powietrzu. — Gdzieżeś był? coś widział?

— Byłem we Włoszech, Francji, trochę w Hiszpanii...

— W Hiszpanii?... O, szczęśliwy człowieku!... Powiedzże mi, czy naprawdę te Hiszpanki są tak cudownie piękne?

— Tak sobie.

— Tyś zawsze widzę, ten sam, mój Jurciu! Chłodny, przeżyty... No, a powiedzże mi, czy są tak nieprzystępne, jak chodzą wieści?...

— Nie przekonywałem się o tym — odparł obojętnie Sielski.

Pan Rudolf machnął ręką i zmienił temat rozmowy.

— Wyobraź sobie, jaki mam kłopot. Locia koniecznie chce, aby Lachowicz zrobił jej portret — umówili się nawet podobno. On jednak coś zaczyna kręcić, widocznie droczy się, nie przychodzi... Na mnie włożono misję sprowadzenia go, ale ja nie mam czasu... Może byś mnie wyręczył?

— Nie znam Lachowicza.

— Tem gorzej dla mnie! — mówił Rudolf. — Ale... ale!... Pomiędzy tobą i Locią, widocznie, musi być jakieś nieporozumienie, bo ty u nas nie bywasz, a ona udaje obrażoną. Czy nie mógłbyś mi tego wytłumaczyć?... Ach! przepraszam cię!... Muszę biec do pani Żanety...

Ścisnął Sielskiego za rękę i zastąpił drogę jakiejś damie, która go powitała z uśmiechem.

— Co to znaczy? — myślał zdetonowany Sielski. — Lachowicz ma robić portret Leontyny?... W tym chyba ukrywa się jakaś nowa nikiemność!...

Różne przypuszczenia przychodziły mu do głowy — najwięcej jednak szans miało to, że Lachowicz mścić się chce na nim i że użyje do tego pomocy Leontyny.

Uśmiechnął się pogardliwie. Ten rodzaj zemsty najmniej był niebezpieczny, czuł bowiem, że już Leontyny nie kocha, więcej jeszcze, że jej nie szanuje. Gdy był zagranicą, zbyt wiele od przyjeżdżających słyszał o niej.

— Ha! może kiedy ta kobieta sama rozetnie umowę i zwolni mnie z przyrzeczenia... Czekajmy! I utonął w marzeniach o powrocie sławy i o zemście.

Gdy rozgospodarował się już i począł składać wizyty znajomym, doświadczył nowego udęczenia. Gdziekolwiek przyszedł, pytano go, co robi i dlaczego nie posyła na wystawę swoich obrazów.

Na pytania te z początku nie odpowiadał; w końcu jednak, pragnąc raz na zawsze zamknąć usta ciekawym, odparł:

— Zarzuciłem malarstwo, a wziąłem się do rzeźby!

I dając takie objaśnienia, widząc fizjonomie obecnych, czuł, że go własne wyrazy dławia.
Wówczas znowu myślał o zemście.

Pewnego razu wybrał się do cukierni. Pragnął zobaczyć znajomych, dowiedzieć o zmianach, a może i spojrzeć w oczy znienawidzonemu przeciwnikowi.

We drzwiach spotkał asesora.

— Witam pana! — zaczął asesor. — Wracasz z wielkiego świata.

— A tak!

— Naturalnie z zapasem obrazów?

— Niekoniecznie.

— Jakoś do knajpiny naszej powoli ściągają zbiegowie — mówił asesor. — Niedawno był tu Lachowicz... Widziałeś się pan z nim?

— Nie.

— Zmienił się, spoważniał, wyładniał nawet. Niech sobie mówią co chcą, ja zawsze jednak utrzymywać będę, że talent prawdziwy wcześniej czy później na wierzch wypłynie.

Sielskiemu zdawało się, że każdy wyraz tej rozmowy jest gwoździem, który mu w ciało wbijają.

Gdy weszli z asesorem do sali, knajpujące zgromadzenie wybuchło okrzykami powitań. Ściskano Sielskiego, mówiono mu, że zmizerniał, wypytywano o szczegóły podróży. Wreszcie wszystko wróciło do zwykłego stanu i towarzystwo do przerwanej rozmowy.

— Nie, panowie! — prawił jeden z literatów — inteligencja nasza wobec Europy nie odgrywa tak znowu małej roli. Mamy przecież sławnych przedstawicieli w każdej gałęzi wyższej działalności ludzkiej...

Popierający go poczęli cytować nazwiska znakomitych lekarzy, inżynierów, podróżników, naturalistów, śpiewaków, a wreszcie i malarzy. W liczbie ich, jako reprezentanta sztuki narodowej, wymieniono Lachowicza.

— O obecnych wprawdzie nie mówi się — wtrącił jeden z adwokatów — mimo to jednak przypominam nazwisko pana Jerzego...

Sielski się oburzył.

— Ja nie należę do osobliwości!

— Owszem, należysz pan, choćby dlatego, że złożywszy dowody talentu, zaniedbujesz się teraz — mruknął ktoś.

Był to cios, na który jednak Sielski nic nie odpowiedział. Wyręczył go adwokat.

— Musiałeś pan przywieźć ze sobą parę obrazów?

— Nic nie przywiozłem, zarzucam malarstwo! — odparł gniewnie Sielski.

— Dlaczego?

— Wziąłem się do rzeźby.

Na kilku twarzach zarysowały się uśmiechy, lubiący zaś moralizować adwokat ciągnął dalej:

— To zły projekt!... Nie wierzę, aby przy dzisiejszym stanie sztuki, można było bezkarnie przerzucać się z jednej dziedziny do drugiej.

— Nie zapominaj pan o Michale Aniele!... — szepnął ktoś ironicznie.

Znowu kilku uśmiechnęło się.

— Jak oni się nad nim pastwią! — pomyślał literat, pan Roman.

Dziwne zrządzenie losu! Przed kilkunastu miesiącami, w tym samym miejscu, w tym samym towarzystwie, tylko jeszcze w gorszy sposób, żartowano z Lachowicza!...

Sielski opuścił cukiernię zboląły i znękany. Rozumiał on dobrze fatalną zmianę sytuacji, widział, że przeciwnik triumfuje zupełnie, i że o zgnębieniu go mowy być nawet nie może. Przeczuwał, że gdyby wśród zebrania tego odczytał nawet akt, zrobiony z Lachowiczem, wyśmiano by go i potępiono.

Uwaga ta jednak, zamiast skłonić do jakiejś krytyki własnych uczuć i postępowania z Lachowiczem, zwiększyła tylko nienawiść.

— Lachowicz ma szczęście i widocznie intryguje przeciw mnie! — myślał. — Muszę się bronić!...

Na ulicy Sielski usłyszał chód pospieszny. Obejrzał się i poznał literata Romana, który gonił go zadyszany.

Przywitali się po raz drugi. Sielski ciekawy był, czego chce od niego znakomity powieściopisarz in spe; Roman zaś zastanawiał się, w jaki sposób powiększyć może zawartość swego notatnika, nie obrażając Sielskiego.

— Panie Jerzy! — zaczął literat — wiem, że pan żartujesz, mówiąc o porzuceniu malarstwa.

— Powiedziałem to całkiem serio. Nikt już nie zobaczy moich obrazów.

— Panie Jerzy — ciągnął literat — ja przecież także jestem artystą, a choć prac moich nie widziano jeszcze, zbieram jednak materiały i czuję... Pan wiesz co?... Oto, czuję, że pan nie mogłeś się wyrzec swojej specjalności. Kto raz dotknął pióra albo pędzla, kto raz wstąpił w szranki sztuki, tego od niej żadna siła nie oderwie, chyba śmierć!

— Mówisz pan jak bohaterowie starych romansów — zauważył Sielski.

— Nie, panie; ja mówię jak człowiek, który ma poczucie artystyczne, który sam jest artystą. Dodam więcej: pan musisz wrócić do pędzla, bo zmarnowanie takiego talentu, jak pański, byłoby zbrodnią...

To mieszanie się do jego interesów w każdym innym razie obraziłoby Sielskiego. Teraz jednak słuchał wymówek cierpliwie, a nawet z pewnym rodzajem wdzięczności. I nic dziwnego! Mówiono mu przecież o jego talencie, w który świat przestawał już wierzyć, nie widząc dowodów.

— Tak, panie! — ciągnął literat, zapalając się dźwiękiem i potocznością własnych frazesów. — Społeczeństwo takie, jak nasze, musi mieć wielkich uczonych, techników, poetów, architektów, malarzy wreszcie, których by sława rozeszła się po całym świecie. Tym tylko sposobem złożymy dowody żywotności.

— Żal mi bardzo — przerwał Sielski — że do liczby tych znakomitości należeć nie mogę.

— Dlaczego? może zacząłeś pan gardzić sztuką?

— Fakty zbijają pańską hipotezę...

— Może oszołomił pana majątek? — ciągnął nieubłagany literat. — O, panie! dziś z każdego stanowiska można wznieść się nad ogół. Ja, panie, ja — gdybym nie był powieściopisarzem, zostałbym... no! czym pan chcesz? — Powroźnikiem, fryzjerem, cieślą i spodziewam się, że przy niezłomnej energii zostawiłbym ślad po sobie. Lituję się zatem nad bogaczami, którzy pogardzają jakąkolwiek pracą, a tym bardziej sztuką...

— Ależ ja od dawna mam niezależny majątek — przerwał Sielski.

— Tak, sztuką... której oni, dzięki swej niezależności materialnej, powinni być kapłanami.

Umilkł pan Roman — czekał bowiem na zarzuty przeciwnika, aby na nich właśnie okazać potęgę swej wymowy; widząc jednak, że Jerzy nie odzywa się, sam stworzył zarzut, aby nie pozbawić się niezrównanej przyjemności argumentowania.

— Może czujesz pan upadek sił?... To złudzenie!... Ileż razy ja, ja, panie, sądziłem, że do niczego już nie będę zdolny, lecz mimo to, dzięki wytrwałości, nie zeszedłem z właściwej drogi.

Sielski miał wszelkie prawo odpowiedzieć, że on sam i wielu innych uważają pana Romana za blagiera, i że zejście z tej drogi byłoby poniekąd zasługą... Grzeczność jednak nasunęła mu inne zdanie — rzekł więc:

— Nie, panie; nieszczęśliwie odgadujesz pan przyczyny mego próżniactwa.

— Rozumiem! — zawołał literat, zatrzymując się na środku ulicy i biorąc Sielskiego za guzik paletota. — Obawiasz się pan konkurencji... No, ale któż na takie rzeczy uważa!

— Jakiej konkurencji? — zapytał rozdrażniony malarz.

— No, niby... tego... Lachowicza. Jest to wprawdzie olbrzymi talent, walka z nim trudna, ale... Pojmujesz pan, że dla dobra kraju potrzebne są niekoniecznie pierwszorzędne talenty...

Sielski aż syknął, usłyszawszy takie słowa pociechy...

— Jesteś pan pierwszorzędnym nudziarzem, panie Romanie! — zawołał zirytowany. —

Domysły pańskie nie mają podstawy... Niewątpliwie musi być jakaś przyczyna mojej beczynności, no, ale o tej dowiesz się pan kiedy indziej.

— Przyrzekasz mi pan? — zawołał zachwycony literat.

— Z największą chęcią! — odparł Sielski.

Nastała znowu chwila milczenia.

— Tajemnica! — szepnął Roman. — Domyślałem się jej... Mam ją nawet do pewnego stopnia w ręku...

— Co?... pan?... — krzyknął Sielski.

— Tak, ja! — odpowiedział chłodno Roman. — Wchodzą do niej: błękitna maska, Lachowicz, jakiś starzec...

Niebezpieczeństwo wydało się Jerzemu tak wielkim, że w okamgnieniu ochłonął i zebrałszy całą przytomność umysłu, rzekł:

— Cóż znowu za powieściopisarskie brednie uczepiły się pańskiej wyobraźni? Jaki zły duch podszeptał panu plotkę, za którą obraziłbym się, gdyby mnie nie rozśmieszała...

Literat znowu stanął na chodniku i przesywając go wzrokiem, odpowiedział z namaszczeniem:

— Panie! ja jestem powieściopisarz realista, to zatem, co wiem, wiem zawsze z niezawodnego źródła. Inaczej — typy moje i wątek intrygi byłyby pozbawione życia i prawdy.

Ścisnął Sielskiego za rękę i odszedł, pozostawiając go w osłupieniu.

Jerzy jak błędny wrócił do siebie, napił się wody, oblał głowę i długi szereg najdziwaczniejszych myśli streścił w następujący sposób:

„Roman jest widocznie ślepym i głupim narzędziem Lachowicza, który nie powiedział mu nic, a może wreszcie jakąś bajkę... Ten starzec przekonywa mnie, że literat nie wie nic, w każdym jednak razie, muszę to uważać za cios, który mi przygotowuje ten łotr z innej strony...”.

Szatan widocznie dolewał oliwy do ognia.

Nieustanne i niedyskretne pytania znajomych: dlaczego pan nie maluje?... co pan teraz maluje?... częste, choć może nie zawsze umyślne wzmianki o zgasłych lub gasnących talentach, sprzykrzyły się wreszcie Sielskiemu. Przestał składać wizyty, natomiast jednak chętnie przepędzał wieczory w teatrze.

Otóż zdarzyło się, że pewnego razu, nie patrząc nawet na afisz, kupił bilet i trafił na „Trubadura”. Operę tę znał ze wszystkich scen europejskich, a wreszcie z katarynek; mimo to poszedł, nie mając nic lepszego do roboty.

Los przecież tym razem zrobił mu niesłychanie miłą niespodziankę, umieściwszy w łoży parterowej, tuż obok jego krzesła, młodą, niepospolicie piękną panienkę.

Sielski począł się jej przypatrywać nader pilnie, podziwiał śniadą pleć, ciemne włosy, czarne oczy, uśmiech nie dający się opisać, a wreszcie niesłychany wdzięk i żywość. Niekiedy zdawało mu się, że młodzianka brunetka jest ptakiem, który lada chwilę zerwie się i gdzieś uleci.

Najwięcej jednak uderzało go to, że ruchliwe rysy nieznajomej przypominały mu kogoś. Chwilami czuł wstręt i obawę. Powoli jednak przykre wrażenia zeszyły na drugi plan, nie przestając go jednak drażnić.

W tych warunkach oklepana muzyka „Trubadura” potężnie robiła na nim wrażenie. Rozumiał ją, odtwarzał w sobie uczucia, ożywiające każdą z postaci: miłość, ból, nienawiść... Zdawało mu się, że młoda dziewczyna rozplywa się w melodiach opery, że tym sposobem wypełnia mu całą duszę i potęga o wszystkie jej fibry, złe i dobre...

Opera się skończyła, nieznajoma znikła, lecz Sielski słyszał ciągle dźwięki i widział obraz panny. Rozmarzył się, zapomniał, że już przecie nie jest studencikiem, i nucąc w duchu Miserere, z rozkoszą i bólem jednocześnie wyobrażał sobie ostatnie swoje pożegnanie z nieznajomą, której nigdy nie witał...

Była to jedyna chwila przyjemna, jakiej od roku doświadczył.

ROZDZIAŁ XII

WYPADKI LUDZKIE

Faktem jest, że natężenie nawet bardzo silnych i trwałych uczuć ulega zmianom. Po wielkich burzach następuje apatia, po niej — spokojność przynajmniej powierzchowna. Kipiące niedawno serce okrywa się pewnym rodzajem skorupy, pod którą jednak od czasu do czasu rozlegają się głębokie wstrząśnienia.

Niekiedy jesteś zupełnie wesoły i swobodny, nasycasz się teraźniejszością, dziwisz się, jakim sposobem przeszłość obchodzić cię mogła, gdy nagle odzywa się echo wspomnień, niby odgłos dalekiego grzmotu. Pytasz: skąd pochodzi to zjawisko? pilnie oglądasz własną duszę i dostrzegasz w niej... pewien rodzaj przykrego dreszczu, coś na kształt fal na drzemiącej wodzie, którą nie wiadomo kto zamącił.

Niewiele także potrzeba do wywołania nowego wybuchu: jakiś sen, twarz podobna, nazwisko, okoliczności, wśród których znajdowaliśmy się kiedyś, słowem — lada drobiazg burzy dotychczasową równowagę i spycha człowieka na manowce niespokojnych i dręczących marzeń.

Lachowicz rok blisko nie widział Jadwigi i popadł w obojętność. Były chwile, że go nie obchodziła, że nie poszedłby za nią nawet do drugiego pokoju. Gdy myślał wówczas, że nieznajoma może wyjść za mąż, wzruszał ramionami. Niekiedy wmawiał w siebie, że umarła, i nie czuł żalu.

Dziwił się tylko, że mógł tak egzaltować i nedorzeczny list napisać, rumienił się na wspomnienie jego treści i dziękował Bogu, że nie położył przynajmniej swego nazwiska.

— Jakież ja jestem dzieciak! — mówił. — Widocznie awantury Sielskiego przyprawiły mnie o pewien rodzaj obłędu.

Zdawało się, że już jest wszystko między nimi skończone, gdy nagle — spotkał na ulicy Jadwigę, i spokojność uciekła. Znowu zaczął tęsknić, szaleć i znowu gotów był drugi, jeszcze gorętszy list do niej napisać.

Ponieważ człowiek zbyt długo nie może bawić się jednym rodzajem marzeń, lecz ciągle postępuje naprzód, więc i Lachowicz postąpił. Przestał myśleć o samobójstwie, a natomiast jął zastanawiać się nad sposobami bliższego poznania Jadwigi.

— Muszę się z nią ożenić! — myślał.

W takim nastroju ducha, wybrał się w odwiedziny do swego hipochondrycznego protektora i po krótkim wstępie zapytał go:

— Wszak pan pamięta historię mego życia?

— Naturalnie!... naturalnie!... Bardzo ciekawa... Czy chcesz mi ją drugi raz opowiedzieć?

— Wie pan, że jestem dzieckiem motłochu?

— Dlatego masz geniusz; dzieci arystokracji, oprócz skrofułów, nic ze sobą na świat nie przynoszą.

— Wie pan też — ciągnął Lachowicz — że ojciec mój był w więzieniu?

— To bagatela! Znam ludzi, których ojcowie, dziadowie i oni sami wreszcie powinni stale mieszkać w więzieniu. Ja nawet, jak mnie widzisz, nie wiem, dlaczego się uchowałem... Aaa... oh... Ale do czego to prowadzi?

— Chciałbym się żenić! — odparł stanowczo Lachowicz.

— Czyś zwariował?... — krzyknął starzec — sprzykrzył ci się spokój w domu, wzdychasz do pantofla i rogów?...

— Szczerze panu mówię...

— A ja ci szczerze mówię, żeś półgłówek — przerwał zirytowany starzec. — Rozumiem, że ci może być przykro teraz, bo nie masz jeszcze lat trzydziestu, ale przetrzymaj tylko do czterdziestki, a Bogu podziękujesz, kościół wybudujesz, żeś takiego głupstwa nie zrobił. Na mnie patrz, jaki jestem szczęśliwy, że nie mam młyna w domu!...

Ponieważ hipochondryk począł ziewać, co było znakiem, że się udobruchał, Lachowicz więc zapytał:

— Jak pan sądzi, czy bez względu na moje stosunki rodzinne, mógłbym znaleźć żonę?...

— Sto żon... Ale co ci po własnej, kiedy możesz bałamucić cudze?... Mężatki szaleją za tobą!

— Ale kobietę uczciwą i, jak to mówią, z dobrego domu?

— Z pałacu nawet, księżniczkę dostaniesz, gdy zechcesz. Ja sam znam trzy hrabianki, stare panny, które pójda za ciebie z pocałowaniem ręki.

— Już jestem zajęty! — odpowiedział z uśmiechem Ludwik.

— O! — mruknął stary. — A jakże się nazywa ta...

— Nazwiska nie wiem, nie mówiłem z nią nawet.

— A to dobrze, bo akurat mogłeś trafić na gryzetkę.

— Jestem o to spokojny.

— No, kiedy jesteś spokojny — mówił znowu, oburzając się starzec — to się żeń!... O cóż ci chodzi?... Po co mnie pytasz o radę?... Może chcesz, ażeby cię oświadczył?

— Może i o to będę prosił.

— Ha!... Jesteś pełnoletni, masz rozum, brnij zatem!... Mogę nawet być ojcem chrzestnym twoich dzieci, które prawdopodobnie urodzą się idiotami. Żeń się, żeń!...

Wysłuchawszy tych opinii, Lachowicz wyśmiewał w duchu swoje dotychczasowe skrupuły i postanowił oświadczyć się nieznajomej. Na drugi dzień jednak znowu wpadł w zwątpienie i potępiał swoją, jak ją nazywał, bezczelność...

Tymczasem przyszedł mu nowy pomysł do obrazu, począł więc malować, a że robił szybko i całymi dniami, w parę tygodni ukazał się na wystawie nowy utwór.

Była to antyteza „Ostatniego dnia skazanego”, a zarazem odpowiedź na twierdzenie Jadwigi, że zbrodniarz nie musiał mieć rodziny, i dlatego został występny.

Główną figurą nowego obrazu pod tytułem: „Na łonie rodziny”, był ranny w piersi i konający żołnierz włoski. Leżał widocznie na własnej pościeli i we własnej chacie, w której znać jeszcze było ślady świeżej walki. Żona rannego z gestem rozpaczony rzuciła mu się do nóg, zgrzybiały ojciec z osłupieniem patrzył na półmartwe rysy dziecka, do izby tłoczyli się przerażeni sąsiedzi. Lecz żołnierz nie widział ich.

Najciekawszym jednak było dopełnienie. Oto w drugim oknie, jakby z poza mgły niebieskawej, widać było zdziwioną i łzami zalaną twarz dziewczicy, ubranej w popielaty burnus, błękitną suknię i czarny kastorowy kapelusz. Pod oknem zaś, już w izbie, siedział jakiś człowiek z głową pochyloną i obliczem zasłoniętym rękoma. Gdyby kolor i sposób ułożenia włosów upoważniały do jakichkolwiek wniosków, można by sądzić, że był to portret Lachowicza, jak znowu trudno było nie spostrzec rażącego podobieństwa między dziewczicą z obrazu a Jadwigą.

Hipochondryk pierwszy zobaczył nowe dzieło. Przetarł parę razy binokle, siadał, wstawał, a wreszcie mruknął:

— A niechże cię diabli wezmą!

I o dziwo! ucałował Lachowicza, który nieprzyzwoite wykrzykniki starego przyjaciela cenił wyżej nad wszelkie pochwały.

I przed tym obrazem zatrzymywały się tłumy, a krytyka poświęciła mu parę oddzielnych artykułów, chwalać całość, lecz potępiając jej dopełnienie. Co znaczy ta dama, która patrzy przez okno? — wołali — a wygląda tak, jakby w czasie bitwy, toczącej się nieledwie we wsi, wyszła na spacer?...

Sielski tak nienawidził Lachowicza, że w ogóle nie oglądał jego utworów; nie poszedł więc i tego obejrzeć. Nie wszyscy jednak podzielali ten wstręt do dzieł mistrza. Panna Jadwiga na przykład, usłyszawszy o oryginalnym obrazie, poszła obejrzeć go, z dziwnym jakimś niepokojem w duszy, przeczuwając, że obraz ten odnosi się do niej, a może i odegra ważną rolę w ich wzajemnych stosunkach.

Rzuciwszy okiem na płótno, od razu zrozumiała jego znaczenie. W oczach jej zakręciły się łzy; była wzruszoną, zachwyconą i zdecydowaną na krok stanowczy.

Podeszła dama, w towarzystwie której Lachowicz poznał Jadzię przed rokiem, była bardzo kontenta.

— Widocznie podsłuchał nas wtedy, pamiętasz, Jadziu? — rzekła dama. — Muszę jednak wyznać, że nie można zemścić się w sposób delikatniejszy.

— Przecież na mnie chyba mścić się nie potrzebował — odparła Jadzia.

— Tak, ale na mnie!... I dlatego nie wymalował mnie obok ciebie, za co bym się wcale nie gniewała.

Zajęta wyłącznie oglądaniem obrazu, poważna dama nie miała czasu zwracać uwagi na swoją towarzyszkę.

— W każdym jednak razie, niech pani o tym nikomu nie mówi — rzekła Jadwiga.

— O tym obrazie?... Ależ wszyscy go widzą na wystawie!

— Nie, nie o obrazie, tylko o naszym szczególnym spotkaniu. Nie mam przyjemności znać osobiście pana Lachowicza, pojmuje więc pani...

— Czy możesz mnie o tym ostrzegać?... — odparła dama z wyrzutem, drżąc na samą myśl o tym, co by pan Witold mógł przypuścić!...

I podobne spotkanie miało miejsce pod jej okiem!... Rzecz wprowadzie sama przez się była niewinna, szanowna dama jednak, znając świat, postanowiła jak grób milczeć o wypadku.

Czy zrobiła tym sposobem dobrze, czy źle?... Trudno zgadnąć.

Jadzia tymczasem myślała zupełnie o czym innym. Lekkomysłny pan Witold, obok artysty, wydawał jej się bardzo malutkim. Obraz zrobił na niej głębokie wrażenie.

Ułożyła sobie pewien plan, który dziś jeszcze postanowiła wprowadzić w wykonanie.

Między liczną rodziną miała ona dalekiego kuzyna, który wcześniej straciwszy ojca i matkę, prawie wychował się w domu jej rodziców. Skutkiem tego, stosunki między Jadzią i jej kuzynkiem były bardzo serdeczne. Jakiś czas sąsiedzi przypuszczali, że z dwojga tych dzieci będzie małżeństwo; złożyło się jednak inaczej. Kuzynek wyjechał w świat, skończył akademię sztuk pięknych w Monachium i został malarzem; — Jadzię zaś zaręczono z Witoldem.

Ile razy kuzynek był w Warszawie, tyle razy odwiedzał Jadwigę, bawił ją lub przekomarzał się, lecz zawsze okazywał jej wiele życzliwości. Od roku jednak z górami kuzynek zarzucił malarstwo, włóczył się bez celu zagranicą, a gdy wrócił, bywał u Jadzi rzadko i jakiś nieswój. Ludzie mówili, że hula. Jadwiga wierzyła temu trochę, lecz wierzyła też, że jej kuzynek jest człowiekiem prawym, rozsądnym, i że ją kocha jak siostrę.

Ten to kuzynek miał się stać głównym czynnikiem jej planu. Ponieważ sam był malarzem, musiał więc znać krajowych malarzy, a między nimi i Lachowicza. Od niego zatem dowie się Jadwiga bliższych szczegółów o Lachowiczu, on go do jej domu wprowadzi, on wreszcie pokona skrupuły pani Ewy.

— Lachowicz to człowiek wyjątkowo zacny — myślała Jadzia — to charakter wzniosły!... W życiu jego musi być wiele stron pięknych, a gdy o nich dowie się siostra, wówczas...

Uśmiechnęła się, nie kończąc nawet swej myśli, i — tego samego wieczora wydała bilet do kuzynka. Około ósmej służący zameldował:

— Pan Sielski!

— Jurcio! — zawołała Jadwiga, wybiegając na spotkanie gościa.

Jerzy był owym kuzynem, który miał Lachowicza zapoznać z Jadwigą, obalić skrupuły pani Ewy, słowem, skojarzyć małżeństwo!...

Jerzy i Jadwiga przywitali się bardzo serdecznie.

— Śliczny z ciebie kuzynek!... pamiętasz o mnie!... — zawołała Jadzia serdecznie, ściskając go za rękę.

— Bywałbym po trzy razy na dzień, kuzynko, gdybyś mnie zawsze tak witała! — odparł Sielski.

— Ach, niewdzięczniku!... Więc już zapomniałeś nawet o tym, że cię zawsze tak witam?

— Co każeś, kuzynko?... — pytał dalej Jerzy, siadając obok Jadwigi — gdyż sądzę, że nie wezwiałaś mnie bez interesu.

Jadzia udała obrażoną.

— To tak?... — rzekła — więc nie przypuszczasz nawet, że się stęskniła za tobą?... Ha! kiedy tak, więc dobrze! Mam interes... Musisz mi... kupić abonament na operę włoską...

— Z całą przyjemnością.

— Nie dość na tym. Musisz za każdym razem chodzić ze mną do teatru.

— Wszystko rozumiem! — zawołał, śmiejąc się, Jerzy. — Potrzebujesz opiekuna do łoży i poczynasz tęsknić za mną. Mniejsza o to. Będę się nawet starał o cukierki za każdym razem, byle tylko pan Witold nie wyzwiał mnie na pojedynek!

Jadzia zrobiła grymas, wcale niepochlebny dla pana Witolda.

Tegoż wieczora, po herbacie, gdy poważna gospodyni domu odeszła, Jadzia spytała nagle:

— Dawno byłeś na wystawie sztuk pięknych?

— Przed rokiem! — odparł sucho Sielski.

— Ja byłam dziś i wyobraź sobie, że na jednym z obrazów rodzajowych zobaczyłam... mój portret!

— Nic dziwnego! Zbyt jesteś piękną, aby który z malarzy nie starał się za pomocą twoich rysów podnieść wartość swego obrazu.

— Pochlebco! — zawołała Jadzia, uderzając go z lekka paluszkami po rękę.

— Jeżeli mnie bijesz, potłucz także wszystkie lustra, które ci to samo co dzień mówią — rzekł Sielski.

Po chwili zapytał:

— Któż cię sportretował?

— Ani się spodziewasz! Najzdolniejszy malarz w Warszawie... naturalnie po tobie.

Jerzego mrowie przeszło. Nie chcąc jednak okazać wzruszenia, spuścił oczy i spytał powtórnie:

— Któż mianowicie?

— Ten pan... No ten! który dostał nagrodę konkursową za „Ostatni dzień skazanego...” —

odparła Jadzia, udając, że chce sobie przypomnieć nazwisko.

— Aha!

— Jakże on się nazywa?

— Lachowicz!... — mruknął Jerzy.

Jadwigę uderzyło to.

— Co tobie jest, Jurciu? — spytała go niespokojnie.

Sielski wybuchnął:

— Szkoda — zawołał — że twoje rysy znalazły się na obrazie tego nikczemnika!...

Mówiąc to, Sielski był nazbyt rozdrażniony, ażeby mógł spostrzec straszną zmianę, jaką słowa jego wywołały. Jadzia zbladła, zacisnęła ręce... Więc siostra nie omyliła się. Jej nadzieje strasznie zostały zawiedzione.

Gdy Jerzy ochłonął, i Jadzia już opanowała się, spokojnie, choć cichym głosem, zapytała:

— Więc mówisz, że ten pan Lachowicz?...

— Jest nikczemnik!

— Nik... czem... nik!... — przesyłabizowała Jadzia.

— Czy cię to dziwi?

— Nie... ale ja myślałam, że...

— Że co?

— Już nie wiem co! Aha! Myślałam, że taki mistrz nie może być złym człowiekiem.

— I omyliłaś się.

— O, tak!... omyliłam się!

Gdy Sielski wyszedł, powtórzyła jeszcze raz:

— Omyliłam się!

I w parę dni później, siedząc nad jakąś robotą, obok swojej opiekunki, szepnęła także:

— Omyliłam się!

— Nic nowego — odpowiedziała dama. — Ty zawsze się mylisz, ponieważ co innego robisz, a o czym innym myślisz.

Jadzia podniosła na nią oczy.

— Czy pani co mówi? — spytała.

— No, już nic!... Szczęśliwy ten pan Witold... Muszę do Ewci o tym napisać!...

Jadwiga drgnęła, twarz jej rozjaśniła się, jakby w tej chwili przyszło jej na myśl rozwiązanie trudnego zagadnienia.

Jakoż wieczorem napisała list do siostry i szwagra, donosząc im, że jest bardzo zmęczona, że ją nudzi Warszawa. List ten kończył się następującym dopiskiem:

Jeżeli wam się podoba, możecie oznaczyć dzień ślubu z panem Witoldem. Trzeba raz skończyć!...

— Patrzaj, Ewciu! — wykrzyknął pan Jan, odczytawszy dopisek. — Jadzia się zgadza na wesele, a ja myślałem, że Witold dostanie kosza!

Pani Ewa pokręciła głową. Niemniej jednak dzień ślubu oznaczono w jesieni.

W parę dni po bytności Jadwigi na wystawie, przyszedł do Lachowicza pewien jego znajomy z propozycją nabycia obrazu.

— Jak to, więc go dla siebie chcesz kupić? — spytał Ludwik.

— Eh! nie... Jestem tylko proszony o pośrednictwo.

— Przez kogo?

— Wspomniano mi wprawdzie o tajemnicy, która jednak tobie musi być chyba wiadomą.

— Nic nie wiem! — zapewnił go Lachowicz.

— Jak to, naprawdę nie domyślasz się, kto kupuje obraz?

— Ależ ani odrobiny, daję ci słowo!

— No, jużci Sielski, któż by inny? — odparł pośrednik.

— A on po co kupuje mój obraz?

— Nie udawaj! nie udawaj!... Wymalowałeś przecież portret jego kuzynki...

— Co mówisz?...

— Naturalnie! Ta dama za oknem jest jego jakąś daleką krewną. Na imię jej — Jadwiga.

Lachowiczowi przywidziało się, że pokój począł krążyć dokoła. Usiadł, chwilę odpoczął i rzekł:

— Nie sprzedam obrazu!

— A niechże cię! — zawołał gość. — Tom się spisał... Właśnie też Sielski prawie błagał mnie, ażeby ci nie mówić, że on kupuje.

— Kiedy tak, to weź... Ale pieniędzy nie chcę.

— Znowu awantura. Obrazisz go tym sposobem... On widocznie nie chciał prezentu, skoro mnie do ciebie wysłał.

Nic już nie odpowiedziawszy na to, Lachowicz wziął pieniądze i napisał upoważnienie do odebrania obrazu.

Ludwik posiadał jeden cenny przymiot: sprężystość duszy, która ze szczególną siłą uwydatniała się w nieszczęściu.

Zrozumiał on, że jeżeli mógł kochać ze słabymi choćby widokami wzajemności jakąś pannę Jadwigę, to już kuzynka Sielskiego była dla niego bezpowrotnie stracona. Przeczował dalej, że obraz, który miał się stać punktem wyjścia dla bliższych stosunków, stał się powodem jego nieszczęścia. Sielski musiał go przedstawić Jadwidze w najczarniejszych kolorach, ona — uwierzyła i naturalnie okazała list, z którego dziś oboje się śmieją... Fakt kupna obrazu przez Jerzego był tylko manifestacją niechęci, wzgardy i naigrwania z jego zawiedzionych nadziei...

— Otóż to są ideały nasze! — szepnął Lachowicz, myśląc z goryczą o zawodzie, jaki go spotkał w poszukiwaniu przyjaźni i miłości.

Ha! moja w tym wina — dodał. — Nie trzeba było poddawać się głupim marzeniom!

Pogląd ten, jeżeli nie wywołał, to przynajmniej stał się współczesnym dwom zjawiskom. Naprzód, uspokojeniu się Lachowicza, a po wtóre zniechęceniu do świata. Uspokoił się, poznawszy, że to, do czego wzdycha, było snem nigdy nie urzeczywistnionym; zniechęcił dlatego, że rodzaj ludzki znowu zdrobniał mu jakoś w oczach.

Z tym wszystkim jednak talent jego nie cofnął się, ani zatrzymał w rozwoju, czerpiąc siły nawet w zawodach i boleści.

Nie domyślał się, że w tym samym czasie cierpi ktoś inny, i że znowu dwie ludzkie dusze popadły w niewolę fałszywych domysłów i powszechnie przyjętych opinii. W oczach Jadwigi człowiek, napiętnowany wyrazem: „nikczemny” nie zasługiwał na to, aby się nim dłużej zajmować. Lachowicz znowu sądził, że w jego położeniu niepodobna już zrobić żadnego kroku naprzód, nawet dla sprawdzenia tego, czy jego domysły o Jadwidze są prawdziwe...

ROZDZIAŁ XIII

SIELSKI UWOLNIONY

Ze wszystkich dochodów niestałych, jakimi rozporządza warszawskie towarzystwo dobroczynności, największe zawsze płynęły z loterii fantowych, które też w życiu naszego miasta niepospolitą odegrały rolę.

Ubogich mamy takie mnóstwo, że dla utrzymania ich, ofiary czystego miłosierdzia wydołać już nie mogą. Ciągłe kwesty po domach i deklamacyjne odezwy w pismach robią wprawdzie swoje, ale to nie wystarcza. Należało więc dla wydobycia pieniędzy obmyśleć jakiś energiczniejszy środek, i wyekspluatowawszy litość, poruszyć inne jeszcze uczucia, których tyle posiada serce ludzkie.

Wszelkie społeczeństwo składa się, jak wiadomo, ze „śmietanki” i „serwatki”. Otóż dla reprezentantów jednej i drugiej kategorii loterie fantowe stały się doskonałą przynętą.

Ludzie zamożni, w naszym kraju przynajmniej, skazani są na przymusowe próżniactwo. Kierować nawą ludzkości nie mogą, drobniejszymi zajęciami pogardzają, muszą więc z konieczności ziewać lub wyczekiwać jednej z tych rzadkich chwil, która bez wielkiego zachodu i szkodliwego zużycia sił umysłowych stawia ich od razu na świeczniku. Loteria jest właśnie jedną z takich chwil. Dla wsławienia się przy tej sposobności, nie trzeba ani wielkich cnót obywatelskich, ani żelaznej pracy, ani fachowego wykształcenia. Dość ofiarować jakiś fant, sprzedawać bilety, lub kręcić kołem, w które wsypano losy, aby zostać drukowanym, podziwianym, oglądanym — słowem: budzić zazdrość u gawiedzi.

A jakąż doskonałą wędką była loteria dla warszawskiego ludku!...

Jedni, należący do kategorii osób „źle ubranych”, szli jak na dziwowisko do ogrodu, który w ciągu trzystu sześćdziesięciu zwykłych dni był dla nich hermetycznie zamknięty, z wyjątkiem chyba wieczorów lub ulewnego deszczu. Drudzy, miłośnicy wrażeń, którym nie wystarcza ani światło miejskich latarni, ani melodie katarynek, biegli do ogrodu, aby skąpać plebejuszowskie dusze w chaosie muzycznym, wytwarzanym przez kilka orkiestr, tudzież w potokach światła kolorowych latarni i ogni sztucznych. Inni spodziewali się znaleźć hałas i ciżbę, i pragnęli skorzystać z możliwości wydeptywania trawników, tudzież potrącania bliźnich. Lubownicy świeżych kwiatów cieszyli się nadzieją, że wśród natłoku uda im się uszczknąć jakąś gałązkę bzu, pączek róży, albo tulipan... Złodzieje kieszonkowi znowu przypuszczali bardzo rozsądnie, że nie tylko

przepatrzeć będą mogli większą ilość portmonetek niż zwykle, ale że nadto skromnym datkiem dla cierpiącej ludzkości potrafią zmasać jakąś część swoich powszednich grzechów.

Każdy zresztą szedł tutaj z więcej lub mniej wyraźnie manifestującą się nadzieją, że za swoje czterdzieści groszy, przy opiece losu, wygra fant, wart przynajmniej paręset rubli. Dla takiej sumy warto nie tylko zapłacić wejście i kupić parę biletów, ale jeszcze i zadłużyć się na kilka złotych, byle Pan Bóg zesłał dość naiwnego wierzyciela!

Do tego ogromnego tłumu dodajmy garść emerytów, którzy muszą wypić sakramentalną porcję wody — garść nie mających środków do objechania Łazienek we własnym powozie elegantów i elegantek, które skutkiem tego muszą co dzień przejść główną aleję ogrodu, a wreszcie — garść lowelasów, którzy nawet z grobów powstać gotowi dla zajrzenia w oczy paru tysiącom ładnych kobiet — a będziemy mieli pojęcie o natłoku, ruchu i dochodach, wytwarzanych przez loterie fantowe, których podobno nic już nie zdoła zastąpić.

Tegoroczna zabawa nie różniła się niczym od innych jej podobnych. Naprzód municypalność wezwiała przez pisma poświęcających się dla ogólnego dobra obywateli — na sesję do magistratu. Następnie też same pisma ogłosiły nazwiska cenniejszych fantów i szlachetnych ofiarodawców. Później, znowu te same pisma zawiadomiły niecierpliwą publiczność, że w dniu dzisiejszym pewna liczba sierot z ochronek różnych wyznań zajęła się zwijaniem biletów i rzucaniem ich do kół, które wobec takich a takich świadków starannie zapieczętowano. Później sprostowano drukarskie pomyłki w nazwiskach i tytułach osób, które raczyły przyjąć obowiązek sprzedawania biletów i gospodarowania w namiotach. W końcu — zapowiedziano loterię na sobotę — „jeżeli niebo nie zechce przeszkodzić zabawie przez spuszczenie potoków deszczu”.

Deszcz nigdy nie zawodził loterii, więc spadł w sobotę, dając dziennikom powód do pisania artykułów o zdumiewającym związku, jaki istnieje między loterią i niepogodą, i o odłożeniu zabawy na czwartek. Ponieważ zaś i we czwartek deszcz padał, loteria przeto odbyć się nie mogła i rzeczywiście odbyła się dopiero w następną sobotę.

Od rana ogród uległ tak szczelnemu zamknięciu, jak forteca w czasie oblężenia, naturalnie — dla tych śmiertelników, którzy nie mieli szczęścia należeć do grona gospodarzy. Tłumy osób stały pod bramami. Jedni prosili, aby ich puszczono tylko „na kufelek wody” — drudzy przysięgali, że biegnąc do umierających krewnych, wybrali najkrótszą drogę przez ogród, i że odźwierni wiele mieć będą kłopotu, jeżeli ich nie przepuszczą. Gromada gapiów ciekawie zaglądała przez kraty, pragnąc zobaczyć, jak też w dzień wyglądają fajerwerki.

Nareszcie około drugiej zebrały się orkiestry, a po ich wejściu otworzono bramy dla „szerszej publiczności”, która niebawem poczęła się tłoczyć do ogrodu, jak pielgrzymi do cudownego

miejsca. Muzyka zagrała, puszczone fontanny, a członkowie, przeznaczeni do obracania kół loteryjnych, poczęli spełniać swoje filantropijne posłannictwo.

Nad wieczorem w przybytku zabawy zrobiło się ciasno. Wszystkie ławki były zajęte przez ludzi, których fizjonomie okazywały, że gotowi są w obronie swoich miejsc położyć życie. Około głównego wodotrysku i namiotów z fantami uformowały się zatory. Wszystkie aleje wypełniły ruchome tłumy, nad którymi unosił się tuman kurzu, sięgając ponad szczyty najwyższych drzew.

Rozmawiano, śmiano się, krzyczano, a nade wszystko: ciągniono losy. Młodzi eleganci wygrywali parasolki i kompletne ubiory damskie. Jakiś fryzjer wygrał butelkę wody kolońskiej własnego wyrobu i natychmiast chciał z niej zrobić prezent, lecz chętnego do przyjęcia ofiary nie znalazł. Największe lustro dostało się pewnemu garbuskowi, co widzów przyprawiło o wesołość, a właściciela o zły humor.

Najbardziej pożądane fanty, jak: dwie krowy, zniwiarka i amerykański wózek, oczekiwały jeszcze wybrańców fortuny. Przysiąc by można, że w kilkunastotysięcznym tłumie nie było osoby, która by do jednego z nich nie wzdychała, obok wielu takich, które by wszystkie przyjęły.

Sielski, samotny i znudzony, przyszedł do ogrodu około szóstej. Z trudem przebrnął parę głównych alei, zajrzał do cukierni, gdzie przekonał się, że z powodu natłoku niczego nie dostanie, a wreszcie zobaczywszy w jednym z namiotów znajome panie, wziął (według prawideł dobrego tonu) jeden bilet loteryjny i położył na stole pięć rubli.

Przy kole, wśród ciżby, spotkał się oko w oko z piękną brunetką, którą widział w czasie przedstawienia „Trubadura”. Spotkanie to zelektryzowało go, szczególnie, gdy się przekonał, że został poznanym, i że śniadą twarz panienki oblał rumieniem.

Nieznajoma była w towarzystwie jakiegoś starego i wiecznie ziewającego jegomościa, damy, która już zapomniała o wieku średnim, i dwóch młodych ludzi, z których każdy był bardzo zadowolony z siebie i bardzo niezadowolony ze swego towarzysza.

„Wielbiciele!...” — pomyślał Sielski i uczył wstręt do obu młodych ludzi.

— Pewny jestem, że pani marzy w tej chwili o krowach — rzekł jeden z wiecznie uśmiechniętych elegantów do nieznajomej, która trzymała bilet w ręku.

— Wcale nie! — odparła panienka.

— A to dziwne!... — zawołał młodzieniec. — Teraz przecież wszyscy tylko o krowach mówią i myślą...

— Niech pan powie, że teraz i zawsze myślą o krowach wszystkie — mleczarki i cielęta...

— Zosiu! — zgromiła ją dama w wieku poważnym, podczas gdy apatyczny jegomość i drugi młodzieniec zdawali się nie posiadać z radości.

Nareszcie Jerzy dosięgnął koła, lecz ponieważ panienka stała tuż za nim, cofnął się i zdejmując kapelusz, rzekł:

— Niech pani raczy ciągnąć!

— Nie chcę panu psuć losu... Niech pan będzie łaskaw! — odparła śmiało nieznajoma, bardzo mile patrząc na Jerzego i rumieniając się powtórnie.

Jerzy wydobyl bilet, a rozwinawszy go, przekonał się, że jest pusty.

— Niech się pan pocieszy przysłowiem: Nieszczęście do gry... i tak dalej! — odezwał się uprzejmy członek od korby.

Z kolei losowała nieznajoma, lecz także wydobyla pusty bilet, wybuchając przy tym wesołym śmiechem.

— I pani radzę pocieszyć się w taki sam sposób! — rzekł powtórnie członek, któremu stanowisko i wiek poważny nadawały poniekąd prawo robić młodym podobnego rodzaju uwagi.

Człowiek, któremu pozwolono by przejrzeć serca osób stojących obok namiotu, dziwne by w tej chwili dostrzegł w nich uczucia. Przekonałby się, że filantrop jest niewymownie dumny i zadowolony z siebie, że ponury Sielski nie rozgniewał się za jego dość swobodny dowcip, że dwaj młodzi ludzie szczerze pragnęli rozszarpać Sielskiego i filantropa — i że ładna brunetka po raz pierwszy w życiu doznała jakiegoś szczególnego niepokoju. Czuła, że jej coś drgnęło w piersiach...

Sielski także doświadczył niespodzianego wrażenia. Zdawało mu się, że we wnętrzu jego istoty leży coś na kształt popiołów. Smutne te resztki nazywały się niegdyś miłością dla Leontyny. Obecnie uczył, że czarne oczy nieznajomej pod owymi popiołami zatliły nową iskrę... Wszystko to jednak trwało zaledwie chwilkę. Nieznajoma razem ze swym towarzystwem znikła w tłumie, a iskra przygasła. Mimo to Sielski rozmarzył się.

— Zabawne uczucie! — myślał. — Ta cyganeczka przypomniła mi czasy studenckie, kiedy to człowiek każdą kobietę uważał za anioła.

I odzyskawszy dobry humor, drwił z samego siebie. Mimo to począł błądzić w tłumie i poszukiwać nieznajomej, pytając w duchu: czy doświadczyłby znowu tego przelotnego, lecz miłego uczucia, gdyby po raz drugi spojrzął jej w oczy?...

W czasie przechadzki zetknął się z najmniej spodziewaną osobą.

Był to pan Rudolf, mąż Leontyny.

Rudolf zdawał się być zmieszany i niespokojny. Ucałował Sielskiego w oba policzki, a potem bolejącym głosem wykrzyknął:

— Cóż, już wiesz o nieszczęściu?...

— Jakim? — spytał zdziwiony Jerzy.

— Jak to, więc nic nie wiesz?...

— O czym?... Nie rozumiem cię.

— Ach!... Chodźmy gdzie na bok, opowiem ci wszystko! — mówił pan Rudolf. — Wiesz co, może byśmy wyszli z ogrodu?

— Nie mogę... Czekam na kogoś.

— Rozumiem! Jakaś młoda i niewinna osoba naznaczyła ci schadzke?... Jeżeli zechcesz, zaproszę was oboje na kolację. Przy moich kłopotach koniecznie potrzebuję rozrywki, towarzystwa osób wesołych. Inaczej wpadnę w rozpacz i w łeb sobie strzelę!

— Powiedzie, co się stało? — nalegał Sielski.

— Co się stało!... Opowiem ci, ale wejdźmy do najbezludniejszej alei. Gdyby gdzie w okolicach Pragi leżała pustynia Sahara, wziąłbym dorożkę, zawiózłbym cię i dopiero tam wszystko bym opowiedział.

Sielski nie wiedział, czy Rudolf żartuje z niego, czy mówi na serio. Spojrzał mu badawczo w oczy, lecz przekonał się, że twarz jego nosi ślady zmartwienia, naturalnie o tyle, o ile skłonny mógł być do zmartwień człowiek, do pana Rudolfa podobny.

Gdy weszli pod mur, przylegający do ulicy Niecałej, pan Rudolf rzekł:

— Wiesz, że ojciec Loci umarł...

— Umarł?...

— Tak!... Serce mu pękło ze zgryzoty.

— Cóż znowu?

— Wczoraj odbył się pogrzeb, na którym z powodu zajęcia, mimo najszczerzej chęci, być nie mogłem. Ale za to we wszystkich dziennikach ogłoszę jego nekrolog. Zaczny człowiek!

— Umarł! — szepnął z głębokim smutkiem Jerzy.

— Locia naturalnie nic o tym nie wie — ciągnął pan Rudolf.

— Gdzież jest? — spytał bezmyślnie Sielski.

— Jak to, nie wiesz? Ty chyba z ludźmi nie żyjesz!... Chyba gdzieś na Podlasiu byłeś!

— Cóż to jest?

— No, to jest, że Locia uciekła z Adamem!...

Okropny człowiek!... Gdyby mi delikatność nie nakazywała jej oszczędzać, wyzwałbym go na pojedynek i zabiłbym jak dzięcioła!

Wykrzyknik ten nie był wcale przechwałką; pan Rudolf bowiem zarówno odznaczał się szaloną odwagą i celnością w strzelaniu, jak lekkomyślnością i rozpustą w życiu.

— Uciekła tydzień temu — mówił dalej mąż — nie powiedziawszy ani słówka... Mnie, który byłem jej najserdeczniejszym przyjacielem...

Sielski słuchał go osłupiały. Cała orkiestra najsprzeczniejszych uczuć zagrała w nim w tej chwili.

— Nie!... W naszym kraju nie można bez skompromitowania się być liberalnym mężem — ciągnął Rudolf. — Jakiś czas sądziłem, że ta kobieta nie zrobi mi wstydu, licząc na to, że dawna miłość dla ciebie...

— Tylko mnie do tego nie mieszaj! — wtrącił stłumionym głosem Jerzy.

— Dlaczego cię nie mam mieszać, kiedy wiem, że się naprawdę w tobie kochała, że nawet bywała u ciebie...

— Co?...

— No, no!... nie wypieraj się — upominał go Rudolf. — Wiem wszystko z najlepszego źródła, bo od niej samej.

— Więc ona ci to mówiła? — zapytał gwałtownie Sielski.

— I mnie, i wszystkim swoim przyjaciółkom, naturalnie pod największym sekretem. To też dziś kobiety w całej Warszawie twierdzą, że twoja obojętność zgubiła ją. Ja jednak nie mam do ciebie pretensji!

Słuchając tego, Jerzy począł się prawie obawiać o swój rozum.

— Po twoim wyjeździe — mówił Rudolf — zawiązała stosunki z Adasiem, który, jak widzę, był mniej skrupulatnym, czy kapryśnym niż ty. Kokietowała także tego znakomitego Lachowicza, ale to skończony safandula!...

Nareszcie uwieńczyła dzieło ucieczką, zabijając tym sposobem dwu ludzi: swego ojca i mnie, który nie śmiem teraz w towarzystwie kobiet oczu podnieść. Żebyś wiedział, jakie nikczemne plotki o mnie kursują z tego powodu... Ach!... No, ale bądź zdrow! Muszę iść do pani Ludwiki. Gdyby nie ona, powiesiłbym się z rozpaczy!

To powiedziawszy, pan Rudolf ścisnął za rękę Jerzego i szybko pobiegł ku alei głównej.

Sielski wrócił do świadomości i pierwszą myśl, jaka mu przemknęła przez głowę, streścił w wyrazach:

— Jestem wolny!...

Słowa te powtórzył kilka razy z niewymownym uniesieniem. Był wolny od zobowiązania, umowa z Lachowiczem już upadła, mógł malować, mógł obrazy swoje ukazywać całemu światu, a nade wszystko mógł zemścić się nad Lachowiczem!

Myśląc o tym, błąkał się znowu wśród natłoku rozbawionej publiczności, nie widząc różnokolorowych latarni, nie czując ścisku, nie uważając, że już noc zapadła. Dopiero potężny huk zbudził go z odrętwienia. Zapalono właśnie fajerwerki.

Gdy się rozejrzył dokoła, spostrzegł, że stoi obok głównego wodotrysku, który w tej chwili sztucznymi oświetlono ogniami. Syczały i pękały race, pryskały szmermele, a ogród, mała cząstka nieba nad nim i ogromny tłum ludu, wszystko to kapało się w purpurowych, zielonych lub olśniewającej białości płomieniach.

Jerzemu przyszyły na myśl szopkowe legendy o piekle, i pod wpływem gorączkowego rozdrażnienia, zdawało mu się, że on sam jest triumfującym demonem, a Lachowicz zwyciężonym potępieńcem, który wśród potoków ponurego światła, zlatuje w przepaść hańby z piedestału wielkości, przywalony śmiechem cizby...

— Zemszczę się!... jestem wolny!... — powtarzał Sielski.

ROZDZIAŁ XIV

PRZESILENIE

Następny ranek przyniósł zdrowsze nieco myśli Jerzemu. Zemsta nad Lachowiczem, którą wczoraj widział wśród potoków krwi i ognia, przybrała teraz spokojniejsze i bardziej określone formy. I dziś pragnął zabić przeciwnika, lecz tylko moralnie; zostawiał mu życie, lecz chciał go pozbawić sławy znakomitego artysty, która według jego opinii, wspierała się na bładze i braku konkurencji.

Ileż to razy mówili przyjaciele Jerzego, że jedynym niebezpiecznym dla Lachowicza współzawodnikiem mógł być tylko Sielski. Na nieszczęście, Sielski przestał malować, cofnął się z placu, na którym obecnie wróg jego laury zbiera. Ale dziś skończyły się już triumfy, współzawodnik wystąpi, a rzekoma sława Lachowicza rozproszy się jak mgła!

Ułożywszy taki plan zemsty, Jerzy z góry już cieszył się powodzeniem. Już widział tłumy podziwiające jego obrazy i czytał recenzje, potępiające Lachowicza, któremu gotów był nawet wspaniałomyślnie przebaczyć wszystko, upokorzywszy go pierwej.

W ciągu paru dni, wydobyl z paki swój „Ostatni dzień skazanego”, dał mu świetne ramy złoczone i odwiózł na wystawę, z gorączkowym niepokojem oczekując skutków. Na tym polu jednak spotkał go straszny zawód. Przed obrazem jego nie zatrzymywały się tłumy, a krytyka przyjęła go bardzo chłodno. Mówiono, że pan Sielski ma wprawę, lecz że nie odznacza się pomysłowością. Ktoś przypomniał sobie, że jeszcze przed kilkoma laty radził panu S., ażeby porzucił pędzel i wziął się do innego fachu. Na dobitkę któryś z krytyków porównał pracę Sielskiego z odpowiednim obrazem Lachowicza i przepowiedział, że pan S. może zrobić z czasem wielkie postępy.

Znajomi wreszcie, którzy niedawno tak natarczywie zapytywali Jerzego: dlaczego zarzucił malarstwo — dziś milczeli, albo prawili mu strasznie wypłowiałe komplementy.

Słowem, rozczarowanie było zupełne, i Sielski zrozumiał, że gust publiczności w ciągu kilkunastu miesięcy uległ ogromnej zmianie. Lecz kto temu winien?

— Naturalnie, że Lachowicz! — odpowiadał z nienawiścią Jerzy. — On zmusił mnie do bezczynności, on spaczył mój talent...

W rzeczywistości jednak przyczyna zawodu Jerzego była inna, ta mianowicie, że obraz jego malał wobec dzieł Lachowicza, którego drzemiący dotąd geniusz, pod wpływem powodzenia i rozgłosu, zbudził się i wzbił ponad współczesnych.

Uznanie własnej bezsilności w tej walce jeszcze bardziej rozjątrzyło Jerzego. Słuchając wyłącznie podszeptów nienawiści, w przeciwniku swoim widział samo zło, w sobie tylko dobro. On był szlachetny, on był skrzywdzony, Lachowicz zaś podły i krzywdziciel.

Nie mogąc ani na chwilę przypuścić, że przeciwnik mógł być człowiekiem genialnym, wierzył raczej w to, że sam cofnął się w sztuce. Ta nieszczęsna umowa złamała mu skrzydła, zabiła w nim ducha!...

Niekiedy sumienie przypominało mu, że sam przecie narzucił Lachowiczowi cyrograf, że się sam związał. Ale on odpychał te myśli. Natomiast bardzo chętnie zastanawiał się: jakimi też, naturalnie niegodziwymi, środkami, potrafił Lachowicz otumanić krytykę i publiczność?

Jerzy szybko zapadał w chorobę moralną. Gdyby mu wówczas podsunęto dwa przypuszczenia: jedno, że Lachowicz jest człowiekiem ogromnego talentu, drugie — że za sprawą diabła dorobił się rozgłosu, Sielski przychyliłby się do drugiego. Całe dni przepędzał na marzeniach o zemście, i pewnym jest, że gotów był nie cofnąć się przed żadnym środkiem, który by mu posłużył do znękania przeciwnika.

W czasie tej strasznej walki podrażnionej miłości własnej z urojeniami, Sielski postarzał się i wynędzniał. Ukazywał się między ludźmi rzadko, niemniej jednak dostrzeżono w nim zmiany fizyczne i moralne i poczęto szeptać. Jedni twierdzili, że Jerzy chory jest na suchoty, drudzy — że się martwi ucieczką Leontyny, inni wreszcie (a ci najbliżsi byli prawdy) — posądzali go wprost o zazdrość.

Lachowicz po trochu wiedział o wszystkim, lecz nie zwracał na to uwagi. Ucieczka Leontyny nie dziwiła go, pojawienie się obrazu Sielskiego nie rozgniewało. Zbyt wiele miał własnych kłopotów. Trapiła go naprzód miłość dla kobiety, która była w tak bliskich stosunkach z jego wrogiem; trapił go wreszcie, w sposób nierównie dokuczliwszy, chory starzec, który coraz więcej pił, coraz szybciej zbliżał się do zupełnego obłąkania i coraz więcej, mimo najtroskliwszej opieki, wymykał się do miasta, skąd niekiedy policja go sprowadzała.

Zdesperowany Ludwik począł na serio rozmyślać o wysłaniu starca zagranicę do zakładu dla obłąkanych. Gdyby był sam, skandale chorego, a nawet nieporozumienia z sądem mniej by go obchodziły; ale miał dorastającą siostrę, na której niewinną głowę świadome czy bezświadome wybryki starca spadłyby całym ciężarem!

Z drugiej jednak strony, czy godziło się oddawać do szpitala wariatów człowieka, który jeszcze wariatem nie był? Sprawa podobna łatwo mogła się rozgłosić, a wówczas powiedziano by, że wstydząc się ubogiego ojca, który niegdyś siedział w więzieniu, wyrodny syn chce go żywcem zagrzebać w szpitalnej celi.

Lachowicz wahał się, drżał na myśl o katastrofie, lecz zapobiec jej nie mógł. Niekiedy pragnął, aby to, co się ma stać, stało się prędzej, trudno było jednak przyspieszyć naturalny bieg wypadków.

Nareszcie katastrofa, którą niejasno przeczuwał i której się obawiał — nadeszła. Piorun padł z tej strony, która była najmniej prawdopodobną lecz i najniebezpieczniejszą zarazem.

Jakoś w kilka tygodni po loterii fantowej, pewnego dnia nad wieczorem, odebrał Lachowicz przez posłańca następującą kartkę:

Pilne!

P. Ludwik Lachowicz raczy przyjść do mieszkania niżej podpisanego w interesie własnym, niecierpiącym zwłoki.

J. Sielski.

Adres mieszkania znajdował się u dołu kartki; cały list pisany był ręką drżącą — widocznie pod wpływem silnego wzruszenia.

Lachowicz zmieszał się. Nie obchodził go brutalny ton pisma, lecz sam fakt jego istnienia. Co znaczy ten interes własny, niecierpiący zwłoki, który zmusił Jerzego do odnowienia z nim stosunków?...

W tej chwili przyszła Lachowiczowi na myśl Jadwiga. Może ona pragnie go zobaczyć?... Ale w jakim celu?... Naturalnie w tym, aby mu rzucić w oczy list, który jej podłożył.

W następnej chwili miejsce Jadwigi zajęło wspomnienie obrazu, na którym ośmielił się zrobić jej portret, a który teraz znajdował się w rękach Sielskiego...

Z kolei coraz to dziwniejsze przypuszczenia snuły mu się po głowie; żadne wprawdzie nie utrzymało się, lecz wszystkie dręczyły go i napełniały obawą. W końcu pomyślał, że najlepiej zrobi, gdy nie pójdzie do Jerzego, lecz wyśle mu kartkę w podobny sposób zredagowaną; lecz znowu po chwili projekt ten oburzył go:

— Alboż jestem zbrodniarzem, a Sielski moim sędzią, żebym się bał stanąć przed nim? — pomyślał.

Ostatnia ta uwaga obudziła w nim energię. Czuł, że w stosunkach ze swym przeciwnikiem, prócz listu napisanego do Jadwigi, nie ma sobie nic więcej do wyrzucenia. Sielski mógł się obrazić, któż mu jednak broni wyzwać go na pojedynek?...

Prawie w tym samym czasie literat Roman odebrał bardzo grzeczny list, w którym Sielski obiecywał mu dać świetny materiał do powieści, jeżeli natychmiast do jego domu przyjść zechce. Powieściopisarz bez namysłu schwycił kapelusz i laskę i pocałował do mieszkania Jerzego.

Mieszkanie to znajdowało się na parterze, przy jednej z mniej uczęszczanych ulic, i składało się z saloniku, paru pokoi, tudzież przedpokoju i ciemnej komórki.

— Witam pana! — wykrzyknął zadyszany literat, wpadając do Sielskiego. — Biegłem jak chart, ażeby się ani o chwilę nie spóźnić.

Jerzy przywitał go, poczęstował papierosem i posadziwszy w dużym fotelu, rzekł:

— Czy będziesz pan mógł poświęcić mi godzinę czasu?

— Trzy godziny!... całą dobę! — upewnił go Roman.

Sielski przeszedł się po pokoju, a znakomity literat zauważył, że gospodarz jego jest ogromnie wzburzony. Okoliczność ta źle oddziaływała na humor powieściopisarza.

— Przypominasz pan sobie — mówił Sielski — naszą rozmowę o powodach mojej beczynności?

— O, pamiętam! pamiętam!...

— Obiecałem panu wówczas, że może będę mógł kiedyś dać objaśnienia...

— To bardzo ciekawe!... — wtrącił Roman, kręcąc się w fotelu.

— Przede wszystkim tedy, przyznaję panu, że jego domysły co do przyczyn mojej beczynności były poniekąd słuszne...

— A co! czy nie mówiłem?... — wykrzyknął ucieszony literat.

— Przyznaję, że do intrygi, której padłem ofiarą, należała dama w błękitnej masce, Lachowicz i... pewien starzec, jak obecnie.

— Dramat! — szepnął pan Roman, poprawiając się na fotelu, który w tej chwili był dziwnie twardy i niewygodny.

— Przyznaję wreszcie, że w dniu ostatniej maskarady zeszłego roku, dama w błękitnej masce była u mnie, o czym zresztą dziś już wie całe miasto.

— Panie! — krzyknął literat — przysięgam na honor, że ja o pani Leontynie nikomu nie powiedziałem... Co więcej, dopiero od paru tygodni wiem od jej męża, że ona i błękitna maska były jedną osobą!... Ja jestem bardzo dyskretny, panie Jerzy!

— Wierzę panu, wierzę! — odparł Sielski z uśmiechem. — Dodam jednak, że to, co pan dziś usłyszysz i zobaczysz, możesz całemu światu ogłosić... Będę panu nawet wdzięczny...

— I zobaczę? — spytał przerażony literat. — Panie Sielski! uwolnij mnie pan od tej nieprzyjemności... Nie lubię dramatów!

— No, nie obawiaj się pan, niema czego! — uspokajał go Sielski.

Ton ten ubódł literata.

— Ja się nie obawiam, panie Sielski — rzekł z powagą — tylko... nie lubię awantur!

— Dla takiego materiału — przerwał Jerzy — warto być świadkiem awantury. To, co pan zobaczysz, możesz opisać w powieści, w komedii, a nawet w wiadomościach bieżących... Wyświadczysz mi pan nawet przysługę, zrobiwszy z tego dziennikarski użytek.

Roman pierwszy raz w życiu zakipiał.

— Zostaję, panie! — wykrzyknął — ażeby pana przekonać, że się awantur nie lękam. Ale, panie... jeżeli panu o rozgłos chodzi, to racz się udać do kogo innego, bo ja, panie, daję słowo honoru, panie, nic nikomu o tym co zobaczę, nie wspomnę!... Ja, panie, nie jestem plotkarzem, tylko... literatem, i umiem, panie, cenić swoje stanowisko!

I powiedziawszy to, Roman z wielkim impetem rzucił się na fotel. Potem podniósł oczy na sufit i począł gwizdać przez zęby.

W tej chwili wszedł Lachowicz.

Obaj przeciwnicy, stanąwszy na środku pokoju, zmierzli się wzrokiem — bladzi, milczący... Wreszcie Sielski zmienionym głosem rzekł:

— Proszę siąść!

Po takim przywitaniu na twarz Lachowicza wystąpiły czerwone plamy. Nie rzekł jednak ani słówka i usiadł.

Jerzy tymczasem wyszedł do drugiego pokoju, zabawił tam parę minut, wypił szklanekę wody i wrócił z jakimś papierem w ręku, który podał literatowi, mówiąc:

— Racz pan odczytać.

Pan Roman był zielonawy; ponieważ jednak należał do ludzi, którzy wlaźszy w awanturę, umieją utrzymać się na wysokości stanowiska, rzekł zatem:

— Domyślam się, że papier ten obchodzić musi pana Lachowicza, i uważam za właściwe spytać: czy pan Lachowicz zgadza się na to, ażebym ja przeczytał?

— Bardzo proszę! — odparł zagadnięty.

Roman czytał:

„Ażeby nie robić niebezpiecznej konkurencji malarzowi Ludwikowi Lachowiczowi, obowiązuję się nikomu nie okazywać znakomitego obrazu p.t. „Ostatni dzień skazanego”. W zamian za to tenże Lachowicz obowiązuję się nie zdradzić przed nikim wiadomej mu tajemnicy, dotyczącej honoru kobiety”.

Następowały nazwiska i data.

— Czy to jest własnoręczne pismo pańskie? — zapytał pan Roman Ludwika.

— Tak! — odparł Lachowicz.

Literat złożył papier, nie wiedząc, co mu w tej chwili robić wypada: śmiać się, czy płakać?

— Teraz rozumiesz pan, panie Romanie, dlaczego przez półtora roku nie malowałem? — spytał Sielski.

— Niebardzo...

— Domyślasz się pan powodów mego chorobliwego usposobienia, moich dziwactw, mego... mego upadku!... — wyjąkał.

— Sądziłbym, że akt podobny należałoby ze stanowiska humorystycznego... — wtrącił nieśmiało Roman.

Wzrok Sielskiego był prawie obłąkany, twarz mu pałała; cały drżał jak w febrze.

— A teraz powiedz pan — ciągnął dalej — czy taki, jak ja niewolnik, ma prawo do zemsty, skoro pęknięte więzy go krępują?...

Roman popatrzył na niego zdziwiony, lecz nie odpowiedział nic.

— Ach, milczysz pan!... — wykrzyknął Sielski — chciałbyś mi może prawić o szlachetnym przebaczeniu uraz, o wspaniałomyślności?... Nic z tego!... Przez półtora roku, które dla niego było pasmem triumfów, a dla mnie zgrzyot, żyłem tylko nadzieją zemsty! Dziś mam ją w rękach i nie opuszczę sposobności...

O uspokojeniu upojonego nienawiścią szaleńca myśleć nawet nie było można. Roman czuł to.

— A teraz ty mnie posłuchaj, panie Lachowicz! — rzekł znowu Jerzy. — Mieszkam, jak widzisz, na dole... Wychodzę niekiedy na spacer i okna nie zamykam... Zły to zwyczaj, tym razem jednak błogosławię go...

Przerwał zadyszany, kilka razy odetchnął głęboko i mówił dalej:

— Dziś, kiedy powróciłem do domu, zastałem w drugim pokoju jakiegoś pocziwego pijaka, który mi, za pomocą mego własnego noża, biurko wyłamywał...

— Mój ojciec!... — krzyknął Lachowicz, zrywając się na równe nogi.

Roman skamieniał.

— Tak!... twój ojciec!... — ciągnął niemiłosierny triumfator. — Twój ojciec!... sam mi to powiedział...

— Gdzie on jest?...

— Śpi obecnie w komórce, z której nie ma wyjścia, i czeka na lokal w więzieniu! Najwyżej za pół godziny przyjdzie policja...

Lachowicz padł na krzesło, a Roman szepnął:

— Panie Jerzy!... żart za daleko posunięty... Nie godzi się...

— Nie godzi się aresztować złodzieja? — zawołał Sielski, wybuchając śmiechem. — A godziło się brać w niewolę duszę ludzką?... Godziło się zgangrenować ją tak, żeby jedyną dla niej rozrywką była myśl o zemście?... Godziło się upodlić człowieka?...

Lachowicz ochłonął i odezwał się już prawie spokojnym głosem:

— Słuchaj, Jerzy!... Zrobisz, jak zechcesz, ale pierwszej zastanów się nad tym, co ci powiem. Z góry ostrzegam, że nie myślę cię prosić o litość; pragnę tylko objaśnić kilka faktów...

— Słucham! słucham!... Mamy czas... — odparł szyderczo Sielski.

— Człowiek ten, mój ojciec — mówił Lachowicz — był raz w więzieniu, potem żebrał, wreszcie rozpił się i dziś jest prawie obłąkany. W życiu moim odegrał on smutną rolę, ponieważ co dzień gotów był zrobić to, co dziś zrobił. Kiedyś był ubogi, on pochłaniał cały mój zarobek, on był przyczyną, że musiał znosić od ludzi tysiące upokorzeń, między którymi do najmniejszych należały długi, zaciągane u ciebie...

Robiłem, co mogłem, aby jego od więzienia, a nazwisko od powtórnej hańby uwolnić. Czy jednak myślisz, że dbałem tylko o siebie?.. Nie! Mam młodą siostrę, którą sam prawie wychowałem, a która nie winna temu, że jej ojciec jest szaleńcem!... O nią mi chodziło, dla niej cierpiałem i przez pamięć o jej przyszłości przebaczałem nawet tym, którzy, jak ty... policzkowali mnie moralnie!...

Pokazałeś panu Romanowi tę zabawną umowę, między nami zawartą, którą pisałem własnoręcznie. Ale czyś powiedział mu o tym, żeś mnie zmusił do napisania jej?... Mówisz, że przez półtora roku trzymał w niewoli duszę twoją, żeś w tobie talent zabił? A czy moja dusza nie jest od kilku lat w niewoli i czy ty sam nie jesteś jednym z ogniw tych kajdan, które ją opasały?

Ale mniejsza o to! Mój ojciec okradł cię, oskarż go więc... Ja się z pewnością mścić nie będę, ponieważ muszę siostrę uratować od hańby...

Niezamknięte drzwi przedpokoju otworzyły się. W sieni słychać było stapania kilku ludzi i brzęk pałasza; na progu sali ukazał się jakiś mężczyzna w cywilnym ubraniu.

Roman wpił ręce w fotel, a Lachowicz blady, lecz spokojny, wystąpił na środek pokoju i chciał coś powiedzieć. W tej chwili jednak Sielski usunął go na bok i rzekł do przybyłego:

— Przebacz pan, żeś go niepotrzebnie fatygował. Przez roztargnienie zostawiłem w kąpielni zegarek i posadziłem mego służącego. Ale zegarek się znalazł...

— A my jesteśmy już niepotrzebni! — dokończył nieznajomy z dwuznacznym uśmiechem. — Na drugi raz jednak polecam się pamięci pańskiej...

Nieznajomy wyszedł. Stapania i brzęk pałasza rozległy się znowu i stopniowo ucichły na ulicy...

— Panowie! — odezwał się po chwili głęboko wzruszony Roman — myślę, że obaj jesteście uczciwymi ludźmi i że powinniście sobie podać ręce!

Ale przeciwnicy nie odpowiedzieli nic na to wezwanie. Sielski, milcząc, wziął świecę, wyjął z kieszeni klucz, i wszyscy trzej poszli do komórki.

Teraz dopiero w panu Romanie człowiek począł ustępować miejsca literatowi, i znakomity powieściopisarz zadał sobie pytanie w duchu: czy nie nadszedł już czas do wydobycia notatnika i zapisania w nim kilku spostrzeżeń?...

Tymczasem Sielski otworzył drzwi komórki i podniósł świecę do góry. Blask jej padł na starca, który w najodleglejszym kącie siedział na podłodze skurczony tak, że głową dotykał prawie kolan.

Literackie instynkty Romana znowu pierzchły. Gdy starzec podniósł głowę, Roman poznał w nim owego żebraka, któremu przed półtora rokiem dał na wódkę i którego Lachowicz prawie gwałtem porwał z ulicy. Literat uczuł w sercu wielką litość na widok tej tak nędznej i strasznie zmienionej postaci ludzkiej.

Istotnie, ojciec Lachowicza był tylko cieniem samego siebie. Sina prawie twarz jego zapadła się, włosy przeredziły się jeszcze bardziej, oczy były jakieś smętne i obłąkane...

Przez kilka chwil w komórcie panowało grobowe milczenie. Młody Lachowicz był zgnębiony, a Sielski począł doświadczać wyrzutów sumienia. Zaprawdę! nie godziło się do zemsty używać podobnego narzędzia...

Ochłonawszy nieco, Ludwik zbliżył się do ojca i rzekł:

— Chodźmy!...

Starzec chciał się podnieść, lecz znowu upadł na ziemię. Gdy syn pomógł mu wstać, przeszedł zwolna komórkę, trzęsąc się i nie patrząc na nikogo. Ludwik podał mu rękę, i tak wyszli obaj na ulicę.

Sielski zamknął komórkę, zgasił świecę i zamyślony przeszedł się parę razy po pokoju. Widocznie toczył ze sobą jakąś walkę...

Po chwili wybiegł z mieszkania bez czapki i dopędziwszy obu Lachowiczów, szepnął do Ludwika:

— Przebaczysz mi kiedy?...

Przeciwnicy uścisnęli się pierwszy raz w życiu serdecznie. Gdy Sielski wrócił do mieszkania, zastał literata nad notatnikiem.

— Panie! — zawołał Roman. — Ależ ten stary jest skończonym wariatem i gotów jutra nie doczekać...

— Tak... on jest bardzo wynędzniały — odparł Sielski.

W kilka tygodni potem ojciec Lachowicza zmarł, a w parę dni później Ludwik rzekł do siostry:

— Zosiu! ojciec już nie żyje...

Zosia rozplakała się i upadła bratu na szyję, mówiąc:

— Tyś moim ojcem i matką!...

Oboje byli na pogrzebie, po którym Ludwik opowiedział siostrze historię ostatnich lat, nie wspominając jednak o stosunkach z Sielskim i katastrofie, która poprzedziła śmierć starca. Nie chciał on kłaść opisem występków dziewiczej duszy, ani obciążać hańbą pamięci ojca w oczach córki.

Dla uzupełnienia obrazu, jako ciekawą ilustrację charakteru narwanego, lecz uczciwego literata, przytoczymy list napisany przez niego do Lachowicza:

Szanowny Panie!

Uważam za właściwe donieść Panu, że przy wiadomej Mu rozmowie w mieszkaniu S. nie byłem, nic nie słyszałem i nic nie pamiętam. Sądzę zatem, że zarówno mnie jak i Jerzemu zrobisz pan prawdziwą przysługę, wygładzając (o ile to jest możliwe) z pamięci swej smutne fakty, po których najmniejszy ślad nawet zostać by nie powinien.

Szczerzy przyjaciel
Roman.

ROZDZIAŁ XV

GORZKIE OWOCE

W usposobieniu Jadwigi zaszła wielka zmiana. Usłyszawszy z ust Sielskiego, że ten, którego potajemnie kochała, jest nikczemnikiem, wpadła w chorobę, zwaną rozczarowaniem, szczególnie niebezpieczną w jej wieku.

Nie można powiedzieć, aby nie słyszała nic o ludziach złych i występnych; dotychczas jednak występki miały dla niej wartość abstrakcyjną. Znała go ze sceny albo z książek, nie zaś z osobistego doświadczenia; brzydziła się złem, ponieważ przyzwyczajono ją do tego od dziecka, lecz na tym kończyło się wszystko.

Teraz dopiero, uwierzywszy słowom Sielskiego, uczuła się skrzywdzoną i w całym znaczeniu pojęła praktyczną wartość złego. Ten, którego kochała, był niegodnym, oszukał ją, zranił jej serce... A zdawał się być tak nieszczęśliwym i szlachetnym!

Jedna zmiana wywołała tysiące innych. Złe najdrobniejsze olbrzymiało w jej oczach, rodzaj ludzki zniżył się. Poczęła wszędzie podejrzewać fałsz i przewrotność; poczęła nienawidzić to, co zasługiwało na wzgardę, wyśmiewać to, co mogło być godnym szacunku, wątpić wreszcie o wszystkim, o wszystkich, z wyjątkiem chyba osób najbliższych.

Stan ten nie mógł trwać długo, niemniej jednak w skutkach okazał się fatalnym: przyspieszył bowiem małżeństwo, które dotychczas, pod wpływem zdrowszych poglądów na życie, do nieokreślonego terminu odsuwała.

— Na co czekam? — myślała Jadwiga. — Witold niewątpliwie ma swoje złe strony, lecz ma i dobre, nade wszystko zaś... nikt nie zarzuci mu niktzemności. Idealnym mężem nie będzie, ale gdzie dziś szukać ideałów!... Lubi się bawić, nie będzie mi żałował pieniędzy na stroje i wyjazdy, ja zaś będę panią w domu... Bierzmy od życia to, co jest możliwe, gdyż inaczej możemy je zmarnować...

Myśląc tak, płakała.

W połowie września braterstwo Janowie i narzeczony pan Witold przybyli do Warszawy. Ślub odbył się po cichu, po czym państwo młodzi wyjechali na wieś. Od tej chwili dla Jadwigi było już wszystko skończone.

Tymczasem Lachowicz, w kilka dni po pogrzebie ojca, wyjechał z Zosią za granicę — skąd powrócili dopiero po upływie półtora roku, w zimie.

Ludwik myślał o Jadwidze często, lecz bez żadnej nadziei. Wprawdzie niechęć między nim i Sielskim już niby nie istniała, stosunki przecież nie poprawiły się, zmiany bowiem podobne wymagają dłuższego czasu. Wprawdzie główny ciężar życia jego leżał już w grobie, nie mniej jednak pozostały fatalne wspomnienia. Przypuściwszy nawet, że Sielski nie czuł już do niego antypatii, że chciał dotychczasową niesprawiedliwość wynagrodzić — lecz czy mimo to Jadwiga wyszłaby za niego?... Miałże się Lachowicz oświadczyć, miałże mu powiedzieć: Poprzyj moją sprawę u twojej kuzynki! Lecz czy wówczas między nimi dwoma nie stanąłby cień człowieka, który okradł Sielskiego?...

Wszystkie te okoliczności zbyt żywo stały w umyśle Lachowicza, aby nie miał odpychać marzeń o związku z Jadwigą. Czas zapewne zatarłby jedno, zmniejszył drugie i w końcu może by skojarzył małżeństwo; na nieszczęście jednak, czas ten był za krótki, a fakty szybko biegły.

W epoce, kiedy Lachowicz powrócił z siostrą do Warszawy, przyjechał tam pan Witold z żoną. Czy Jadwigę ciągnęły zabawy, czy wspomnienia?... Trudno zgadnąć. W każdym jednak razie państwo Witoldowie otworzyli dom na wielką stopę i przyjmowali liczne i wesołe towarzystwo.

Dla Jadwigi nastał teraz czas nowej przemiany. Przed rokiem, z wysokości uczuć i poglądów idealnych, spadła w przepaść pesymizmu, obecnie poczęła się wznosić do poziomu, na którym stoją ludzie zwykli. Do męża swego nie miała ani wstrętu, ani osobliwej sympatii — on także niewiele się nią zajmował. Z niedawnych rojeń i smutków śmiała się dziś; natomiast jednak poczęła gustować w licznych i ożywionych zebraniach i przepadała za tańcami.

Jerzy spostrzegł to, dziwił się i niejednokrotnie wspominał, że ta namiętna mania tańczenia może mieć złe następstwa. Na wszystkie przecież jego uwagi odpowiadała mu stale:

— Cóż chcesz?... taniec jest jedyną moją rozrywką, upaja mnie!

— Ale może ci zaszkodzić.

— Ach! zaszkodzić... W takim razie, umierając, powiem sobie, że przetańczyła życie. A i to coś warte!

— Przetńczyć życie?... smutna rzecz! — zauważył Sielski.

— Wolałbyś więc, ażebym je przeplakała?...

Jerzy po trochu odgadywał, że stosunki kuzynki z jej mężem nie należą do najrozkoszniejszych. Ostatni więc argument zamknął mu usta.

Po powrocie Lachowicza, Sielski spotkał się z nim na ulicy. Kilkunastomiesięczny rozdział i namysł uspokoiły ich; zawiązała się dość serdeczna rozmowa, w końcu której Sielski rzekł:

— Chciałbym ci złożyć wizytę...

— Czekam jej niecierpliwie! — zawołał Ludwik. — Właśnie teraz mieszkam razem z siostrą, będzie ci więc miał kto robić honory...

Rozeszli się bardzo zadowoleni. Sielskiego cieszyło, że dawny przeciwnik nie czuje do niego żalu, Lachowiczowi zaś przyszło na myśl, że na tej drodze zbliży się może do Jadwigi, a może!...

W parę dni potem Jerzy dotrzymał obietnicy i odwiedził Ludwika.

— Przepysznie mieszkaasz! — zawołał gość. — No, i mówić tu, że u nasz sztuka nie popłaca!...

— Przed dwoma laty miałem takie same dochody, a jednak mieszkalem gorzej — odparł Ludwik. — Cały sekret leży w tym, że obecnie nie artysta, ale kobieta gospodaruje u mnie.

Jerzy chciał coś odpowiedzieć, lecz nagle o wszystkim zapomniał. We drzwiach salonu ukazała się Zosia, owa brunetka, którą widział w teatrze i na fantowej loterii.

— Pan Sielski... Moja siostra Zofia... — zarekomendował Lachowicz.

Sielski złożył głęboki ukłon, lecz nie mógł się zdobyć nawet na najbardziej oklepany frazes. Zosia go jednak wyręczyła:

— Bardzo mi przyjemnie poznać osobiście pana, którego pośrednio znam już z opowiadań brata. Ludwik często wspominał o panu, jako o swoim kasjerze w ciężkich czasach...

Mówiła to głosem tak naturalnym i serdecznym, że Sielski zmieszał się jeszcze bardziej. Jak to, więc w epoce, kiedy on nienawidził i lżył Lachowicza, Lachowicz pamiętał tylko o jego usługach?...

Powoli jednak oprzytomniał, choć sumienie gorzkie robiło mu wyrzuty.

— My zresztą do pewnego stopnia jesteśmy już znajomymi — mówiła Zosia. — Spotkałam pana raz na loterii fantowej... Ale pan pewnie tego nie pamięta?

— Owszem, pani! pamiętam bardzo dobrze... — odparł Jerzy, czując dziwne ciepło w okolicy serca.

— Spotkaliśmy się przy ciągnięciu losów — objaśniała Zosia Ludwikowi. — Pan Sielski chciał, ażebym losowała przed nim, ja zaś wolałam drugie miejsce. No!... i przegraliśmy oboje... — dokończyła ze śmiechem.

Ludwik zamyślony słuchał jej jednym uchem. Za to Sielski stanowił bardzo uważne i zachwycone audytorium.

Rozmowa, zaczynająca się od wspólnych wspomnień, ożywia się łatwo. To też Zosia i Jerzy po upływie kilkunastu minut byli już dobrymi znajomymi, tak dobrymi, że Sielski postanowił wy badać nieco młodą osobę.

— Jakże pani czas przepędza w Warszawie po powrocie z zagranicy? — spytał.

— Wybornie!... Mam dużo zajęcia około naszego gospodarstwa. Ludwik dostarcza mi mnóstwa książek, a przy tym uczy mnie rysować.

— Wątpię jednak, ażeby prace te zastąpiły towarzystwo... — wtrącił Sielski.

— O, i towarzystwo mamy liczne! Bywają u nas różni panowie, młodzi i starzy, i parę dam...

Jerzy, usłyszawszy o młodych panach, uczuł się mniej zadowolonym.

— W takim razie — rzekł — obawiam się, że nowe znajomości mogą być mniej przyjemne?

— Ja zaś sądzę, że niekiedy mogą być przyjemniejsze od dawnych...

Powiedziawszy to, Zosia urwała nagle i pokraśniała nieco. Sielski bystro spojrział jej w oczy.

Ale Zosia odzyskała już zimną krew i odparła z wyrazem niezrównanej naiwności:

— Naturalnie! Pan wie, że nowość zawsze bawi.

Tym razem jednak zarumieniła się jeszcze bardziej, czując, że zbyt gorliwie naprawia swą nieostrożność.

Tym sposobem godzina zeszła im jak chwilka. Wypadało wyjść. Sielski wstał z krzesła i pożegnał młodych gospodarzy, którzy go z nieudaną szczerością prosili o częstsze wizyty.

— Bardzo dobrze — odparł Jerzy — ale w takim razie będę państwa prosił o wzajemność. Nie posiadam wprawdzie rodziny, lecz mam kuzynkę, którą Ludwik zna tak, jak ja panią do dzisiejszego dnia znałem. Zrobił nawet jej portret z pierwszego rzutu oka...

— Czy podobna? — zawołała Zosia. — A nic mi o tym nie mówiłeś?...

— Stało się to zupełnie przypadkowo! — wyjaśnił Ludwik niepewnym głosem.

— Pragnę więc — mówił dalej Sielski — ażeby przypadek ten posłużył nam do zawarcia bliższych stosunków. Kuzynka moja wprawdzie mieszka stale na wsi, obecnie jednak bawi z mężem w Warszawie i każdą zimę ma zamiar tu przepędzać.

Ludwikowi, gdy to usłyszał, czarne i żółte płatki przebiegły przed oczyma.

Sielski zaś mówił dalej:

— A więc spodziewajcie się państwo wkrótce nowych gości. Tymczasem sam ich będę zastępował jak najczęściej.

Gdy Sielski pożegnał ich i wyszedł, Zosia, klaszcząc w ręce, zawołała:

— Ach! jak to dobrze!... Dopiero będziemy mieli przyjemne towarzystwo!...

— Podobał ci się Sielski? — spytał Ludwik, patrząc w ziemię.

— Wiesz co, że mi się podobał!... Naprzód, jest bardzo miły i nawet... przystojny. Po wtóre — jest ukształcony i rozsądny... Dalej — jest malarzem, tak jak i ty, co go bardzo podnosi w moich oczach — no — a wreszcie... Jest on jakiś inny niż ci wszyscy młodzi ludzie, których widziałam dotychczas...

— Jakiś inny!... — szepnął Ludwik.

— Cóż to znaczy?... Czy się źle wyraziłam?... — spytała zapłoniona Zosia.

— Nie mówię, że źle... Sądzę tylko, że ci się bardzo musiał podobać?

Zosia nie odpowiedziała nic, lecz pobiegła szybko do okna oglądać kwiaty.

Brat jej nie uważał na to; doświadczał on w tej chwili uczuć skazańca, który, zasnawszy z niejakimi wątpliwościami co do swego przyszłego losu — ocknął się nagle na szafocie!

Jerzy był zachwycony. Podziwiał szlachetność Lachowicza i piękność jego siostry, a nade wszystko dziękował Bogu za natchnienie go uczuciem wspaniałomyślności w chwili, kiedy los tych dwojga ludzi znajdował się w jego ręku.

— Co bym zrobił — szepnął z trwogą Sielski — gdybym Zosię, zamiast w salonie jej brata, spotkał w izbie sądowej, obok oskarżonego przeze mnie ojca?...

Pod wpływem wspomnień o miłej brunetce, Jerzy czuł w sercu coraz większą litość nad obłąkanym, a dziś już nieżyjącym starcem, i wyrzucał sobie niesprawiedliwe postępowanie z Lachowiczem. Przysięgał również, że zrobi wszystko, aby wynagrodzić krzywdy, wyrządzone Ludwikowi, i pozyskać jego przyjaźń.

W taki to sposób zmieniają się ludzkie uczucia!

Tego samego dnia poszedł Jerzy do Jadwigi. Zastał ją, wybierającą się znowu na bal.

— Jak to! — zawołał — więc i dziś będziesz tańczyć?

— Powiedziałam ci już, że chcę przetańczyć życie! Wy, mężczyźni, macie wino, karty i zakazane miłości, my tylko taniec...

— Argument niezły — przerwał Sielski — mnie jednak w tej chwili bardzo nie przypada do gustu.

— Czy miałaś zamiar namawiać mnie, abym prowadziła życie klasztorne?

— Wcale nie. Chciałem tylko namówić cię do zawiązania stosunków z dwiema osobami, z którymi, o ile sędzę, nie będziesz miała sposobności zetknąć się w dzisiejszych towarzystwach.

— Któż to taki? — spytała Jadwiga, patrząc w lustro.

— Zdziwisz się, gdy ci powiem — odparł zmieszany nieco Jerzy.

— No — przecież?...

— Lachowicz z siostrą...

Jerzy nie śmiał podnieść oczu na Jadwigę, nie zauważył więc, że zbladła.

— Który to Lachowicz?... — odezwała się wreszcie Jadwiga.

— Ten, który wymalował twój portret...

— Jak to, on?... Wszakże tak niedawno jeszcze nazwałś go nikczemnikiem?... Dobrze pamiętam ten wyraz!

Sielski był zgnębiony.

— Droga kuzynko — rzekł — wyznaję, że się omylił. Dziwny zbieg okoliczności rzucił bardzo niekorzystne światło na jego charakter... Ale teraz poznałem go lepiej...

Jadwiga, siedząc nieco bokiem do Jerzego, pochyliła głowę i skubała palcami chustkę.

— Czy ta jego siostra jest ładna?...

— O, prześliczna! — zawołał Sielski. — Wesoła, rozmowna, dowcipna... Będziesz mi wdzięczna za tę znajomość.

— Nie będę...

— Dlaczego?

— Ponieważ jej nie zrobię.

— Cóż znowu?...

— Mówisz, że omyliłeś się raz, nazywając pana Lachowicza nikczemnikiem, któż mi więc zaręczy, że się nie mylisz teraz?

— Ależ, Jadziu, przekonasz się.

— Dziękuję za tego rodzaju próby!

Jerzy zirytował się.

— Kochana kuzynko! — zawołał. — Skrzywdziłem mimo woli człowieka w twojej opinii i dziś chcę to wynagrodzić. Widzę jednak, że upór kobiecy jest wyższym nad dobre postanowienia.

— Traktujesz mnie jak pensjonarkę — upomniała go Jadwiga — a zapominasz, że już jestem mężatką... — dodała z gorzkim uśmiechem.

— O, wiem o tym, że jesteś mężatką!... Dajesz mi to co dzień do poznania. Zmieniłaś się bardzo, tak pod względem gustów, jak i uczuć...

— Cha! cha!... — śmiała się Jadwiga.

— Doprawdy, Jadziu, boli mnie to — mówił rozdrażniony Sielski. — Prawie nie poznaję cię... Szydzisz z rzeczy poważnych i w ogóle lżej niż dawniej zapatrujesz się na życie...

Jadwiga wstała z twarzą pałającą.

— Ty mi to mówisz?... — rzekła stłumionym głosem. — Ty mi zarzucasz lekki pogląd na życie?... Zapytaj więc twego sumienia, kto z nas lekkomyślniejszy: czy ty, który przez omyłkę nazywasz człowieka nikczemnikiem, a po roku odwołujesz, czy ja... która... lękam się stosunków z tym... Lachowiczem i jego siostrą!

I powiedziawszy to, wybuchła płaczem.

— Jadziu!... co tobie? — wykrzyknął Sielski, chwytając ją za rękę. A potem jakby go nowa myśl oświeciła, spytał drżącym głosem: — Tyś dawniej znała Lachowicza?

Jadwiga w okamgnieniu zapanowała nad sobą.

— Znałam trzy prawidła — rzekła — które we mnie wpojono od dzieciństwa. Pierwsze, że nie należy potępiać bliźnich bez dowodów; drugie, że trzeba unikać ludzi mających złą sławę; a trzecie... Trzecie, że niedobrze jest klócić się z kobietami!... — dodała z uśmiechem.

Potem, podawszy mu rękę, wyszła do swego pokoju. Sielski był kompletnie odurzony i jakby odpowiadając na jakieś przypuszczenie, rzekł do siebie:

— To niepodobna!... sam muszę być tajemnie zakochany, skoro wszystkich o skrytą miłość posądzam!

Obawy jego do reszty rozproszył pan Witold, który wszedł w tej chwili.

— Powiedz mi, mój drogi — spytał Jerzy — co to znaczy, że Jadzia jest teraz jakaś nieswoja?...

— Po czym poznajesz?

— Jest drażliwa, egzaltowana, łatwo się gniewa...

— Skłonna do płaczu... Czy tak?... — dopowiedział Witold, wybuchając śmiechem.

— No, tak! — potwierdził Jerzy.

— Dowiesz się o tym w lecie! — odparł wesoło szwagier.

— Aha!... — zawołał Jerzy, machnąwszy ręką, i zupełnie uspokojony wrócił do siebie.

Pan Witold tymczasem powitał żonę i miał sposobność przekonać się, że Jadzia tego wieczora była kapryśniejsza niż zwykle.

— Myślę, duszko — rzekł Witold, zaczynając rozmowę — że możesz się już ubierać.

— Nie pojedę! — odpowiedziała Jadwiga krótko.

— Jak chcesz! Ja jednak pojedę...

Gdy był już ubrany i kazał zajechać powozowi, panna służąca doniosła mu, że pani już kończy toaletę.

— A zatem jedziesz, Jadziu? — spytał mąż.

— Naturalnie!... Cóż bym tu sama robiła?

Siadła do powozu w dość spokojnym humorze, lecz, gdy konie stanęły przed bramą, rzekła nagle do męża:

— Wiesz co... Namyśliłam się i wrócę do domu!

— Nie bądźże dzieckiem! cóż ludzie o nas pomyślą?

— Stanowczo wracam! — odparła. — Słaba jestem, głowa mnie boli, czuję się rozdrażniona...

— No... wysiądź! Gdy wejdiesz na salę, wnet ozdrowiejesz.

— Jeszcze raz powiadam ci, że nie wysiądę, i proszę, ażebyś nie wspominał nawet o mnie...

Mąż, widząc, że nie przekona jej, dał za wygraną i sam poszedł na bal, rozkazując stangretowi odwieźć panią do domu. Gdy konie zawróciły, Jadzia upadła na siedzenie powozu, zanosząc się od płaczu.

Po kilku dniach jednak znowu znalazła się na balu, i odtąd rzucała się w wir zabaw z gorączkowym zapałem. Tancerze byli nią zachwyceni, lecz wielbiciele zrażeni chłodem, jaki w przyjmowaniu hołdów okazywała, mówili, że pani Jadwiga ma serce... w nogach!

ROZDZIAŁ XVI

CO WYRABIA MIŁOŚĆ Z LUDŹMI

Z krótkiego i tragicznego łańcucha stosunków, jaki istniał między Jadwigą i Lachowiczem, Sielski znał tylko dwa ogniwa. Jednym był portret Jadzi, zrobiony przez Lachowicza, drugim jej wybuch, spowodowany wiadomością, że Jerzy chciał ich zapoznać ze sobą.

Bystrego i życzliwego obserwatora fakty te mogłyby wprowadzić na drogę zbliżonych do prawdy domysłów. Sielski przecież, jakkolwiek życzliwy, bystrym obserwatorem nie był i zadowalał się bardzo prostym tłumaczeniem nie bardzo zwykłych wypadków. Nie dziwił się, że Lachowicz wymalował portret osoby, którą zobaczył na ulicy — Jerzy bowiem sam robił to niejednokrotnie. Uniesienie Jadwigi było nieco osobliwsze. Witold je przecież w wystarczający sposób objaśnił.

Do rozwikłania więc subtelnej tajemnicy, Sielski nie posiadał żadnych danych, a nade wszystko — swobodnego umysłu, który teraz w sposób niesłychanie despotyczny opanowała Zosia.

Widywał ją po kilka razy na tydzień i tonął — jak mucha w miodzie. Co dzień odkrywał w niej nowe zalety, a gdy już wszystkie poznał, począł odkrywać coraz wyższe ich stopnie.

Ponieważ stare grzechy odzywać się lubią w sumieniu, niekiedy więc przypominał sobie panią Leontynę i — wstydził się. Istotnie, co za porównanie! Tamta była kokietką, ta niewinna i naiwna jak kwiat. Tamta imponująca, ta skromna i uległa. Tamta wreszcie miała lat dwadzieścia osiem, ta osiemnaście!...

W taki to cudowny sposób zmieniło się zebracze dziecko pod wpływem starannego wychowania i miłości braterskiej. Mnóstwo podobnych skarbów w związkach tarza się wśród barłogu — nie wszystkie jednak wychodzą na jaw, nie wszystkie mają sposobność rozwinąć się...

W domu Lachowicza Sielski bywał teraz bardzo częstym gościem. Wizyty jego kłopotwały wprawdzie Ludwika, lecz nie niepokoiły. Często też odchodził do swej pracowni, która obok salonu leżała, zostawiając Zosię i Jerzego samych.

Ufał on prawości Sielskiego i taktowi Zosi, a nade wszystko nie chciał ciągłym nadzorem zaostrzać stosunku. Niejednokrotnie też powtarzał w duchu:

— Co ma być — będzie!...

Sielski przypuszczał, że Zosia ma dla niego sympatię; na nieszczęście jednak, pewności nie miał żadnej. Trudno mu było zbadać tę naiwną panienkę.

Pewnego razu, w czasie pogadanki we dwoje, rzekł:

— Mam zamiar wyjechać do Ameryki.

— Kiedy? — zapytała Zosia, robiąc wielkie oczy.

— Może w czerwcu, a może... Nie wiem jeszcze kiedy...

Zosia posmutniała.

— Ciekawy jestem — dodał Jerzy — czy też pani będzie mnie jeszcze pamiętać, gdy wrócę?

— Ach! niechże pan nie żartuje!

— Więc pani uważa to za żarty?

— Naturalnie!... Jakież by to smutny był tydzień, w ciągu którego choć raz nie widzielibyśmy pana...

— Aha! — pomyślał Jerzy — mam cię, ptaszku!...

A potem, powściągając uśmiech zadowolenia, spytał:

— Więc żałowałyby mnie pani troszeczkę?

— Rozumie się! Dopiero od czasu, jak pan u nas bywa, mam z kim rozmawiać o tym... com widziała zagranicą.

Triumfujący uśmiech zamarł na ustach Jerzego.

— Więc pani tylko dlatego zabrania mi jechać do Ameryki?

— Ależ ja nie zabraniam! — odparła Zosia — żał mi tylko przyjemnego pańskiego towarzystwa... Zresztą może i lepiej, że pan w tym roku pojedzie do Ameryki, ponieważ Ludwiś ma zamiar zrobić to samo za lat parę. Dopiero będziemy mieli o czym mówić po powrocie!

— Śpi dusza, jak w puchu!... — pomyślał Jerzy, mocno niezadowolony z rezultatu swoich badań.

Zosię znowu badania te gniewały.

— Co on sobie myśli? — pytała w duchu. — Co znaczy ten jego jakiś wyjazd do Ameryki? Czy sądzi może, że będę płakać po nim?... O, i zaraz!

Ścisłe rzeczy biorąc, kto wie, czyby nie płakała? Nie ulega wątpliwości, że Sielski ją obchodził, że za niego jednego skwitowałyby ze wszystkich innych znajomości. Gdyby nie był taki ciekawy, gdyby tak podstępnych nie rzucał jej pytań, nie kryłaby się ze swoją sympatią. Ale to badanie niepokoiło ją i skłaniało do ostrożności. Im Sielski badał natarczywiej, tym instynkt Zosi głośniej wołał na nią, aby się ukrywała z uczuciami. Dlaczego?... Nikt jej tego nie objaśnił, i za nic by też nikogo nie spytała o to.

Niebawem wątpliwości Sielskiego wzrosły jeszcze bardziej. W kilka dni po owej rozmowie przyszedł na wieczór, i nadspodziewanie zastał męskie towarzystwo. Był tam zapatyzowany protektor Lachowicza i jacyś dwaj młodzi ludzie.

Sielski doznał przykrego rozczarowania. Naprzód bowiem stary hipochondryk zapalał dla niego wielką przyjaźnią i prawie nie puszczał od siebie, a po wtóre, ile razy Jerzy miał chwilę wolną i chciał przemówić do Zosi, tyle razy przeszkadzali mu młodzi ludzie: pan Józef i pan Alfons.

Tego wieczora spotkało go wiele goryczy i wiele przygód. Jerzy dostrzegł, że Zosia równie słodko patrzy i równie łaskawie rozmawia z nim, jak ze starym hipochondrykiem i dwoma młodymi ludźmi. Pocieszał się jednak nadzieją, że za to chętniej przyjmować będzie jego usługi.

Pole do nich otworzyło się niebawem. Zosia chciała usiąść i wnet wszyscy kawalerowie skoczyli do krzeseł. Pan Alfons i pan Józef chwycili jedno, lecz mimo to podali je prędzej niż Jerzy swoje. Zosia siadła na krzesło, podanym przez Jerzego. Sielski triumfował.

Nieco później, stary hipochondryk prosił Zosię, aby zaśpiewała. Wnet rączy jak jeleń pan Józef ustawił świece na fortepianie, a pan Alfons wyszukał nuty z widocznym zamiarem przewracania kartek. Urzeczywistniając swój plan, stanął przy fortepianie z ręką w pogotowiu i zapytał:

— Czy pani pozwoli?

— Jeżeli pan łaskaw, to będę prosiła o znalezienie mi „Traviaty” — odparła Zosia.

Pan Alfons rzucił się do szukania „Traviaty”, której jednak znaleźć nie mógł. Zosia tymczasem, nie czekając na niego, zagrała parę akordów.

— Chce więc, ażebym ja jej nuty przewracał! — pomyślał Jerzy i pewnym krokiem posunął się ku fortepianowi.

— Czy mogę prosić pana Józefa o przewracanie mi nut?... — spytała Zosia, nie patrząc nawet na Sielskiego.

Jerzy osłupiał, pan Alfons zrobił „minę”, a pan Józef spojrział na obu z triumfem.

Wypadek ten był ciosem dla Sielskiego. Stracił humor nieborak i postanowił dosiedzieć do końca wieczora jak sowa.

Ale Zosia, skończywszy śpiewać, niby niechcący zbliżyła się do niego i korzystając z ogólnej rozmowy pozostałych gości, rzekła półgłosem:

— Dlaczego pan taki... nie w humorze?

Pieszczotliwy głos jej rozbroił Sielskiego. Mimo to, postanowił się zemścić i odparł obojętnie:

— Głowa mnie trochę boli.

— Doprawdy? — spytała Zosia, przymilając się.

— Istotnie tak jest.

— Jaka nagła choroba! — mówiła dalej z uśmiechem. — Czy nie sądzi pan, że jednak można by znaleźć na nią lekarstwo?...

Sielski już nie udawał chorego.

— Możesz mnie pani uleczyć jednym słowem!... — rzekł trochę za gorąco.

— Czy tak? Jakimże to?...

— Prostym rozkazem! — odparł Sielski namiętnie.

— W takim razie każe panu podać herbaty z cytryną.

I odeszła, a potem oczekując na herbatę, poczęła wesoło rozmawiać znowu z panami Józefem i Alfonssem.

Sielski, tak ochłodzony, pozostał na swym miejscu, mocno żałując, że Warszawa nie jest Turcją, a on sułtanem. Niezawodnie zabroniłby odtąd poddanym swoim pijać herbatę z cytryną, a w dodatku — panom Alfonsowi i Józefowi kazałby głowy poucinać.

Utrapienie jego wzrosło jeszcze bardziej, gdy go Zosia naprawdę poczęstowała przyobiecany lekarką, i gdy dwaj młodzi ludzie, z trudną do opisaną beczelnością, usiedli przy stole, jeden po prawej, drugi po lewej stronie pięknej gosposi, nieustannie narzucając się jej z usługami.

Okolo dziesiątej hipochondryk poczęła głośno ziewać. Okoliczność ta goryczą napełniła serca dwóch młodych ludzi i Sielskiego, który jednak usiłował być wesołym, nie chcąc w jednym szeregu stawać ze swymi domyślnymi, a tak serdecznie pogardzanymi rywalami.

Ponieważ ziewania starego dziwaka poczęły przybierać charakter demonstracyjny, Sielski wziął kapelusz do ręki.

Dwaj młodzi ludzie zrobili to samo, a pragnąc do reszty znękać Sielskiego, poczęli zasypywać Zosię na dobranoc bardzo gwałtownymi komplementami.

Biedny Jerzy czuł się tak nieszczęśliwym i upokorzonym, że stanąwszy skromnie za nimi, z budującą cierpliwością czekał, aż na niego przyjdzie kolej pożegnania...

Zosia jednak nie spieszyła się, i dopiero gdy młodzi ludzie byli już na progu przedpokoju, zbliżyła się do Sielskiego, i podając mu rękę, ze złośliwym uśmiechem spytała:

— Cóż, dobra była herbata?...

I powiedziawszy to — pobiegła do starego hipochondryka.

Teraz dopiero spadł Jerzemu kamień z serca. Więc to był obrachowany figiel z jej strony?... No, kiedy tak, to już dobrze, chociaż — mogłoby być trochę lepiej! Przynajmniej on sam nie gniewałby się za to...

Tymczasem panowie Alfons i Józef wyszli na ulicę, pełni otuchy. Sądząc z ożywionych ruchów ich kapeluszy, Jerzy przypuszczał, że są bardzo zadowoleni i w duchu wyśmiewał ich ślepe zarozumiałość.

— Jednak ona żadnemu z was nie dokucza! — pomyślał. — Odtąd możecie podawać jej krzesła i przewracać nuty...

Po odejściu trzech konkurentów, Zosia oddaliła się do swego pokoju. Wtedy hipochondryk wystąpił na środek salonu, i patrząc z pod oka na Lachowicza, zawołał:

— Oho... ho!...

— Rozumiem! — rzekł Ludwik z uśmiechem — chcesz mi pan nawymyślać?...

— Naturalnie! — krzyknął starzec, chowając ręce do kieszeni. — Kto słyszał, ażeby taka młoda dziewczyna nie miała kobiecego towarzystwa?

Ludwik spoważniał.

— Sam to czuję, ale i cóż mam robić? Ożenić się?

— Głupi projekt!

— Innej rady nie widzę.

— No, więc jeżeli nie widzisz, to ja ci ją podam: weź starą Skulską do domu.

— Myślałem już o tym — mówił zakłopotany malarz — ale czy ona zechce?

— Dlaczego nie ma chcieć? Kobieta bez obowiązków, lubi małą...

Na skutek tej rozmowy, po upływie kilku dni pani Skulska sprowadziła się do Lachowicza. Jerzy skamieniał, gdy wszedłszy do salonu, zobaczył obok Zosi jakąś poważną damę, z robotą w rękach.

— Państwo się nie znają? — spytała Zosia. — Pan Sielski, pani Skulska.

— Aaa!... — rzekła dama z ukłonem, majestatycznie spoglądając na Jerzego.

— Zdaje mi się, że już miałem przyjemność widzieć panią dobrodziejkę? — odparł Sielski, kłaniając się aż do ziemi.

— Być może — rzekła dama.

— Miałem honor spotkać raz panią w Saskim Ogrodzie.

— Ja tam bywam dosyć często.

Suche odpowiedzi zacnej matrony wcale nie dodały energii Sielskiemu. Złorzeczył w duchu damie i czuł pewien rodzaj pretensji do Zosi za to, że jej gdzie nie wyprawiła... Lecz Zosia nie tylko nie myślała odgadnąć tych tajemnych życzeń, a tym bardziej zastosować się do nich, lecz jeszcze, jakby na przekór, kręciła się ciągle około damy i robiła jej mnóstwo przysług.

Po półgodzinnej, nader bladej rozmowie, Sielski rzekł:

— Czy panie pozwolą mi zapalić papierosa?

— Bardzo chętnie — odparła z pośpiechem Zosia.

Pani Skulska, milcząc, surowo spojrzała na Jerzego, który szybko schował do kieszeni już wydobytą papierośnicę.

— Pan nie pali?... — spytała zdziwiona Zosia.

— Domyślam się, że pani dobrodziejka dymu nie znosi — rzekł, zwracając się do pani Skulskiej.

Oblicze „pani dobrodziejki” wyjaśniło się.

— Ależ nie! — zawołała — ja bardzo dym lubię.

— Nigdy nie ośmieliłbym się zrobić pani najmniejszej przykrości...

— Ależ niech pan pali, bardzo proszę — mówiła pokonana już stara dama.

Pierwsze lody pękły, i Sielski powtórnie papierośnicę wydobył. Wtem trafił... fosfor padł mu na rękę.

— Ach, Boże! — krzyknęła Zosia — co też pan zrobił!

— Mocno się pan sparzył? — spytała troskliwie podeszła dama.

— Trochę... nic... — upewniał Sielski, dziękując niebu za wypadek, który spowodował wykrzyk Zosi.

Zgodnie z prawidłem o miłości bliźniego, obie damy poczęły się krzątać około okaleczonego młodziana. Pani Skulska chciała mu zaaplikować do palca gałganek, lecz Zosia uprzedziwszy ją, przylepiła mu kitajkę.

— Zawsze jednak radziłabym panu udać się do doktora — zauważyła pani Skulska.

— Dlaczego? — spytała Zosia niespokojnie.

— Oparzenia takie bywają czasem niebezpieczne. Nieraz czytałam w „Kurierze”, że osoby sparzone fosforem traciły rękę, a nawet życie...

Sielski, pragnąc wyzyskać objaśnienia damy i niepokój Zosi, zrobił minę ponurą.

— W każdym razie — rzekł — niepewność skończy się prędko...

— Cóż to znaczy? — spytała Zosia bojaźliwie, patrząc mu w oczy.

— Jutro o tej porze — ciągnął Sielski melancholicznie — albo będę zupełnie zdrow...

— Albo? — przerwała Zosia.

— Umrę! — zakończył.

Zosia parsknęła śmiechem.

— Cha! cha!... — zawołała. — A to prędko chciałby się pan pozbyć kłopotów doczesnych. Upewniam pana jednak, że nic z tego nie będzie, choćby nawet doktor nie zobaczył tej okropnej rany. Może się pan nie fatygować do niego, na moją odpowiedzialność...

Sielski poznał za późno, że zrobił kapitalne głupstwo i stracił humor. Był zaś bliskim rozpaczy, gdy wkrótce potem ukazali się w salonie dwaj młodzi ludzie, powitali Zosię więcej niż serdecznie, a pani Skulskiej ucałowali rączki.

— Zginałem! — pomyślał Jerzy, ślubując w duchu, że nadal i on będzie całował ręce poważnej damy.

Wracając do domu, pod wpływem świeżego i chłodnego powietrza począł się zastanawiać nad sobą.

— Co ja robię? — mówił. — Co się ze mną stało?... I to ja, w którym kochała się jedna z najniebezpieczniejszych lwic w Warszawie, popełniam dziś takie dzieciństwa?... Ale co począć! — dodał po chwili. — Zosia jest jeszcze dzieckiem prawie. Mamże jej mówić o miłości, mam ją kokietować i stać się nikczemnym w oczach brata, który mi zaufał?

Uwagi te otrzeźwiły go; postanowił sprawę traktować poważnie i nade wszystko pogadać z Lachowiczem.

Wybrał się więc do niego zaraz na drugi dzień w nastroju uroczystym.

Łatwiej mu jednak było powziąć zamiar, niż go wykonać. Opuścił wprawdzie swoje mieszkanie pełen stanowczości i nadziei, ale w drodze już przyszły mu na myśl rozmaite wspomnienia. Owe pożyczki, umowa o „duszę”, tysiączne inne upokorzenia, których nie szczędził Lachowiczowi, a wreszcie wypadek z jego ojcem — wszystko to żywo stanęło przed oczyma.

— Co pocznę — szepnął Sielski — jeżeli on zechce się teraz mścić?...

Pytanie to stało się dla niego punktem zwrotnym. Jerzy wstrząsnął się i znowu odzyskał śmiałość.

— Nie, on tego nie zrobi! — rzekł półgłosem.

Od pewnego czasu zaszła w Sielskim tak wielka zmiana, że nie tylko nie czuł niechęci do swego niegdyś przeciwnika, nie tylko ufał mu i szanował go, ale nadto, nie zdając sobie z tego sprawy wierzył, że Lachowicz jest zdolnym do poświęcenia swoich uczuć i interesów dla szczęścia innych. Ta właśnie myśl, w niejasnej jeszcze i jakby przecuciowej formie tkwiąca w duszy Sielskiego, natchnęła go odwagą do oświadczenia się o rękę Zosi jej bratu, którego krzywdził po tysiąc razy i w najdotkliwszy sposób.

Nie chcąc spotkać Zosi, Sielski wszedł do pracowni Lachowicza, którego zastał przy jakimś nowym obrazie. Gdy się przywitali, rzekł:

— Kochany Ludwiku!...

Lecz potem nagle spytał:

— Dawno zacząłeś malować ten obraz?

Niespodziewany przeskok w mowie, zmiana głosu i bladość twarzy Sielskiego — uderzyły Lachowicza. Odwrócił głowę i spojrzał mu w oczy tak, jakby przez nie do głębi duszy chciał sięgnąć.

To spojrzenie, przejmujące lecz uczciwe, badawcze lecz i sympatyczne, znowu ośmieliło Jerzego. Zdawało mu się, że Lachowicz jest jedynym na świecie człowiekiem, któremu, jako rozumnemu i dobremu przyjacielowi, może powiedzieć wszystko.

— Kochany Ludwiku — zaczął znowu Sielski — domyślasz się zapewne, o czym chcę z tobą mówić?...

Lachowicz ani potwierdzał, ani zaprzeczał. Milczał.

— Domyślasz się zapewne powodu moich częstych wizyt u ciebie? — mówił błagalnym głosem Jerzy.

Ludwik milczał.

— Chcę cię prosić o rękę twojej siostry!... — zakończył i machinalnie nisko uklonił się Ludwikowi.

— Czy wiesz — odezwał się Ludwik, bystro patrząc na twarz Sielskiego — że siostra moja przed ośmioma laty była... żebraczką?...

Twarz Sielskiego zajaśniała radością.

— Mój drogi! — zawołał, chwytając Lachowicza za rękę — cóż mnie to obchodzi?... Gdyby dziś była równie biedną, jak wówczas, czułbym się jeszcze szczęśliwszym...

— Wierzę ci — przerwał Lachowicz — z tym wszystkim świat może być mniej wyrozumiałym.

— Co tam świat!... Zresztą powiem ci coś. Nasza rodzina była także bardzo uboga. Podobno nawet jeden z moich dziadków służył gdzieś za karbowego...

Ludwik uśmiechnął się.

— Daj pokój! — rzekł. — Dziadkowie twoi byli senatorami...

— Gdzież tam, to inni Sielscy!... — żywo zaprotestował Jerzy, lecz opamiętawszy się, dodał:

— Zresztą przypuśćmy, że tak jest, to w takim razie ja tylko zasługuję na politowanie.

Arystokracja zwyrodniała, jak ci wiadomo...

— Nie wiadomo mi — przerwał z uśmiechem Ludwik.

— No, myśl, jak chcesz, lecz powiedz prędzej: czy mnie przyjmujesz za brata? — prosił niecierpliwie Jerzy.

— Zapomniałeś o naszym ojcu — wtrącił poważnie Lachowicz.

Sielski rozgorączkował się.

— Słuchaj, Ludwiku! przysięgam ci, że gdyby żył ojciec, prosiłbym go o rękę twej siostry, czuwałbym nad nim z wami razem...

— Dosyć! — rzekł Lachowicz, podając mu rękę. — Ja osobiście nic nie mam przeciw twej deklaracji.

Sielski rzucił mu się na szyję.

— Dziękuję ci, mój drogi!... Więc już naprawdę nie czujesz do mnie żalu?... Jakiś ty szlachetny...

— Powoli! powoli!... stawiam przecież warunek...

— Tysiąc warunków...

— Nie, jeden tylko: ażeby Zosia przez jakiś czas nic o tym nie wiedziała. Widzisz, to jeszcze prawie dziecko...

— Gdybyś wiedział, jak ją kocham!... A co gorsza, nie mam żadnej pewności co do jej sympatii dla mnie.

Ludwik uśmiechnął się.

— Zostaw to czasowi.

Jerzy znowu go gwałtownie uściskał, mówiąc niespokojnie:

— Rozumiem to, ale widzisz, ci dwaj młodzi ludzie...

— Ach! oni... — szepnął Ludwik lekceważąco.

Nastąpił nowy wylew czułości ze strony Sielskiego.

— No, więc dobrze! — mówił Jerzy. — Kiedy tego chcesz, nie zdradzę się ani słowem, ani ruchem... Czy jednak pozwolisz mi, abym zobaczył pannę Zofię? — dodał po chwili nieśmiało.

— Dobrze.

Sielski wybiegł do salonu, a Ludwik pomyślał:

— Otóż i nowe jarzmo wynalazł sobie, szczęściem lżejsze od innych.

I usiadł przy sztalugach dziwnie smutny. Zosia tymczasem przywitała Jerzego, który, zobaczywszy ją, zawołał:

— Ach! moja droga panno Zofio...

I niespodzianie przycisnął do ust jej rączkę...

— Co to znaczy? — spytała Zosia, oblewając się rumieńcem.

Ale Sielski stracił nagle odwagę.

— Ludwik prześliczny obraz maluje... — kończył już w innym tonie.

— Czy tak? — spytała udobruchana nieco, chociaż serce jej biło gwałtownie.

— Jaki to ogromny talent! — mówił gorączkowo Sielski — jaki to geniusz...

— Czy naprawdę?

— A jaki on szlachetny, jak ja go kocham!...

— To dobrze... To bardzo dobrze, że pan kocha Ludwika! — szepnęła.

Jerzy wziął ją za obie ręce i patrząc na nią miłośnie, spytał:

— Ale czyż mi wolno kochać... tylko Ludwika?...

Zosia z lekka cofnęła rączki, kto wie, może dlatego, że właśnie w sąsiednim pokoju rozległ się szmer, i weszła do salonu pani Skulska.

Jerzy oprzytomniał i usiadł opodal na krzeselku, mówiąc sobie w duchu:

— Dosyć tego!... Muszę przecie dotrzymać obietnicy Ludwikowi.

ROZDZIAŁ XVII

JADWIGA

Po rozmowie z Lachowiczem Sielski znacznie się uspokoił, poznawszy, że najważniejsza przeszkoda — niechęć brata, nie zepsuje mu względów u siostry. Odtąd w stosunkach z Zosią nie popełniał już wybryków, obecność pani Skulskiej nie gniewała go, a nawet dla dwu młodych ludzi, panów Alfonsa i Józefa, stał się nieco pobłażliwszym, mówiąc w duchu, że porównanie z nimi wyjdzie mu tylko na korzyść.

Zosia też spoglądała na niego coraz przychylniej, a pani Skulska poradziła mu w sekrecie, aby się godzin pilnował:

— Nie uwierzy pan, jak Zosię to drażni, kiedy pan o zwykłej porze nie przychodzi! — mówiła dama. — Kręci się po pokoju, zagląda w okna, gniewa się... Ale o tym cicho!

Jerzy rósł jak na drożdżach.

Miłość jego stopniowo przechodziła w namiętność; bo też i Zosia co prawda należała do osób płci żeńskiej, za którymi mężczyźni szaleją. Prócz śniadej cery i czarnych, ognistych oczu, zdradzających wulkaniczny temperament, posiadała ona ogromny zapas sił i życia, które jej przydomek „diabelskiej piękności” zjednały. To też „znawcy” stawali na ulicach, patrząc na nią, gdy przechodziła, i wróżyli, że z tej prześlicznej panienki wyrośnie bardzo prędko jedna z najpiękniejszych kobiet w Warszawie.

Jakoś w końcu karnawału w domu Lachowicza zauważono, że Sielski zesmutniał i parę wizyt opuścił. To też gdy pewnego razu przyszedł smutniejszy i mizerniejszy niż zwykle, Ludwik przy kobietach zapytał go:

— Czyś chory, Jerzy, że tak niewyraźnie wyglądasz?

Zosia z niepokojem spojrzała na Sielskiego.

— Ja jestem zdrow — odparł Jerzy — ale kuzynka moja, Jadwiga, ciężko chora.

Ludwik poblądł i odwrócił się do okna. Zosia dostrzegła to, zamyśliła się, a potem spytała:

— Cóż jest pańskiej kuzynce?

— Zapalenie płuc. Karnawał zrobił jej to...

— Zapalenie płuc nie zawsze jest niebezpieczne dla osób młodych — wtrąciła pani Skulska.

— Daj Boże, aby pani miała rację! — odpowiedział Sielski. — Tymczasem jednak jest źle...

Ludwik wyszedł do swojej pracowni.

Odtąd, ile razy odwiedził ich Sielski, Zosia wypytywała go o przebieg choroby. Lachowicz wówczas wsuwał się nieznacznie do salonu, słuchał relacji, a potem znowu znikał.

W tym czasie stracił apetyt, przestał malować i całymi dniami chodził niespokojnie po swej pracowni, lub siedział przy stoliku z głową opartą na ręku. Raz w tej postawie zaszła go Zosia znienacka i zobaczyła, jak pisał ołówkiem na papierze, wśród mnóstwa zygzaków, następane wyrazy:

...Chora... chora... Jadzia... zapalenie płuc... chora...

I tak bez końca!...

Teraz z kolei pani Skulska dostrzegła, że Zosia zamyśla się, mizernieje i po nocach nie sypia.

— Kocha się biedactwo! — mówiła stara dama. — Ha! gdyby nie te smutki młodych panien i kawalerów, nie mielibyśmy potem wesel...

Po upływie kilku tygodni Sielski doniósł, że Jadwiga po zapaleniu płuc wpadła w galopujące suchoty, a w parę dni później nad wieczorem, jakiś człowiek przyszedł do Lachowicza z listem.

Ludwik, rozerwawszy kopertę, przeczytał co następuje:

Chora bez nadziei siostra moja, Jadwiga, pragnie pomówić z Panem. Przyjdź Pan natychmiast, błaga Cię o to w imię miłości bliźniego.

Ewa N.

List ten nie zdziwił Lachowicza. Myślą był on nieustannie przy łożu chorej, i jakiś głos wewnętrzny szeptał mu, że ją jeszcze zobaczy przed śmiercią.

Nie mówiąc ani słowa, rzucił zmięty list na stół i szybko wybiegł z posłańcem. W chwilę później weszła do pokoju Zosia, a dostrzegłszy list, schwyciła go i odczytała.

— Wszystko teraz rozumiem!... — szepnęła z boleścią.

Jadzia od kilku dni już prosiła pilnującej ją siostry o wezwanie Lachowicza; pani Ewa jednak nie mogła się zdecydować na krok ten, według jej opinii, wysoce nieprzyzwoity. Dziś dopiero stan chorej i rzewne jej błagania przemogły nad skrupułami.

Ubrana w czystą bieliznę, leżała Jadzia na łóżku, co parę godzin zapadając w sen niespokojny, majacząc, lub dopytując się: czy Lachowicz nie przyszedł?

Gdy zaś na progu stanął posłaniec, dając znak pani Ewie — krzyknęła:

— Proś!... proś!...

Lachowicz wszedł sztywny i blady jak lunatyk. Gdy spojrzał na Jadzię, chwilowa nadzieja rozbudziła się w jego sercu. Zwiódł go blask oczu, uśmiech i gorączkowe rumieńce na białej jak śnieg twarzy.

Pani Ewa, ukloniwszy się, milcząco, wskazała mu krzesło naprzeciw łóżka, a gdy Ludwik siadł, Jadwiga odezwała się:

— Panie! pan już przebaczył Jerzemu, wszak prawda?...

— Czy możesz pani pytać mnie o to! — odparł bezdźwięcznym głosem.

— Widzi pan — mówiła chora — to mój krewny... Mimo całej żywości charakteru, ma bardzo dobre serce... A zresztą nie chciałabym, ażeby został nieszczęśliwym...

Chwilę odpoczęła, a potem mówiła dalej:

— Wierz mi pan, on najmniej winien temu, co się stało... On pańską siostrę bardzo kocha!...

Mój Boże... jakbym ją chciała poznać...

Błyskawica oświeciła umysł Ludwika. To Sielski przyczynił się do jego nieszczęścia i do obecnego stanu Jadwigi!... Chora zaczęła majaczyć.

— Muszę jechać do Włoch... — mówiła szybko. — Witold ciągle gospodaruje... Ten wół już drugi raz złamał nogę...

Po kilku minutach jednak ocknęła się i rzekła z uśmiechem:

— Tak mi się coś śni... Nie umarłabym, nie zobaczywszy pana. Siostra przyrzekła, że pański list włoży mi do trumny... Prawda, Ewciu?

Pani Ewa, połykając łzy, skinęła głową. Teraz opanował chorą niepokój.

— Podnieście mnie!... — zawołała. — Jak tu duszno!...

Lachowicz i siostra poskoczyli do niej, lecz dała im znak, że już niczego nie chce.

Potem kilka minut wpatrywała się w Lachowicza i wyciągnawszy do niego rękę, szepnęła:

— Takam senna!...

Przymknęła powieki, z których stoczyły się dwie łzy. W tej samej chwili Ludwik dostrzegł, że twarz jej zmieniła się tak, jakby cień na nią padł...

Ukląkł przy łóżku, oparł twarz na ciepłej jeszcze ręce i wyjąkał:

— Boże!... mój Boże! jakim ja nieszczęśliwy!...

Pani Ewa wybuchnęła głośnym płaczem.

Po chwili Ludwik uczuł, że ktoś trąca go w ramię, odwrócił głowę i spostrzegł nieznanego człowieka, który, wyprowadziwszy go do drugiego pokoju, rzekł profesorskim tonem:

— Nie należy płakać obok dopiero co zmarłych. Oni słyszą...

— Któż pan jesteś? — spytał go Lachowicz.

— Doktor, panie.

— Aha!...

I po tym wykrzykniku, wyszedł, nie żegnając się z nikim i nie patrząc. Gdyby nie to, przekonałby się, że Sielski był w tym pokoju, wszystko widział i słyszał.

Gdy Ludwik wrócił do domu, Zosia, spojrzawszy na niego, krzyknęła:

— Co tobie jest?...

— Nic.

— Tyś był u Jadwigi! Czy?...

— Już umarła! — rzekł Ludwik. — Na świecie niema nic wiecznego...

Usiadł na kanapie, wziął drżącą dłoń siostry w swoje ręce i począł mówić głosem jednostajnym, jak kołatanie zegara:

— Widzisz... kochałem ją!... Sama się kiedyś dowiesz, że do osoby obcej można być tak przywiązanym, jak do najbliższej. Na nieszczęście, zapomniałem, że takim, jak ja nędzarzom, kochać nie wolno...

Było to jedyne zwierzenie, jakie zrobił przed siostrą. Tym razem jednak Zosia wiedziała więcej, niż przypuszczał. Przed kochającym okiem nie ukryły się cierpienia brata — resztę zaś dopowiedziała jej wyobraźnia. Czuła ona, że w stosunku Sielskiego do Ludwika jest coś fałszywego; przyjaźń ich wydawała się jej zbyt świeżą. Skombinowawszy wreszcie wszystkie drobne poszlaki, doszła do wniosku, że to Jerzy winien był nieszczęściu, które Jadwigę i Ludwika spotkało.

Opanowały ją jakaś gorycz i wstyd. Nie mogła wyobrazić sobie, co zrobi, gdy jeszcze raz zobaczy Sielskiego, a jednocześnie chciała go widzieć i zapytać o coś.

Stopniowo ostatnie to pragnienie zapanowało nad innymi i odmienny kierunek nadało jej myślom.

— Gdyby Sielski był sprawcą złego, czyżby go Ludwik przyjmował?... — pytała. Lecz z drugiej strony jakiś tajemny głos szeptał jej, że istotnie Sielski był winien.

Zosia nie była marzycielką i zdecydowała się szybko:

— Zapytam go! — pomyślała.

I czekała tydzień, drugi i trzeci w nadziei, że wątpliwości jej zostaną rozstrzygnięte.

Lecz Sielski nie przychodził.

Lachowicz powoli także się uspokoił po okrutnym wstrząśnieniu i ze spotęgowaną energią malował po całych dniach. Stary hipochondryk, dostrzegłszy nową a wspaniałą robotę, począł odwiedzać go częściej.

Siedzieli tak obaj całymi godzinami wśród głębokiego milczenia. Lachowicz malował, a protektor jego przypatrywał się dziełu. Niekiedy strzelał palcami, klął straszliwie, a wówczas Lachowicz przypominał sobie o nim i witał go.

Zatopiony w pracy, Ludwik stłumił swoją boleść i zapomniał o wszystkim, nie wyłączając Sielskiego; pamiętał o nim jednak ktoś inny.

Pewnego razu Zosia rzekła do brata:

— Pan Sielski musi być chory?

— Czy tak?... — spytał jakby obudzony ze snu.

— Domyślam się tylko... Już miesiąc, jak u nas nie był...— dodała ciszej, pochylając twarz do haftu, który trzymała w rękach.

Wzmianka ta rozrzewniła Lachowicza. Popatrzył tkliwie na pomieszana siostrzyczkę i wyrzucał sobie, że o nią nie dba.

„Ileż smutku i niepokojów narobić jej musiał mój egoizm!” pomyślał.

Tego dnia pierwszy raz od kilku tygodni wyszedł do miasta. W powietrzu czuć już było oddech wiosny, śnieg topniał...

Ludwik nie znalazł Sielskiego w mieszkaniu, zostawił więc bilet. Na drugi dzień Jerzy przyszedł do niego, znowu jak niegdyś — do pracowni.

Był mizerny, dziki jakiś, rozgorączkowany... Lachowicz, spojrzawszy na niego, zdziwił się.

— Tyś chory?... — rzekł. — Dlaczego nie napisałeś do nas?...

— Przyszedłem cię pożegnać! — szepnął Sielski.

Ludwik cofnął się w tył i patrzył na niego jak na szaleńca.

— Wiesz już wszystko — mówił Sielski — i ja wiem również wszystko. Ale przysięgam ci, że się dowiedział za późno!...

— Co to jest?... — zapytał Ludwik.

— Byłem przy śmierci Jadzi, i wtedy dopiero przekonałem się, com uczynił... Był czas, że się uważałem za zbytecznego na świecie, dziś zaś widzę, że nawet szkodliwy...

Mówił to spokojnie, patrząc w ziemię.

— Siądź-no! — przerwał Lachowicz.

Usiedli. Lachowicz wsparł obie ręce na kolanach i ostro patrząc mu w oczy, spytał:

— Co myślisz zrobić?

— Wyjeżdżam... Nie jestem godzien twojej siostry...

— Któż ci to powiedział?...

— Sumienie moje. Kto się stał przyczyną nieszczęścia innych, sam nie może być szczęśliwym!

Lachowicz wstał, przeszedł się po pokoju i rzekł znowu:

— Powiedz mi szczerze, czy żaden inny powód nie wpłynął na twoje postanowienie?

— Żaden inny. Alboż wina moja nie wymaga ciężkiej pokuty?

— Więc to się u ciebie pokutą nazywa...

Sielski chciał odpowiedzieć, lecz zamilkł.

— Pokuta?... — pytał dalej Lachowicz. — Co ona zmazuje i kogo wynagradza?... Czy wskrzesi Jadwigę?... Zastanów się, człowieku! jakieś ty zadosyćuczynienie wymyślił, które zatruje życie tobie, Zosi i... mnie w końcu.

— Nie zapominaj — odrzekł Sielski — że ja cię spotwarzyłem... Czy rozumiesz?... spotwarzyłem cię przed Jadwigą, która skutkiem tego, kochając ciebie, innemu oddała rękę.

Lachowiczowi usta drżały, twarz mieniła się; mimo to nie uległ boleści.

— Mówiłeś o mnie do twej kuzynki to, co ci się zdawało prawdziwe — przerwał Sielskiemu. — Upředzenie i namiętność, a bardziej jeszcze pozory, zaślepiły cię... Lecz cóż z tego za wniossek?... Według mnie, jeden tylko, ten mianowicie: że nie należy ulegać nadal złudzeniom, lecz pełnić rzeczywiste obowiązki.

Sielski patrzył na Ludwika, jakby nie rozumiejąc tego, co słyszy. Wreszcie odezwał się cicho i bojaźliwie:

— Przebacz mi to, co ci powiem, ale ja... nie wiem nawet, jakie w tej chwili są moje obowiązki...

— Być szczęśliwym i uszczęśliwiać innych — odparł Lachowicz.

— Więc... nie wypędzasz mnie?... Oddasz mi twoją siostrę?...

— Oddam!

— A ja ci życie moje oddam! — zawołał gwałtownie Jerzy, chwytając go za rękę.

Lachowicz, nie mówiąc nic, wprowadził Sielskiego do salonu, udał się potem do pokoju Zosi i po chwili przywiódł siostrę.

— Zosiu! — rzekł — pan Sielski, jak widzisz, jest zdrów...

Zosia ukloniła się Jerzemu.

— A teraz — ciągnął dalej Ludwik — powiem ci, że pan Sielski prosi mnie o twoją rękę...

Zosia bardzo zbladła, Jerzy ledwie oddychał.

— Spodziewam się, Zosiu, że nic nie masz przeciwko temu?

Nie odpowiedziała.

— No, moje dziecko — mówił brat — sądzę, że tak?...

— Chciałabym pomówić z panem Sielskim... — rzekła Zosia cicho.

Twarz Sielskiego zrobiła się żółta.

— Owszem, mów...

Zosia zbliżyła się do Jerzego i podawszy mu rękę, błagalnie patrząc mu w oczy, spytała:

— Panie... czy pan nigdy nie zrobił krzywdy memu bratu?

Usłyszawszy te słowa, obaj mężczyźni struchleli,

— Widzi pan... — mówiła Zosia, ośmielając się stopniowo — widzi pan... Ale niech mi pan przebaczy moje pytanie! Nie zadałabym go komu innemu, ale tak mi wiele zależy na życzliwości pańskiej... Przy tym, nie wiem dlaczego, jestem jakoś dziwnie niespokojna... To przywidzenie, wiem — ale... chciałabym się pozbyć go...

Mowa jej wywołała straszny zamęt w duszy Sielskiego. Raz, zdawało mu się, że Lachowicz odegrał z nim potworną komedię, to znowu, że umarli powstali z grobów, aby go przez usta tego dziecka oskarżyć i potępić. Gdyby stał w tej chwili nad przepaścią, rzuciłby się w nią, aby tylko nie słyszeć pytań Zosi i nie czuć rozpacz, jakiej doświadczał.

Tymczasem Ludwik opamiętał się i z gniewem zawołał:

— Przyznam się, Zosiu, że nie wiem, skąd tak dziwne myśli przychodzą ci do głowy?...

Ale ona, wciąż patrząc na Jerzego, mówiła:

— Pan mi nic nie odpowiada?... Pan mnie nie chce uspokoić?...

— Owszem, chcę! — odparł Sielski prędko. — Istotnie jestem winien... skrzywdziłem brata pani!...

Teraz Zosia uczuła ból w sercu. Spoglądała kolejno to na brata, to na Sielskiego.

— Wszakże go kochasz? — zawołał Ludwik, podchodząc do siostry.

Zosia wstrząsnęła głową.

Ludwik ścisnął pięść, i machnąwszy nią gniewnie zawołał:

— Ha!... złe dzieci!... — zawołał — możecież wy mnie tak dręczyć?...

— Ludwisiu!... — błagała go siostra.

— Czy ty wiesz — mówił do niej — czy ty wiesz, że Sielski ojca naszego uratował od hańby?...

Zosia rozplakała się.

— Dosyć! — przerwał Sielski. — Wiem, że miłość i niechęć to złe sąsiedztwo... Uspokój się, pani!... Ja odchodzę i wrócę wtedy dopiero, kiedy mnie pani uznasz godnym siebie. Bądźcie zdrowi!...

To powiedziawszy — wyszedł.

— Stój! — zawołał Lachowicz, wybiegając za nim.

— Nie wstrzymuj mnie, Ludwiku — rzekł Sielski spokojnie. — Gdybym nie miał nadziei, gdybym nie czuł, że nie jestem tak zły... powiadam ci... w łeb bym sobie strzelił. Ale z drugiej strony wiem, że muszę zmasać wiele błędów... Reszty czas dokończy.

— Niewolnicy! niewolnicy!... — mruknął Lachowicz i powróciwszy do siostry, powtórzył:

— I tyś niewolnica!

Zosia zanosila się od płaczu.

— No... powiedz mi — mówiła wśród łkań — czy mogę kochać ciebie i tego, który cię szczęścia pozbawił?...

— Alboż ja ci robię wymówki? — odparł brat. — Mówię tylko, że wy wszyscy jesteście niewolnikami waszych przywidzeń, kaprysów, uczuć... Wszyscy wzdychacie do szczęścia, rozprawiacie o obowiązkach, a nieustannie psujecie to szczęście i lekceważycie obowiązki. Niewolnicy!... niewolnicy!...

ROZDZIAŁ XVIII

ŻYWI I UMARLI

Minęła wiosna i przechodziło lato.

W życiu Lachowicza i jego siostry niewielkie zaszły zmiany. Zosi przybyło wdzięku, Ludwikowi kilka siwych włosów, obojgu zaś ubył — jeden znajomy.

Dotychczas nie wspominali o Sielskim. Zosi nie wypadało mówić o nim, Ludwik zatopiony był w pracy, a jeżeli kiedy pomyślał o Jerzym, czuł zakłopotanie.

— Co tu robić? — mówił do siebie. — Pierwszy krok z mojej strony do niego wyglądałby na narzucanie się... Nie jestem pewny, co Zosia myśli o nim, a przy tym on sam spalił za sobą mosty. Postanowił ułagodzić żal jej, czekać, aż ona go wezwie, tymczasem zaś faktów jak niema, tak niema...

Raz stary hipochondryk rzekł do Lachowicza:

— Uważasz... Warto by pomyśleć o mężu dla Zosi, wprowadzić dziewczynę w świat...

— Jeszcze czas! — odparł Ludwik, i na tym się skończył projekt.

Mimo to postanowił wybadać Zosię.

Sposobność zdarzyła się niebawem.

Pewnego wieczora siedzieli z siostrą na balkonie, wychodzącym na ogród. Był już koniec lata. Słońce skryło się za widnokrąg, oblewając rzadkie chmury purpurą i złotem. Znużone ptaki zwoływały się do gniazd; młoda matka w otwartym oknie naprzeciw nuciła dziecku pieśń wieczorną; na poły drzemiący wiatr kołysał do snu listki, których dni były już policzone.

Tu i owdzie w mieszkaniach ubogich pracowników poczęły błyskać światełka i kilka gwiazd zamigotało na niebie.

Zosia, oparta na krawędzi balkonu, zadumana, utkwiała oczy w tej części widnokregu, której nie zasłaniały gmachy miasta. Na pięknej jej twarzy rozlał się wyraz jakiejś rzewnej tęsknoty.

— O czym myślisz? — spytał ją Ludwik półgłosem.

— Myślę — odparła zwolna — kto też za lat kilkadziesiąt będzie patrzył na te drzewa, domy, a może tylko na gwiazdy?...

— A nie zastanawiasz się też kiedy nad bliższą przyszłością?... Nad tym, co ty sama będziesz robić za lat kilka?...

Zosia nie odpowiedziała nic.

— Pozwól — ciągnął dalej Ludwik — ażeby w tej chwili przypomnieć ci jeden wypadek... Zosia poruszyła się niespokojnie i odwróciła nieco twarz od niego.

— Widzisz, moja siostrzyczko, z Jerzym postąpiliśmy źle, i pod pozorem jakiejś mniej więcej urojonej krzywdy, wyrządziliśmy mu rzeczywistą.

— Mój Ludwisiu!... — szepnęła cichym głosem, lecz nie dokończyła frazesu.

— Muszę ci powiedzieć to, co myślę — mówił brat. — Jerzy jest szlachetny człowiek, kocha cię... Ty zaś wypędziłaś go prawie...

— On sam odszedł.

— Cóż miał zrobić innego?

— Odszedł w celu przekonania mnie, że moja niechęć dla niego nie ma podstawy, żem omyliła się... — odpowiedziała Zosia z ironicznym naciskiem.

— Źeś się ty omyliła — odparł Ludwik — za to ja ci ręczę, ale i on się omylił. Postanowił widocznie zdobyć twoje przywiązanie nie wizytami, lecz czynami. Na nieszczęście, niełatwa to rzecz.

— Czy tak?... — spytała przeciągle Zosia.

— Naturalnie!... Cóż on ma robić dla podobania się z odległości?... Turnieje już nie istnieją, za twoją szarfę zatem walczyć nie może. Z niebezpieczeństwa żadnego ani mnie, ani ciebie, ani kogokolwiek bądź zresztą nie ocali, bo dziś o nie trudno. Jego zaś czyny szlachetne, jakie prawdopodobnie spełnia, z natury rzeczy muszą być ukrytymi. Cóż mu więc pozostaje?

Zosia chwilę pomyślała, a potem głosem stanowczym rzekła:

— Nie mówmy już o tym.

— Dlaczego? — spytał brat.

— Nienawidzę go!... — odparła.

Ludwik patrzył na nią zdumiony. Ona wyprostowała się, podniosła głowę do góry i mówiła rozdrażniona:

— Czy myślisz, żem go zapomniała?... Nie!... Przypomina mi go każdy pokój, w którym był, każde krzesło, na którym siedział... Nieraz, gdy słyszę stąpanie albo głos obcy, drżę, myśląc, że to on przyszedł... Niekiedy widzę go we śnie i budzę się ze strachem...

Chwilę odpoczęła.

— Ale czy myślisz — mówiła dalej — że w majaczeniach moich spotykam go samym?... Nie!... Towarzyszą mu zawsze dwie osoby: ty i ta biedna ofiara, którą zabił...

Ludwik zerwał się z krzesła.

— Przysięgam ci — zawołał — że na moje nieszczęście złożyło się wiele przyczyn, między którymi jego błąd stanowił najmniejszą. Zresztą — dajmy już temu pokój!... Umiesz, jak widzę,

wywoływać duchy, z których ciebie opanował najgorszy, bo nienawiść; szczerze pragnąłem zakończyć wasze niepokoje, lecz zamiast tego...

Przerwał nagle i wyszedł wzburzony.

Od tej pory nie mówili już o Sielskim, choć Ludwik niejednokrotnie zastanawiał się nad osobliwym rodzajem nienawiści, jaką Zosia dla niego pałała.

Skończył się październik. W dzień Wszystkich Świętych, Zosia, powróciwszy z kościoła, rzekła do brata:

— Jutro Zaduszki. Czy nie pojechalibyśmy na cmentarz?

— Prawda — odparł Ludwik. — Jadzia tam jest...

— I nasz ojciec... — wtrąciła półgłosem Zosia.

Lachowicz bardzo się zmieszał. Od dnia pogrzebu nie był na mogile ojca. Tłumaczył go do pewnego stopnia wyjazd za granicę i późniejsze gorączkowe życie. Z tym wszystkim jednak grób ojca pozostał zapomniany...

Zosia w przypadku tym była najmniej winna. W ciągu życia zetknęła się z ojcem raz tylko, i to na krótko — potem zaś nie widziała go aż do dnia śmierci. Łatwo zapomnieć tych, których się prawie nie znało.

W dzień Zaduszny Lachowicz z siostrą byli z rana na nabożeństwie żałobnym, popołudniu zaś około czwartej pojechali na cmentarz.

Już na ulicy Dzikiej dostrzegli zwiększony ruch pieszy i konny. Bliżej rogatek pojedyncze dorożki i luźne gromadki osób poczęły się skupiać. O kilkanaście kroków dalej, trzeba już było zwolnić jazdę, ulicę bowiem wypełniły dwa szeregi powozów, jadących i wracających, a chodniki zajęła ciżba ludu.

Pod samymi rogatkami, piesi i jezdni utworzyli jedną zbitą, czarną masę, wśród której niepodobna już było ruszyć się. Lachowicz wyszedł z siostrą i zwolna począł torować ścieżkę wśród tłumu.

Po lewej stronie ulicy, pod parkanami, z poza których wyglądały „nagrobki do nabycia,” ukazywał się dość zresztą rzadki szereg żebraków, pragnących widocznie wyzyskać pierwsze porywy chrześcijańskiej pamięci o zmarłych. Nowicjusze ci jednak zawiedli się, pobożni bowiem z powodu pośpiechu nie zwracali na nich uwagi.

Były to dopiero przednie straże — główna bowiem armia dziadowska uszykowała się wzdłuż cmentarnego muru.

W tejże okolicy zobaczyć było można jedyną w swoim rodzaju wystawę. Tu Włoch wędrowny uplasował się z koszykiem gipsowych posążków. Dalej przekupka jabłek i pierników rozbiła swój stragan. O kilkanaście kroków za nią, sprzedawano żółte kanarki papierowe w małych klateczkach,

dalej bukiety i wieńce sztucznych kwiatów, dalej pierniki i obwarzanki, potem znowu jabłka, następnie wieńce metalowe, i tak bez końca.

Odstępy między przekupniami wypełniały gromady żebraków, stojących, klęczących lub siedzących. Ta trzymała w ręku paciorki, ów kij albo kulę. Obok niewidomego — siedział kaleka bez nóg, obok zgrzybiałego starca młodzieniec, który miał nogę uschłą. Ani jeden nie był zdrow, każdemu czegoś brakowało, każdy surdut i spódnica okryte były plamami i łatami, każda twarz brudem. Niektórzy wyciągali do przechodniów pokurzone ręce, inni gliniane miseczki, puszki od sardynek, albo skorupy żółwie.

Wszyscy oni i wszystkie błagali o jałmużnę, przypominali zmarłych, mówili pacierze, lub śpiewali pieśni nabożne.

Po drugiej stronie ulicy stoi szereg większych i mniejszych domków, mieszczących w sobie bawarie, w których wszystkie miejsca zatłoczono tak, że wejść nie było podobna.

Między publicznością, jak zwykle, przeważały liczbą kobiety w ciemnych i mniej ciemnych strojach. Tłoczono się i popychano, nawoływano tych, którzy zaginęli w tłumie, rozdawano jałmużny, kupowano ofiary na groby, wreszcie rozmawiano i śmiano się. Nic dziwnego, rodzaj ludzki nie składa się przecież z automatów, nakręconych w jednakowy sposób.

Zamęt i hałas jeszcze bardziej powiększyły się w bramie. Tu już trzeba było zapomnieć o całości sukni, a natomiast torować sobie miejsce przemocą.

Na cmentarzu wszystkie aleje były pełne osób, dążących w różnych kierunkach. Jedni oglądali pomniki, inni porządkowali groby, ozdabiali je kwiatami i ustawiali kaganki. Obok klęczącej kobiety w żałobie, na żelaznych poręczach nagrobków gimnastykowali się mali chłopcy; obok płaczących — śmiano się i gawędzono wesoło.

Były nagrobki wspaniałe, których nie miał widocznie kto ozdabiać, a nawet odwiedzać; były i niepokazne groby, przy których tłum się modlił. Trafiło się, że ten i ów przewietrzył grób rodzinny, nie wiadomo czy dla chwały Bożej, czy przez pamięć o tym, że kiedyś sam się tu uplasuje na wieki.

Ruch ten oszołomił Zosię; Lachowicz jednak nie zwracał na niego uwagi. Myśl Ludwika zajęta była całkowicie ojcem, który spał wśród tego miasta umarłych, zapomniany przez syna.

Gdzeniegdzie pomiędzy pysznymi nagrobkami widzieć można było tu i owdzie jakąś zapadniętą, zaniedbaną mogiłę, na której dogorywały resztki spróchniałego krzyża. Wówczas Ludwik mówił do siebie:

— Taki to i jego grób!...

Serce, jakby zbudzone z letargu, ścisnęło mu się boleśnie, nad gwarem tłumy górował szept sumienia:

— Mógłżeś go zapomnieć?... Z kimże bardziej na świecie, niż z nim, byłeś związany?... On był sprawcą twojej niedoli i twoim więźniem... Gdyby nie on, ten starzec zhańbiony, istniał żebyś ty tak sławny dzisiaj?...

Zdawało się Ludwikowi, że gdzieś na żółknącej murawie, pomiędzy drzewami, z których już liście opadły, stoi cień blady, w siermiędze, z siekierą na ramieniu i smutnie patrzy na niego. To był cień ojca, jakim go pamiętał w latach dziecińczych, cień biednego, spracowanego człowieka, któremu pół życia zeszło na trosce o chleb dla kochanego Ludwisia.

— Mógłżeś go zapomnieć?... Mógłżeś go zapomnieć?... — szeptało sumienie.

Przy grobie Jadwigi oboje z siostrą zatrzymali się na chwilę. Ludwik oparł się na kratkach i z niewymownym smutkiem zapytał: jaki też związek istnieć może między dwoma ukochanymi przez niego osobami, Jadwigą i ojcem?... Czyliż śmierć istotnie łączy tych, których życie postawiło na tak odmiennych stanowiskach? Czy między duchami nawet — z jednej strony żelazne kraty, z drugiej badyle i piołun, — nie tworzą nieprzebytych przeszkód?...

Powoli mrok zapadał, i na cmentarzu tysiące zajaśniało światła. Ludwik i Zosia pośpieszyli do grobu ojca. W drodze uderzył ich szczególny widok: na środku alei paliły się lampki ustawione w formie krzyża. Pilnowała ich jakaś zgrzybiała kobieta.

— Co to znaczy? — pytali przechodnie.

— Tu był dawniej wspólny grób!... — odpowiadali inni.

Pamiętano więc nawet o nędzarzach, rzuconych do wspólnego dołu — odszukano ślady, zatarte przez tysiące nóg tylko o grobie ojca Ludwika i Zosi nikt nie pamiętał, nikt nie odszukiwał jego śladów!...

— To tu! — rzekł Ludwik do siostry i skręcił na prawo między świeżo usypane mogiły.

Nie było tu nagrobków, tylko kopce, obłożone niekiedy darniną i ozdobione krzyżem, z którego deszcz zmywał powoli ostatnią pamiątkę po zmarłym.

Ludwik, z trudnością odczytując napisy, zbliżył się do mogiły, różnej od innych. Była ona obwiedziona żelazną poręczą; prócz tego leżał na niej kawał granitu, niby przez burzę oderwanego od skały... Ponad nagrobkiem rozścielały się ciemnozielone gałązki dość dużego świerku.

Jakaś kobieta zapalała ustawione dokoła kaganki. Ludwik mimo woli rzucił okiem na granit i stanął zdumiony. Na kamieniu był wyrzeźbiony napis: Józef Lachowicz zmarł... Pokój jego duszy!

Zosia, przeczytawszy to, zbliżyła się do brata i pytająco spojrzała mu w oczy.

— Kto postawił ten nagrobek? — spytał niepewnym głosem Ludwik, zwracając się do kobiety.

— Syn nieboszczyka, panie!... — odparła. — Płaci też za utrzymanie grobu w porządku... Niech mu Bóg wynagrodzi!

— Często on tu bywa?

— Co tydzień, panie! Zdaje mi się nawet, że dopiero co był...

Ponieważ kaganki były już zapalone, kobiecina odeszła dalej.

Zostali sami.

— Czy wiesz, kto to zrobił?... — zapytał Ludwik siostry. — Sielski!... On jeden pamiętał...

Zosia schwyciła brata za rękę.

— Chodźmy go szukać, Ludwisiu... — mówiła prędko — on tu jest... Zdaje mi się, że nawet widziała kogoś podobnego... On mi musi przebaczyć!...

Ludwik spojrzał na nią poważnie.

— Przecież to grób ojca! — rzekł z wymówką.

Zosia nie odpowiedziała nic. Popatrzyła dokoła siebie niespokojnie, potem upadła na kolana i znowu obejrzała się. Wreszcie, jakby chcąc odegnać od siebie myśli światowe, przeżegnała się, pochyliła twarz ku ziemi i poczęła szeptać pacierz za umarłych.

„...I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...”

W tym miejscu pacierz urwał się, i Zosia zaczęła go powtórnie. Lecz znowu nie dokończyła i przerwała w tym samym miejscu. Proste wyrazy, które dotychczas powtarzała machinalnie, nabrały dla niej nowego znaczenia. Ogarnął ją strach. Zdawało się jej, że dotychczas, błagając Boga o odpuszczenie win własnych, popełniała bluźnierstwo...

Teraz przybył jej nowy a dziwny zmysł, który odkrył nie-

widziane dotychczas rzeczy. W oczach jej rozrzucone światła na grobach poczęły układać się w jakieś wyrazy. Wyrazy te słyszała też w gwarze tłumu, w szumie gałęzi świerku, ocieniającego grób ojca.

„...I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...”

— Idźmy już! — rzekł Ludwik, dotykając jej ramienia.

Wzięła go pod rękę, mocno oparła się i tak zwolna poszli ku bramie.

ROZDZIAŁ XIX

JUŻ WRÓCIŁ

W połowie drogi spotkali na cmentarzu hipochondryka.

— Oho! — zawołał starzec — wracacie od grobu ojca? Ja także wracam od swego. Pyszny lokal, powiadam wam, kazałem sobie wybudować; szkoda tylko, że trochę wilgotny, a ja mam reumatyzm. Ale w metalowej trumnie nie da się tego odczuć... No — dodał po chwili oryginał — dziś zapraszam się do was na herbatę.

— Bardzo pana prosimy! — odparł Ludwik, rad, że Zosia będzie miała zajęcie wieczorem.

Ponieważ w bramie był znowu ścisk, nasza więc trójka zatrzymała się pod murem. Tu Lachowicz ze zdziwieniem zauważył jakieś owinięte w futro indywiduum, które, przy blasku kaganków, starannie pisało coś w wielkim notatniku.

— Panie Romanie!... Co pan tu robisz? — zawołał Lachowicz.

Literat (a on to był w samej rzeczy) podniósł głowę.

— A... pan Ludwik. Dawnośmy się już nie widzieli!... — wykrzyknął, podając mu rękę.

Dostrzegłszy jednak dwie osoby nieznajome, spojrział pytająco na Lachowicza.

Ludwik przedstawił go.

— Pan Roman, literat i mój przyjaciel... Pan... mój protektor... Moja siostra Zofia.

Przypatrzwszy się nieco Zosi, powieściopisarz zamknął notatnik i szeroko otworzył usta.

Szybko jednak opamiętał się i z kolei zamknął usta, a otworzył notatnik.

— Jedź pan do nas na herbatę, panie Romanie — rzekł Ludwik.

— Zrobiłbym to z największą chęcią, ale... nie jestem przygotowany do wizyty.

— Nic nie szkodzi!... No, więc jedziesz pan z nami?

— Owszem!... ale moje typy... — bełkotał literat, patrząc kolejno to na swój notatnik, to na Zosię.

Ostatecznie jednak Zosia zwyciężyła, notatnik znalazł się w głębi ogromnej kieszeni, i powieściopisarz wyszedł z towarzystwem.

Hipochondryk podał rękę ciągle milczącej Zosi, a Ludwik z Romanem szli za nimi, przeciskając się wśród tłumu.

— Cóż, piszesz pan jaką powieść?... — spytał Lachowicz.

— Teraz dopiero napiszę coś... cmentarnego. Ale przepraszam za śmiałość, siostra pańska jest zachwycająca! — szeptał literat. — Jak żyję nic podobnego nie widziałem!

Towarzystwo z wielkim trudem odszukało swoje dorożki, które szczęściem stały dość blisko jedna od drugiej.

— No — zawołał starzec — ja z Zosią siadam do mojej...

— Może byśmy się tu wszyscy pomieścili?... — wtrącił z pośpiechem Roman.

— Będzie panom niewygodnie — odpowiedział starzec szorstko i kazał jechać naprzód.

— Oryginał!... dziki człowiek!... — mrucał gniewnie literat, siadając obok Lachowicza.

— Znasz go pan? — spytał Ludwik.

— A któżby go nie znał? Bogacz, chorujący na protektora sztuk pięknych, a przy tym stary kawaler z wyziębłym sercem!

Gdy przyjechali do domu, zastali tam gości: panów Alfonsa i Józefa, którzy nader chłodno przywitali Romana. Obaj ci młodzi ludzie byli pewni, że Sielski, który znikł tak nagle przed kilkoma miesiącami, ustąpił wobec potęgi ich wdzięków. Pojawienie się zatem nowego współzawodnika oburzyło ich.

Powoli jednak odzyskali otuchę, widząc, że Zosia jest dziwnie poważna i milcząca. Odzywała się rzadko, jakby z przymusem. To też w ciągu wieczora prawie sami tylko panowie rozmawiali.

W ciągu pogawędki tej zaszedł wypadek, o którym godzi się wspomnieć ze względu na wpływ, jaki wywarł na przyszłe losy większej części zebranych.

Lachowicz zapytał literata: co go najwięcej uderzyło na cmentarzu?

— Mnóstwo rzeczy — odparł Roman. — Wymienię jednak dwie najskandaliczniejsze. Naprzód, że jacyś nieprzyzwoici ludzie hałasowali tam jak w ogródku i palili papierosy...

Panowie Alfons i Józef, usłyszawszy to, zmieszali się niesłychanie. Nadrabiając jednak miną, przyłączyli się do jednozgodnego chóru potępień.

— A po wtóre?... — spytał Ludwik.

— A po wtóre, że jakiś dziwak nie tylko kazał sobie wymurować grób za życia, ale jeszcze wycementował go i wewnątrz pomalował na olejno...

— Mój panie! — krzyknął nagle stary hipochondryk — gdybym wiedział, że się panu olejna farba nie podoba, tobym kazał sobie grób wytapetować!

Pan Roman za późno poznał szkaradny fakt przegadania się, a starzec tymczasem pytał go dalej:

— Cóż pan w tym widzisz złego, że ktoś sobie grób buduje za życia?...

— Nic, panie! — odparł zbity z tonu literat. — Pan może sobie pozwalać na tak niewinne przyjemności...

— A dlaczegoż inni nie mogą?

— Inni mają obowiązki...

Hipochondryk aż skoczył na krzesło.

— Alboż to, panie, ja wyrzekłem się obowiązków?... Czy to, panie, ja nie jestem już członkiem społeczeństwa?... — zawołał.

— Miałem na myśli ludzi rodzinnych — bronił się zakłopotany literat — ludzi takich, którzy swoją dbałością o wygodę pośmiertne krzywdzą spadkobierców... A pan...

— A ja... Myślisz pan, że nie mam spadkobierców?... — przerwał hipochondryk. — Oto są moi spadkobiercy — dodał, wskazując na Ludwika i Zosię — oni jednak nie czują się pokrzywdzonymi tym, że sobie grób pomalował na olejno!

Zosia i Ludwik, pierwszy raz usłyszawszy o podobnym planie protektora, zdziwili się i mieszała. Lecz i któż zdoła opisać wrażenia osób pozostałych?... Pan Roman umilkł, czując, że musi mieć uszy bardzo czerwone — panowie zaś Alfons i Józef, jedną ożywieni myślą, chcieli upaść do nóg hojnemu starcowi i podziękować mu za zapis, do którego każdy pojedynczo miał pretensję. Później jednak, opamiętawszy się, postanowili odłożyć to do właściwego czasu.

Gdy goście rozeszli się, Zosia, całując brata na dobranoc, spytała nieśmiało:

— Prawda, Ludwisiu, że on wróci do nas?...

— Kto? — spytał ze złośliwym uśmiechem Ludwik. — Czy pan Roman?

— Dajże mi pokój z tym panem Romanem! — odparła. — Wiesz dobrze, o kim mówię...

Ponieważ Ludwik milczał, objęła go więc za szyję i szepnęła mu do ucha:

— Prawda, że przyjdzie?... Muszę mu przecież podziękować... Mój Boże!... nigdy sobie tego nie przebaczę!... Ale jak ty to zrobisz?...

— Niedawno mówiłaś mi, że go nienawidzisz? — przerwał Ludwik.

Zosia cofnęła się, usiadła na krzesło i zasłaniając twarz rękoma, rzekła:

— Sama nie wiem, co się ze mną dzieje!

Poszła spać około północy, nie czując potrzeby spoczynku. Sen ją odbiegł, i z trwogą myślała o jutrzejszej wizycie Sielskiego. Puls jej przyspieszył, poduszki wydawały się zbyt twarde i najgorzej ułożone.

— Co ja mu powiem?... co ja mu powiem?...

Potem wpadła w marzenie. Zdawało jej się, że już rozmawia z Sielskim, który na wszystkie podziękowania jej odpowiada śmiechem.

— Pocóżes pan w takim razie pamiętać o grobie mego ojca — spytała rozżalona jego obojętnością.

— Naturalnie, że w celu wynagrodzenia krzywdy Ludwikowi — odpowiadało widziadło. — Do pani zaś nie mam najmniejszej pretensji... przebaczyłem od dawna.

On nie ma do mnie pretensji! Czy kto słyszał coś podobnego?... Mój Boże! dlaczegoż jej raczej nie nienawidzi, dlaczego się nie gniewa, nie robi wyrzutów?...

Wybiła trzecia.

Zosi zdawało się, że już nie zaśnie. Czy podobna spać, mając głowę takimi myślami nabitą?... Chciała zapalić światło, czytać książkę lub przejść się po pokoju, lecz nagle zasnęła.

Marzyła, że jest na łące, pełnej kwiatów. Dzień był jasny, słońca jednak na niebie nie widziała. Powietrze było czyste i wonne, ona jakaś lekka, tak lekka, że unosiła się nad ziemią. Przypomniała sobie podobne sny w latach dziecińczych i to, że wówczas była bardzo szczęśliwa. Teraz jednak miejsce radości zajął w jej sercu niepokój...

Skąd pochodził?... na próżno usiłowała sobie przypomnieć.

Zwolna nad łąką zapadła noc; zielona trawa, żółte, białe i różowe kwiaty zatonęły w jakiejś czarnej pomroce. Wszystko znikło: niebo, łąka, ona sama wreszcie, i tylko wśród bezgranicznej ciemności, pozostało... uczucie niepokoju.

„...I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...”

Z tymi wyrazami obudziła się i zadzwoniła na pokojówkę.

— Która godzina, Joasiu?

— Dziesiąta, panienko.

— Czy pan Ludwik już wstał?

— Pan już wyszedł do miasta — odpowiedziała służąca.

Zosia zerwała się na równe nogi, zapominając o śnie i znużeniu. On mógł przyjść niedługo, należało się więc ubrać.

— Daj mi czarną suknię, Joasiu — rzekła.

— Czarną? — spytała dziewczyna, idąc do szafy.

Wiedzieć potrzeba, że w czarnej sukni Zosia wyglądała najpiękniej. W tej chwili jednak przyszło jej na myśl, że popełni akt malutkiej kokieterii; gdy więc podano jej suknię, odezwała się:

— Albo... schowaj ją na powrót. Wezmę codzienną, popielatą...

Joasia z suknią odwróciła się do szafy, lecz Zosia znowu, po pewnym wahaniu, rzekła:

— Albo wiesz co... daj mi czarną.

I ubrała się w czarną.

Okolo południa kompletnie ubrana, z biciem serca oczekiwała na gościa. Nagle przed domem zaturkotała dorożka... Nogi się pod nią ugięły.

— Czegóż się lękam? — pomyślała. — Za godzinę wszystko przejdzie...

Czekała minutę, dwie... pięć... Nikt na schody nie wstępował.

— To nie oni!

Odtąd każdy turkot na ulicy, każdy łoskot na schodach wywoływał bladość na jej twarzy. Zmęczona, postanowiła już o niczym nie myśleć i jakąś mechaniczną robotą wypełnić czas, wlokący się zbyt powoli. Potem zaczęła sobie przypominać epizody z życia pensjonarskiego, począwszy od chwili wejścia do szkoły aż do opuszczenia jej.

— Musiało już z pół godziny upłynąć! — pomyślała. — Zegar jednak przekonał ją, że upłynęło dopiero trzy minuty!...

Przesuwając na oknie kwiatki, dostrzegła świeżo rozwiniętą kamelię.

— Wepnę ją we włosy!... — pomyślała w pierwszej chwili.

— Nie!... — szepnęła natychmiast potem i przejrzała się w lustrze.

Okolo drugiej znowu stanęła dorożka przed domem. Wszedł z niej Ludwik i... ktoś jeszcze... Zosia szybko zerwała kamelię, wpięła ją we włosy, i nad wszelki wyraz osłabiona, padła na krzesło.

Na schodach tymczasem rozległo się stąpanie, i rozmowa na dwa głosy. Skrzypnęły drzwi przedpokoju...

— Boże!... dodaj mi siły... — szepnęła Zosia.

Do salonu wszedł Ludwik i pan Roman.

Po wielu ukłonach i małej pauzie, literat zaczął mowę, w której starał się powiadomić słuchaczy, że na podziękowanie za wczorajszą herbatę i dla zawarcia bliższych stosunków, ośmiela się dziś złożyć ceremonialną wizytę.

Potem, widząc, że Zosia okazuje dużo ochoty do słuchania, a mało do mówienia, począł rozwodzić się nad stanem pogody, nad najświeższymi wypadkami w mieście, wspomniał o literaturze, o planie powieści, którą miał napisać, i po czterdziestominutowej gadaninie, pożegnał Ludwika i Zosię, obiecując wizyty jak najczęstsze.

Gdy wyszedł, Zosia wymownie spojrzała bratu w oczy.

— Byłem dwa razy, ale go nie zastałem.

— Może wyjechał?... — zapytała przerażona.

— Wątpię. Zresztą zostawiłem bilet z notatką i pójdę do niego jutro.

— Jutro!...

Zosię głowa rozboleła. Poszła do swego pokoiku, oparła twarz na poduszce i uczuła, że jej mimo woli łzy z oczu płyną. Nic dziwnego! bezsenność, a potem trajkotanie literata — musiały ją nieco zdenerwować.

Nazajutrz Ludwik znowu wcześniej wyszedł do miasta, i Zosia znowu wstała później. Ale miejsce gorączkowego niepokoju, zajęła lekka apatia. Zosia nie włożyła już czarnej sukni i nie wpięła kamelii we włosy. Przeczynała, że Sielski i dziś nie przyjdzie.

Około pierwszej, ponieważ pani Skulska wyszła za sprawunkami, kucharka wezwała Zosię na wielką radę wojenną. Przypaliła się legumina sagowa, należało zatem upiec inną. Naśmiawszy się ze strapienia kucharki, Zosia wydała jej drugą porcję sago i udzieliła kilku przestroóg, przyjętych nie bardzo chętnie.

W tej chwili wbiegła pokojówka:

— Proszę pani...

Zosia domyśliła się już, kto przyszedł, a w chwilę potem, sama nie wiedząc jak, znalazła się w salonie oko w oko z Sielskim.

Jerzy nie wyglądał wcale na desperata; miał cerę zdrową i fizjonomię wesołą. Bez żadnego wstępu pocałował Zosię w rękę i rzekł tonem swobodnym:

— Znalazłem wczoraj kartkę Ludwika u siebie, z wezwaniem, abym przyszedł. Przychodzę więc w nadziei, że pozwolisz się pani przebłagać...

— To ja powinnam pana prosić o przebaczenie...

— Mnie?...

— Tak... A zarazem najserdeczniej podziękować za pamięć o grobie naszego ojca... — szepnęła Zosia.

— Czy nie sądzi pani, że spełnił tylko mój obowiązek?... — spytał Sielski.

— O którym dzieci zapomniały! — odparła Zosia.

Usiedli obok siebie.

— Niech błogosławione będzie to zapomnienie! — mówił Jerzy z zapalem. — Sam Bóg zesłał je na was, bo i jakżebym mógł inaczej okazać wam mój żal i przywiązanie?... Gdyby pani wiedziała, ile chwil nieledwie przyjemnych spędziłem przy tym grobie, jak szczęśliwym czułem się w moim osamotnieniu! Wiedziałem, że prędzej czy później przyjdiesz tam pani i że nie oprzesz się niemej prośbie ojca: „Przebacz naszemu przyjacielowi, który nas tak kocha...”. Ale... — dodał po chwili — może ja mówię zbyt śmiało?... Może pani nie życzy sobie...

— Owszem!... Już tak dawno pana nie słyszałam... — odparła Zosia drżącym głosem.

— Więc dobrze — rzekł, biorąc ją za rękę. — Niewiele mam już do powiedzenia, chyba to tylko, że panią kocham. Kocham tak, że nie ma godziny, abym o pani nie myślał... Mimo to, jeżeli sądzisz, że nie przeszedł jeszcze dla mnie czas pokuty, jeżeli każesz, odejdę. Będzie mi bardzo smutno... Nie masz pani pojęcia, jaka to straszna rzecz czekać, jak się czas długim wydaje...

Zosia poruszyła główką, jakby na znak, że wie już, co to jest oczekiwanie. Milczała jednak, nie mogąc znaleźć wyrazu odpowiedzi. Zdawało się jej, że utraciła już wszelką władzę nad sobą, że umiera...

— Nie odpowiadasz pani?... — spytał Sielski, patrząc jej w oczy. — Więc zrobmy tak: jeżeli mam odejść, cofnij rączkę...

Ręka Zosi drżała, lecz nie cofnęła się.

— Więc nie odpychasz mnie?... Więc mogę już zostać?... — pytał natarczywie Sielski.

— Tak!

Teraz stała się rzecz niepojęta w końcu dziewiętnastego wieku, istny anachronizm. Sielski ukląkł przy nogach Zosi, a ona... Ach! świecie nieszczęsny... pocałowała go w czoło!...

Ale tak delikatnie, no tak... że oboje wyprzeć by się tego mogli — pod przysięgą.

Na schodach rozległ się łoskot, i do salonu wpadł Lachowicz, wołając:

— Jesteś, zbiegu!...

I w otwarte ramiona przyjął rozrzewnionego Sielskiego.

— No, więc już zgoda? — zapytał Ludwik Zosi.

Zosia, usłyszawszy to, zarumieniła się niezawodnie, gdyby nie to, że już przedtem była zarumieniona w najwyższym stopniu.

— Kiedyż mnie zaprosicie na wesele? — pytał dalej nielitościwy Ludwik.

— Ty lepiej zaprosz pana Jerzego na obiad! — odparła z udanym gniewem Zosia.

— Ależ na wszystkie obiady zapraszam go! Niech się przyzwyczają do twojej kuchni!... — zawołał Ludwik.

Odtąd rzeczywiście Sielski był u nich stałym gościem. Przychodził około drugiej w południe, a wychodził około jedenastej w wieczór.

ROZDZIAŁ XX

CO SIĘ STAŁO PÓŹNIEJ?

Dziwne! bardzo dziwne rzeczy wyrabiają się na tym świecie.

Od owego wieczora w dzień Zaduszny, kiedy to przy herbacie stary hipochondryk pokłócił się z literatem o malowanie grobów, a zarazem wymienił Ludwika i Zosię jako swoich spadkobierców — uczuciowy z natury pan Alfons wpadł w melancholię.

Znał on Zosię od lat kilku, ale od kilku dni dopiero przekonał się, że żyć bez niej nie może. Zbrzydł mu stan kawalerski i kawalerskie mieszkanie, a nade wszystko obmierzył mu pan Józef, w którym od bardzo dawna podejrzewał rywala.

Poznawszy taki stan umysłu i serca miłego pana Alfonsa, nie powinniśmy się dziwić, że młody ten i obiecujący człowiek rzekł pewnego razu:

— Dziś, lub nigdy!

Jednocześnie przypomniał sobie, że wykrzyknika podobnego użył już ktoś w jakiejś powieści czy dramacie. Ponieważ jednak wszelki namysł wstrętny był panu Alfonsowi, przerwał go więc i spojrzął na zegarek. Była akurat dwunasta.

— Już czas! — rzekł.

I to zdanie było skądśsiś wyjęte, ale pan Alfons nie zastanawiał się już nad nim. Natomiast kilkoma wprawnymi rzutami oka ocenił w niewielkim lusterku całość swej garderoby, wziął mechaniczny, jedwabny kapelusz i wyszedł.

W pół godziny potem widzieć go było można w domu, zajmowanym przez Lachowicza i Zosię.

Pan Alfons, rycerz bez trwogi, śmiało wszedł na schody, pewną ręką zadzwonił do przedpokoju i mierzoną krokiem pomaszzerował do salonu, gdzie już zastał Zosię. Młoda osoba, zobaczywszy pana Alfonsa, jego włosy na skronie zaczesane i grobową fizjonomię, domyśliła się rozmowy poważnej.

Przywitawszy się, pan Alfons siadł na taborecie, odchrząknął i zaczął:

— Pani!... Przede wszystkim racz być pobłażliwa, jeżeli słowa moje niedostatecznie odmalują treść uczuć i nie odpowiedzą doniosłości interesu... to jest... propozycji, którą ośmielę się przedstawić...

Zosia z niespokojną ciekawością patrzyła na niego.

— Już od lat kilku — ciągnął dalej — jak to pani zapewne niejednokrotnie dostrzegła... Już od lat kilku — poprawił się — przestałem być panem moich uczuć... Obecnie, przekonawszy się, że dłuższe ukrywanie tajemnicy przechodzi moje siły, odważam się błagać panią o jej rękę, której, sądzę, że mi nie zechcesz odmówić.

Pan Alfons otarł czoło chustką — Zosia siedziała jak na szpilkach.

— A teraz — zakończył — czekam wyroku pani...

Nastąpiła chwila milczenia.

— Pewny jestem, że nie masz pani zamiaru doprowadzić mnie do rozpaczyny... — dodał jeszcze Alfons, ani na chwilę nie tracąc nadziei.

— Niech pan raczy pomówić z moim bratem! — szepnęła zmieszana Zosia.

Pan Alfons wstał.

— Pozwoli pani — rzekł — że ze względu na ważność, jaką ma dla mnie ta odpowiedź, udam się po nią natychmiast, a tymczasem...

Pocałował Zosię w rękę i wzięwszy składany kapelusz, udał się do pracowni Ludwika.

O czym mówili, Zosia nie wiedziała. Pewnym jest jednak, że pan Alfons nie wrócił nawet, aby ją pożegnać, lecz czerwony jak upiór opuścił pracownię.

W tej samej chwili do przedpokoju wszedł pan Józef. Alfons, zobaczywszy to, gorzko się uśmiechnął i spokojnym krokiem zeszedł do sieni z zamiarem oczekiwania na rywala.

Pan Józef, wchodząc do salonu, był zdenerwowany. Na twarzy miał wypieczone rumieńce, ruchy gorączkowe.

Zaczął wizytę od pocałowania rączek Zosi i rzekł nagle:

— Jaki piękny dzień! Śnieżek tak chrupie pod nogami... Sanek mnóstwo uwija się po ulicach... Czy pani używała już szlichtady?

— Jeszcze nie — odparła zakłopotana Zosia.

— Szkoda!... A czy nie wybiera się pani do teatru?... Grają nową sztukę...

— Nie...

— Panno Zofio! — mówił dalej, poruszywszy się niespokojnie na krześle. — Sądzę, że mam w pani prawdziwą przyjaciółkę?

— Niezawodnie...

Pan Józef znowu rzucił się do rączek.

— Otóż w imię tej przyjaźni...

Bystro spojrzał na Zosię i dostrzegłszy w jej twarzy jakiś niedobry symptom, zawołał:

— Już straciłem nadzieję!

— Jaką?... — spytała nadzwyczaj zdumiona panna.

— Powiem wprost. Przyszedłem złożyć u nóg pani moje serce, ale widzę, że... stanowisko moje jest wprawdzie bardzo skromne (pan Józef był małym urzędnikiem w banku), lecz miłość dodałaby mi skrzydeł.

— Bardzo mi przykro!... — przerwała cichym głosem Zosia.

— Stało się! — jęknął nerwowo pan Józef. — Ktoś inny mnie zwyciężył... Bądź pani szczęśliwą i zapomnij...

Jeszcze raz pocałował ją w rękę, schwycił kapelusz i wybiegł z pokoju.

— Jak Boga kocham, skompromitowałem się! — mruzczał, przeskakując po kilka schodów.

W bramie wpadł na pana Alfonsa, który przywitał go drwiącym śmiechem.

Pan Józef aż się cofnął.

— Cóż tak krótko? — spytał go ironicznie Alfons.

Pan Józef wpadł w gniew.

— Mój kochany... mój kochany... — mówił prędko — odłóż twoje niewczesne żarty na później!

— Cóż u licha! wyglądasz tak, jakby cię nieprzyjemność spotkała?...

— Proszę cię, daj mi pokój! — krzyknął Józef, usiłując go wyminąć.

— Cha! cha! cha!... — śmiał się Alfons.

— Proszę cię — bełkotał drżącym głosem pan Józef — wiesz, że jestem prędko...

— Więc i cóż?... — odparł wyniośle Alfons.

— To — że ci mogę powiedzieć przykre słówko...

— Podobasz mi się! A pojedynek od czego?

W tej chwili ukazał się w bramie Sielski, który szybko wbiegł na schody.

Na ten widok rozdrażnieni młodzieńcy uspokoili się. Pan Alfons spojrział na pana Józefa, a pan Józef na Alfonsa.

— To on!... — szepnął Alfons z nienawiścią.

— Wiec i ty dostałeś odkosza? — spytał zdumiony Józef.

— Naturalnie!... A mimo to, jak widzisz, nie tracę zimnej krwi...

— Niech go licho porwie! — mruknął Józef i wyszedł na ulicę. Pan Alfons podążył za nim.

Gdyby obu młodych ludzi natchnął duch wieszczcy, przekonaliby się, że w tej chwili Ludwik opowiadał Jerzemu ich niefortunne oświadczyzny, i że się bardzo śmiano na górze.

W jakiś czas później, spotkał Sielski na ulicy dawno niewidzianego Romana. Literat, zakomunikowawszy mu parę najświeższych planów do powieści, rozgadał się na dobre i w konkluzji rzekł:

— Wiesz pan, zem zrobił pyszną znajomość!

— Jaką? — spytał Jerzy.

— Poznałem siostrę Lachowicza. Cud piękności, powiadam panu, istna przyłepczka!

— Znam i ja ją — wtrącił Sielski.

— Pan? — spytał zdziwiony literat. A potem, namyśliwszy się, dodał:

— Kiedy tak, to powiem panu wszystko; wiem, że mnie z sekretu nie wydasz! Wyobraź pan sobie, zem się w niej formalnie zakochał...

Wpadł w entuzjazm i mówił dalej:

— Dziewczyzna śliczna, wykształcona, wesoła, a jak gra!... Przy tym będzie miała parę kroć po tym starym protektorze Lachowicza... Otóż myślę się ożenić z nią. Cóż pan na to?

Jerzy roześmiał się.

— Z czego się pan śmiejesz? — spytał niespokojnie Roman.

— Z tego, że mamy tak podobne gusta — odparł Sielski.

— Albo co?...

— Nic, tylko to, że panna Zofia jest moją narzeczoną!... — rzekł Jerzy.

Literat stanął na ulicy, popatrzył mu w oczy, a w końcu zaczął gwizdać. Był to znak najwyższego zakłopotania.

— No, ale z tym wszystkim sędzę, że nie masz pan do mnie żalu? — spytał Sielski.

Literat zatrzymał się po raz drugi, podał rękę Jerzemu, ścisnął go mocno i rzekł:

— Przebacz mi pan!... ale odtąd nie możemy już być przyjaciółmi. Pozbawiłeś mnie pan szczęścia i jeszcze żartujesz!...

To powiedziawszy, odwrócił się i odszedł.

— Panie Romanie! panie Romanie!... — wołał za nim Sielski.

Literat nie obejrzał się nawet i odtąd, ile razy spotkał Jerzego, patrzył mu w oczy ponuro.

W karnawale Zosia została panią Sielską. Młodzi małżonkowie wynajęli obszerny lokal na pierwszym piętrze w domu, w którym Lachowicz zajął parter.

Odtąd w życiu nowożeńców nie zaszło nic szczególnego, chyba to, że w rok po weselu przybył im sublokator, dziecko, w którym zjednoczyły się wdzięki Jerzego i Zosi.

Nowa ta osoba, ubóstwiona przez ojca, karmiona przez matkę, pieszczona przez wszystkich, nie wyłączając starego hipochondryka, który, przy tej okazji, począł nazywać się dziadkiem — otrzymała na chrzcie imię Ludwika. Wkrótce potem dostała od natury dwa zęby, a od matki śliniaczek i bardzo porządną suknię z białej i szafirowej włóczki.

Rodzice szaleją za Ludwikiem, a przybrany dziadek upatruje w nim niesłychane zdolności i wielkie podobieństwo do siebie. Cztery te indywidua stanowią niepodzielną całość, której punktem centralnym jest najmłodsze.

Co dzień po południu gramoli się na pierwsze piętro „dziadek” i stanąwszy we drzwiach, w kapeluszu na głowie, zasapany, wsparty oburącz na lasce, pyta:

— No, jest co nowego?

— Jest! jest!... wielka nowina! — odpowiada Zosia. — Ludwiś znowu ma ząbek.

— Ech!... — dziwi się przybyły.

— Ależ tak!... niechże dziadzio sam zobaczy.

Dziadzio patrzy, podnosi brwi do góry i mówi:

— Prawda!... zadziwiający chłopak. Jak Boga kocham, ma znowu ząb!... Zobacz-no, Jerzy.

— Zobacz, Jurciu! — powtarza Zosia.

Jurcio ząb ten oglądał już od rana z dziesięć razy, patrzy jednak po raz jedenasty. Potem chwytając malca na rękę, podnosi do góry, okrywa pocałunkami i obiega z nim pokój, jak wariat.

Czyn ten oburza dziadka.

— Już tyle razy mówiłem ci, że nie umiesz się obchodzić z dziećmi — powiada z wyrzutem i następnie sam bierze dziecko w taki sposób, że Zosia krzyczy przerażona:

— Dziadziu!... Dziadzio mu krzyżyk złamie!...

Hipochondryk, który wolałby zostać w mózdzierzu utłuczonym, niż dziecku krzyżyk złamać, oddaje syna matce, która nim wstrząsa, podrzuca, obraca na wszystkie strony, z towarzyszeniem niezliczonych całusów.

— Połóżże go!... — upomina ją z kolei dziadek. — Już tyle razy mówiłem ci, że nie umiesz się z dziećmi obchodzić.

Ponieważ Sielski ma swoje zajęcie, a Zosia musi niekiedy wybiec do kuchni, malec zatem idzie do kołyski, a dziadek czuwa nad nim.

— Cicho tam!... cicho!... mały spać chce!... — uspokaja dziadek tych, którzy ośmielają się chodzić po pokoju.

Na to wezwanie robi się w całym domu cisza, jakby kto mak posiał. Upływa minuta, dwie...

— Cha! cha! cha!... — wybucha naraz dziadek basowym głosem. — Zadziwiający chłopak!...

Na ten okrzyk przybiega ojciec z pracowni, matka z kuchni, niańka z garderoby, wszyscy otaczają kołyskę i z niewymowną uciechą widzą, że Ludwiś włożył sobie nogę w usta.

I znowu śmieją się starsi, i uśmiecha dziecko; znowu wszyscy okrywają malca pocałunkami, i znowu dziadek, niby nakręcona na jeden taniec pozytywka, upomina ich:

— Dosyć!... dosyć!... Już tyle razy mówiłem wam, że nie umiecie się z dziećmi obchodzić!

Wśród tej radości, o Lachowiczu zapominają wszyscy, choć ich od niego jedno tylko piętro oddziela. On też stara się nie zakłócać harmonii swoją osobą, która nie zawsze odpowiada ogólnemu nastrojowi. Co prawda, cały dzień ma zwykle zajęty, szarą godziną zaś, w lecie

szczególniej, lubi, otworzywszy okna swego mieszkania, przysłuchiwać się z góry płynącym odgłosom wesela i chodzić po swym wielkim a pustym mieszkaniu.

Gdy na górze ciszej, wówczas wychyla głowę przez okno, nasłuchując, czy, Boże broń! nie zdarzyło się jakie nieszczęście. Gdy śmiechy znowu się odezwą, cofa się i znowu rozpoczyna swoją wiekuiistą wędrowkę:

Raz!... dwa!... Raz!... dwa!...

Upływa szara godzina, zapada noc, na niebie ukazują się gwiazdy, a wówczas do uszu samotnego odludka płyną słowa pieśni Zosi:

Śpij, Ludwisiu już,
Czarne oczka zmruż...
Patrzaj, deszczyk pada tam
Piesek szczeka, grozi nam;
W sieni dziad wyciąga rękę,
Pies rozerwał mu sukienkę...
Biedaka broni stróż...
Śpij, Ludwisiu, już!

Taktowi pieśni odpowiadają na dole kroki Lachowicza, a na górze miarowy łoskot biegunów kołyski: Raz! dwa!... Raz! dwa!...